



SIECI

**JANECKI
O REKONSTRUKCJI:
ŁAJBA TUSKA
PRZECIEKA
I TONIE**

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

31 (661) 2025
28 lipca – 3 sierpnia 2025

CENA: 12,90 zł
(w tym 8% VAT)

MAKSYMILIAN SZNEPF



*Po wojnie brałem udział w likwidacji band
w Białostockim. Ukonwercję Kurs DD przy A.R. Ist. gen.*

CAŁA PRAWDA, NOWE FAKTY

WYCIĄG
Z KART PERSONALNYCH

Ppłk. SZNEPF Maksymilian s. Szymona.



pracująca.
nie.
za Podoficerem, Oficerem Szkolenia
w Białym, K.D.
Gen.
ako: Szef Oddz. I Zarządu
5.06.1943 r., od 1940 do
Armii Czerwonej./.
S.F.P.

**BRAŁ UDZIAŁ W OBLAWIE AUGUSTOWSKIEJ, ALE TO NIE KONIEC.
SAM SIĘ CHWALIŁ, ŻE ZOSTAŁ RANNY W WALCE Z „BANDAMI”**



Telewizja informacyjna.

wPolsce 24

Tu jest Polska.



Od teraz DODATKOWO na kanale **909** w Polsat Box!

Gdzie nas oglądać

52

telewizja
naziemna

**196, 909,
921**

polsat box

62

CANAL+

192

netia

32

orange

825

vectra

**65, 339,
121**

PLAY dawniej
upc

459

inea

631

TOYA

43

evio

Cztery błędy Tuska

Premier Donald Tusk przedstawił swoją drużynę „komandosów”, swoich konkwistadorów, swoich „kolarzy z Tour de France”, jak sam to ujął w nieznośnie napuszonym przemówieniu. Zapewniał, że jeszcze można wygrać, że nic się nie skończyło, nie rozstrzygnęło, że trzeba wstać po upadku i jechać dalej. Całość wyglądała niczym spotkanie grupy terapeutycznej, która próbuje się pozbierać po traumie 1 czerwca. Sądząc po minach zebranych, premier mało kogo przekonał.

Dzień później prezydent Andrzej Duda wręczył nominację. Mówił koncyliacyjnie, nawet przyjaźnie, kierując słowa zachęty do troski o dobro wspólne pod adresem ludzi, którzy pokierują naszym państwem. W odpowiedzi premier Tusk znów zaszerwował swoje główne i właściwie jedyne danie. Znów zadał w wojenny róg, znów zapowiedział dalsze represje, zemstę i pielęgnowanie podziałów. Widzi swoją jedyną szansę w wojnie polsko-polskiej. Wciąż liczy, że złe emocje i wzajemna nienawiść dadzą mu kolejne lata u władzy. Tak jakby nie rozumiał, że to już za nami, że to już nie zadziała. Bo Rafał Trzaskowski przegrał nie dlatego, że było za mało „rozliczeń”, ale z tego powodu, że miały być one zamiast dobrego rządzenia, a nie obok.

Na tym zasadniczym polu Tusk nie ma już żadnych szans. Żadnej nominacji – naprawę żadnej – nie można uznać za wzmocnienie. W kilku przypadkach ministrowie to ofiary swego rodzaju łapanek, a może nawet losowania. Ta drużyna (o ile to wciąż jest drużyna) nie podejmie – bo z powodu braku kompetencji podjąć nie może – konkurencji z opozycją na pomysły, koncepcje rozwojowe w sferze troski o naród i państwo. Dowodem niech będzie fakt, że po półtora roku sprawowania władzy ekipa Tuska chwali się wyłącznie osiągnięciami PiS: barierą na granicy, wiatrakami na Bałtyku, lokomotywą wodorową, zbrojeniami, a także lotem Polaka w kosmos. Bo ten lot też zaplanował i załatwił rząd poprzedników, za co był ostro atakowany przez obecnie rządzący obóz.

Wojna z prezydentem Karolem Nawrockim – a do niej wyraźnie szykuje się Tusk – nie będzie dla niego łatwa. Nowy prezy-

dent to człowiek silny, z bardzo mocnym mandatem. Wygrał w skrajnie trudnych warunkach, zdecydowanie, o siekiere, a nie o włos. Co bardzo ważne, wygrał za sprawą sojuszu młodych i starszych. To naprawdę ma znaczenie.

Wracając do władzy, Tusk popełnił cztery wielkie błędy w ocenie sytuacji. Po pierwsze, nie spodziewał się zwycięstwa Donalda Trumpa, co gwałtownie pogorszyło jego pozycję międzynarodową i gwałtownie zredukowało przyzwolenie na wprowadzanie w Polsce białoruskiego zamordyzmu. Po drugie, nie zakładał, iż Jarosław Kaczyński znajdzie i wystawi kogoś takiego jak Karol Nawrocki i że ten kandydat złapie tak wyjątkowy kontakt z tak różnymi grupami wyborców, co pozwoli mu się wyrwać z uwikłań struktury politycznej. Po trzecie, nie sądził, że sympatycy PiS, polscy patrioci, dadzą dwadzieścia kilka milionów na kampanię wyborczą kandydata obywatelskiego po tym, gdy minister Andrzej Domański postanowił administracyjnie uderzyć w największą partię opozycyjną. I po czwarte, zakładał, że prawica zostanie zepchnięta do medialnych nisz. Tymczasem powstały trzy duże ośrodki (dwie telewizje i silny kanał internetowy), które podważyły monopol nadwornych mediów III RP. Z pierwszymi trzema pomyłkami w ocenie Tusk nie może już nic zrobić. Czwartą wciąż może próbować skorygować, uderzając w niewygodne organizacje medialne. Sądzę, że mu się nie uda, ale uważam też, że będzie próbował.

Przed Polską trudne miesiące, ale już w cieniu zasadniczego przełamania. Dni premiera Tuska są policzone. Także dlatego, że miał w rękę wszystko, a mimo to przegrał. Kto z jego patronów będzie dalej chciał w niego inwestować, skoro już nie jest skuteczny? Co jeszcze musiałby mieć w rękę, by wygrać? Jakie prawa i zasady musiałby jeszcze podeptać?

Polska wychodzi z choroby, w którą wpadła w 2005 r. za sprawą powyborczej złości Tuska i jego decyzji o wywołaniu zimnej wojny domowej. Wychodzi, bo zawsze byli ludzie, którzy rozumieli nikczemność i podłość tego pomysłu. Teraz historia przyznaje im rację.

Jacek Karnowski





33

Awans najgorszego
szefa dyplomacji
Dariusz Matuszak



43

Zelenski zaczął twardą
grę z sojusznikami
Marek Budzisz



52

W oczekiwaniu na
powstanie. Warszawa
przed 1 sierpnia 1944 r.
Stanisław Flużański

NA POCZĄTEK

- 5 **IMIGRACJA I LIBERAŁOWIE**
Bronisław Wildstein
- 6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 **NOWY POCZĄTEK**
Dorota Łosiewicz
- 10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 12 **MAKE POLONIA GREAT AGAIN, CZYLI O POTENCJALE, KTÓRY LEŻY NA STOLE**
Daniel Obajtek
- 13 **POLSCĘ BLIŻEJ DO USA CZY DO NIEMIEC?**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 14 **WALIZKA TOMKA ZAJĄCZKOWSKIEGO**
Michał Korsun
- 18 **AKCJA KONFRONTACJA**
Samuel Pereira
- 18 **REKONSTRUKCJA NĘDZY...**
Arkadiusz Mularczyk
- 19 **BĘDĄ NAS DOMYKAĆ!**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

- 20 **MAKSYMILIAN SZNEPF. ZAFALSZOWANY ŻYCIORYS**
Piotr Gontarczyk

KRAJ

- 24 **PRZECIEKAJĄCA ŁAJBA TUSKA**
Stanisław Janecki
- 27 **SAMI FASZYŚCI**
Konrad Kołodziejcki
- 30 **O JEDEN KROK ZA DALEKO**
Piotr Gursztyn
- 33 **AWANS NAJGORSZEGO SZEFA DYPLMACJI**
Dariusz Matuszak
- 36 **JAŁOWY EGOIZM NIE ZNOSI DZIECI**
Maciej Walaszczyk
- 38 **NAJSZYBSZY W POLSCE**
Łukasz Wróblewski
- 40 **KRĘCIMY NA SIEBIE BICZ**
Z dr. Michałem Mularczykiem rozmawia Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

- 43 **ZELENSKI ZACZĄŁ TWARDĄ GRĘ Z SOJUSZNIKAMI**
Marek Budzisz
- 46 **UNIJNY BUDŻET I POLSKIE INTERESY**
Jan Rokita

OPINIE

- 49 **KATOLICYZM A POLITYKA**
Bronisław Wildstein

HISTORIA

- 52 **W OCZEKIWANIU NA POWSTANIE. WARSZAWA PRZED 1 SIERPNIA 1944 r.**
Stanisław Flużański

SIECI KULTURY

- 55 **CHROBRY ZNÓW W GNIEŹNIE**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 58 **OZZY, CZYLI IRON MAN**
Maciej Walaszczyk
- 60 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba
- 62 **OTWÓRZ OCZY**
Robert Tekieli

GOSPODARKA

- 64 **NUMIZMATYCZNE TROFEA PRL**
Stanisław Koczot

SPORT

- 66 **GRUBBA, CZYLI PLAY FAIR!**
Marek Formela

PODRÓŻE

- 68 **MOJE SZLAKI: ROBERT „CUMA” CUMIŃSKI**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

- 69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 70 **KULTURKAMPF 2.0**
Wojciech Reszczyński
- 71 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 72 **OGÓRKI? NAPRAWDĘ?**
Aleksander Nalaskowski
- 73 **MISTRZ RAKIETKI**
Ryszard Czarnecki
- 74 **KORONKOWY ZAWRÓT GŁOWY**
Katarzyna Zybortowicz

BRONISŁAW WILDSTEIN

Imigracja i liberałowie

Muzułmańska imigracja to najpoważniejszy problem, z którym nie potrafi poradzić sobie współczesna Europa. Wszystkie stosowane w niej rozwiązania zawiodły, gdyż wszystkie wspierały się na fundamencie ideologii emancypacji. Kwestionuje ona wartość zachodniej cywilizacji i afirmuje indywidualizm, który uniemożliwia rozpoznanie wspólnotowej natury człowieka. Taki charakter ma kultura, a to ona pozwala nam wykorzystać ludzkie kompetencje. Język, wiedza, symbole, kody porozumienia, obyczaje czy nawyki – wszystko, co pozwala nam pojmować świat i siebie nawzajem wyrasta z kultury, która funkcjonuje w partykularnych wcieleniach. Nie jesteśmy zamknięci w tej, w której się wychowaliśmy, ale bez niej nie stalibyśmy się w pełni ludźmi. Możemy zastąpić ją inną, ale w jakiejś żyć musimy.

Kultura europejska rozwinęła się w narodowych wariantach, ale choć pluralistyczna mieści się w ramach cywilizacyjnej tożsamości. Islam do niej nie należy, chociaż relacje z nim, zwykle konfliktowe, towarzyszą nam od jego narodzin.

Carl Schmitt twierdził, że nie ma liberalnej polityki, może być tylko liberalna krytyka polityki. Gdyż polityka, jak wskazuje jej nazwa, odnosi się do polis, a więc wspólnot. Liberałowie nie uznają ich wagi, a społeczeństwa postrzegają jako układ kontraktowy.

„Dlaczego odbieracie tym ludziom podmiotowość?” – mówi. „Nie przyjeżdżają do nas reprezentanci kultury, ale Omar, Fatima czy Achmed, którzy szukają lepszego miejsca na ziemi. Jedni łatwiej się urządzają, innym przychodzi to z kłopotami, ale należy traktować ich jako osoby, a nie czynić z nich przedstawicieli zbiorowości!”

Mają rację w odniesieniu do relacji z konkretnymi ludźmi, ale nie w sprawie polityki imigracyjnej.

Duże grupy obcych cywilizacyjnie przybyszy zawsze stwarzały problemy. Wbrew stereotypowi współczesnej mentalności nie istnieją i nie mogą istnieć wielokulturowe społeczeństwa. Kultura to sposób organizacji społeczeństwa. Nie może ono funkcjonować według znacząco odmiennych zasad. Nie sposób równocześnie przyjmować szariatu, w którym odstępstwo od islamu karane jest śmiercią, a kobieta podporządkowana jest mężczyźnie, i norm prawa zachodniego. Mogą istnieć i istniały wielokulturowe państwa, w których porządek zapewniała autorytarna władza. Demokracja nie ma w nich szans, gdyż odmiennie grupy zmieniają w pole walki o dominację.

Liberałowie odwołują się do praw człowieka, które zezwalały mu wybierać miejsce swojego zamieszkania. W sondażach, które objęły część państw Afryki, ponad 50 mln młodych respondentów deklarowało chęć przeniesienia się do Europy. Co będzie, jeśli na

to pozwolimy? Niektórzy muzułmanie świetnie zintegrowali się na naszym kontynencie i zrobili znaczące kariery. Ale reszta żyje w enklawach, w których usiłuje zaprowadzić swoje porządki.

Współczesna Europa kwestionuje własną tożsamość. Jej intelektualni liderzy oburzają się na oczekiwanie asymilacji odmiennych kulturowo przybyszy. Do czego zresztą mają się oni asymilować w zbiorowościach emancypujących się z wszelkich tradycyjnych form egzystencji, w tym tak elementarnych jak rodzina czy ład erotyczny?

Pierwsze fale imigracji cieszyły się materialnym awansem. Ich dzieci i wnuki nie odczuwają awansu, a podrzędną pozycję społeczną. Reagują resentymentem i odwołują się do kultury przodków, która stanowić ma antidotum na pustkę współczesnej Europy. Nawet niemuzułmańscy przybysze z innej cywilizacji garną się do islamu, który jest receptą na anomie otaczającej ich rzeczywistości. Nie wystarczy im materialny dostatek i prawa człowieka, które dziś coraz bardziej oznaczają zaczynają preferencje najbardziej wpływowych.

Współczesna mentalność, która wszystkie zjawiska społeczne usiłuje wyprowadzić z ekonomicznej „bazy”, problemy z integracją przybyszy sprowadza do ich materialnego upośledzenia. Miesza przyczynę i skutek. Nie dlatego islamscy przybysze się nie integrują, bo zajmują niższe szczeble drabiny społecznej, ale dlatego je zajmują, że się nie integrują.

Na liberalne głupstwa prawica odpowiada własnymi. To nieprawda, że migranci przyjeżdżają do Europy, aby kraść, pobierać zasiłek i gwałcić białe kobiety. Szukają lepszego miejsca do życia. Jeśli okazuje się, że można dostawać pieniądze za nic, dlaczego mają ich nie przyjmować? W obcym świecie szukają ładu, który znają i lgną do ludzi, którzy przestrzegają tych samych, co oni norm. To ich rozumieją i wobec nich czują się lojalni. Zgodnie z ich kryteriami Europejczycy są słabi, Europejki rozwiązałe, a kraje, do których przybyli, zdegenerowane. Dlaczego mają trzymać się praw, których tubylcy nie potrafią egzekwować?

Liberałowie nie dostrzegają tego. Uznają, że wszystkiemu winna jest ksenofobia Europejczyków i populiści, którzy na niej żerują. Nie rozumieją, że swoją argumentacją nieświadomie potwierdzają istnienie problemu. Kiedy sforuje on bramy ich strzeżonych osiedli, będzie już za późno. 



Sygnalista nadaaje

Temat: rekonstrukcja rządu. Śledziliście? Bo my tak. Był popcorn, paluszki, piwo, ale bezalkoholowe, bo lekarz geriatra zabronił nam pić to prawdziwe. Obserwowaliśmy z wielkim wzruszeniem. Nikt nie przypuszczał, że Donald jest taki romantyczny i nostalgiczny. A ludzie w naszym wieku rozczulają się tytułami takimi jak ten: „Pilne spotkanie u premiera. Narada liderów koalicji”. Wróciły wspomnienia. 1999 r., gdy jeszcze byliśmy młodzi. Premier Buzek i jego złotousty rzecznik Krzysiek Luft. Kolejne spotkania koalicji, zawsze ostatniej szansy i zawsze konstruktywne. Albo końcówka SLD, żelazny kanclerz Leszek Miller, albo premier Belka z wicepremierem Markiem Polem. To były emocje! Jak na grzybobraniu w Borach Tucholskich. Dzięki, Donaldzie, że choć przez chwilę znów poculiśmy się młodzi.

W sumie dobrze wyszło, choć nie wszystko. Najbardziej nam żal **Izabeli Leszczyny**. Kibicowaliśmy, żeby została. Były nadzieje, że się uda. Najpierw optymistyczny artykuł w ukończonej „Gazecie Wyborczej”, że Iza jest nieskończenie głupia, słaba, niekompetentna i tylko ona chce kierować Ministerstwem Zdrowia. Bo w służbie zdrowia sytuacja jest beznadziejna, kończy się kasa i zaraz będzie katastrofa, zatem nie ma sensu zmieniać Izabeli: „Choć Izabela Leszczyna ma fatalne notowania, a jej dymisję opinia publiczna przyjęłaby ze zrozumieniem, najpewniej nie zostanie odwołana. »Tusk nie chce ani większych wydatków, ani ambitnych ustaw. Leszczyna mu pasuje« słyszymy” – czytaliśmy z nadzieją w oficjalnym organie Silnych Razem, czyli „GW”.

Niestety zaczęły się intrygi. Mali ludzie, czyli koalicjanci, zażądali usunięcia Izy Leszczyny z rządu. Premier ją bronił. Miał dobry argument, że nikt nie chce wziąć Ministerstwa Zdrowia. Zwłaszcza po tym, co Iza tam zostawiła. Niestety znalazł się jeleń, który wziął resort. A właściwie lania, bo to jakaś kobieta z Pomorskiego. Nikt jej nie zna, z twarzy podobna do nikogo, ale może też przyniesie naszej rubryce choć trochę tej radości, którą dawała nam Iza.

Za to **Bodnar** zrobił swoje, Bodnar może odejść. Zapłacił za zdradę. Jego prokuratorzy mieli znaleźć ogromne anomalie i tym sposobem zablokować prezydenturę dla niejakiego Nawrockiego z Gdańska. A co się okazało? Że ich nie znaleźli, a Bodnar łaził po mediach i kłapał o tym publicznie. Smutne były jego słowa, że nie może już nic więcej zrobić, aby zatrzymać Zgromadzenie Narodowe, gdzie ma być zaprzysiężony ten Nawrocki z Gdańska.

Silni Razem byli wstrząśnięci i zmieszani. Ale już nie są, bo wszystko stało się jasne. To nie jest tak, że Bodnar to gamoń, który chciał dobrze, ale nie potrafił rozliczyć pisiorów. On był z nimi dogadany – czytamy w komentarzach na forach Silnych Razem. I wiadomo też, że nie za darmo. Sprzedał się za nominację generalską dla swojego brata. Bo wiecie, kto wręcza nominacje generalskie?

Najlepszy komentarz wobec takich postaw wydała towarzyszyni demokratka (i antyfaszystka) Magda *de domo Fitas, primo voto* Dukaczewska,

secundo voto Czuchnowska: „Zidentyfikowanie i odsunięcie osób, które sypią piach w tryby maszyny przywracającej praworządność jest absolutnie niezbędne. Bez tego wysiłki demokratów będą napotykać wciąż na czynną lub bierną blokadę zióbrowych złogów, czekających na powrót wodza”. Tekst autentyczny, niewygenerowany przez sztuczną inteligencję ani nie koloryzowany. W sam raz na rocznicę 22 lipca.

🔊 Usuwaniem złogów zajmie się sędzia Żurek, czyli następca miększiona Bodnara. Super wiadomość, jedyna zła jest taka, że trzeba wydać więcej pieniędzy na popcorn. Bo będzie co oglądać. Jeśli chodzi o tzw. memogenność, wszyscy liczą na to, że Waldi zastąpi Izę Leszczyń. I to z nawiązką, bo ma duży dar w tworzeniu zabawnych sytuacji. Dobrze było np. to, jak sądził się z własną córką o zwrot alimentów. Ale tylko tą starszą, bo młodsza oddała mu wypłacane jej alimenty bez procesu. Fajne było też jego żądanie, aby Skarb Państwa dał mu pieniądze na stomatologa, bo Waldi z powodu stresu mocno zgrzytał zębami i trzeba je naprawiać.

🔊 To na pewno o **Waldku Żurku** mówił premier: „Jeszcze się zdziwicie, naprawdę, do czego są zdolni ludzie, którzy dzisiaj stoją tutaj ze mną”. Szef rządu opowiadał o sobie, że jest nowym wcieleniem Cortésa (dobrze, że nie Napoleona) i że zostawi za sobą spalone statki. Uff, dobrze, że nie spaloną ziemię.

🔊 A wsparciem dla Waldka będzie **Marcin „Wielki Pogłos” Kierwiński**. To dobra wiadomość dla powodźcian z Dolnego Śląska, bo może wreszcie ruszy tam odbudowa. Trochę gorsza dla całego MSWiA, bo za Tomka Siemoniaka wprowadzie niewiele pożytecznego się tam działo, ale można było nie pić (jak ktoś nie lubi alkoholu). A teraz skończyła się miękka gra. Nie, nie dla pisiorów. Skończyła się miękka gra dla resortowych abstynentów.

🔊 Czołowy mózg Platformy, intelektualista z Inowrocławia **Krzysiek Brejza** w przenikliwy sposób skomentował rekonstrukcję rządu. Jeszcze zanim się dokonała: „Też zauważyliście, że już same medialne przecieki o rekonstrukcji wprowadziły w szeregach pisowców i ich propagandy spory popłoch? Jutro czeka ich ciężki dzień...”. Następnego dnia dla wielu pisowców podobno rzeczywiste był ciężki, a to z powodu obżarstwa i opilstwa. Na spotkaniu klubu PiS kaczysci (obecnie łamane na faszyści i rasiści) obzarli się rosołem i kaczką na drugie danie. Tak, kaczką!



Opili się też winem, a potem śpiewali. Szczyt bezczelności! Taki sam jak pisowski rechot z rekonstrukcji rządu. Waldi Żurek pomści upokorzenie demokratów i antyfaszystów. Od razu po tym, jak już wyleczy wszystkie zęby i ściągnie alimenty od najstarszej córki.

🔊 To nieprawda, że demokratyczna antykalczystowska Polska jest krajem, gdzie młodzi nie mogą zrobić kariery ani znaleźć dobrej pracy. Przykład pierwszy: Miłosz Motyka, nowy minister energetyki. Lat 33, wprawdzie nie zna się na energetyce, ale za to nie zna się też na innych rzeczach. Lecz my go cenimy nie za to. Dla nas jest wzorem do naśladowania. Nigdy nie tracił czasu na szukanie niewłaściwej pracy w niewłaściwych miejscach. Szedł lepszą drogą. Najpierw zatrudnienie w partii – Forum Młodych Ludowców PSL, a po 2023 r. od razu wiceminister. A teraz minister. Tak trzeba żyć!

🔊 I jeszcze jedno. Premier to ma głowę. Wiadomo, że robota w rządzie to koszmarny znój. Trzeba pracować, siedzieć w tej Warszawie od wtorku do czwartku. Po prostu dramat. Co więc zrobił Tusk? Mianował ministra do spraw nadzoru nad wdrażaniem polityki rządu. Został nim niejaki Berek Maciej, kolejna osoba ministerka z twarzy podobna do nikogo (tylko że łysa). Genialne! Dzięki temu premier będzie mógł zaczynać weekend już w środę, a nie męczyć się do czwartku.

🔊 Uwaga, tancerze z Senegalu, inżynierowie pirotechnicy z Syrii i chirurdzy z Afganistanu. A także osoby w kryzysie bezdomności. Ważne ogłoszenie! Kard. Grzegorz Ryś zaprasza: „Każdy człowiek ma prawo wybrać sobie miejsce do życia i ma prawo być w tym miejscu uszanowanym w swoich przekonaniach, kulturze, języku i wierze”. Adres miejscówki do zajęcia: Łódź, Piotrkowska 265, pałac arcybiskupi. Herzlich willkommen. Liczba miejsc do życia nieograniczona!

🔊 Prawacy (ale tylko ci z PiS i Konfy) awanturowują się o wystawę „Nasi chłopcy”. Twierdzą, że grozi nam germanizacja. Szaleńcy! Czy oni nie widzą, że tak naprawdę grozi nam ukrainizacja i judaizacja, a nie jakaś tam germanizacja? Przestrzegają przed tym dzisiejsi nasi chłopcy: Braun, Sommer und Fritz. Grzegorz, Tomasz i Roman. Czyli partia Konfederacja Korony. Jeszcze nie wiadomo jakiej korony, ale chyba Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Grzesiek lubi takie klimaty.

WIEŻA BAB

Nowy początek

*Nie planowaliśmy kota.
Ale najwyraźniej
kot zaplanował nas*

Wszystko zaczęło się niewinnie. Dzieci poszły do pobliskiego sklepu z jasnym celem i pustymi rękami. Chodziło o lody. Jak wróciły, w rękach miały lody, a wokół nóg kręcił się kot. Przybiegł za najmłodszą niczym piesek. Lody szybko zostały zjedzone, a kot został, jakby to właśnie on był głównym zakupem.

Czarno-biały, jak dwusmakowe lody świderki. I od razu wpadł do naszego domu jak właściciel, który po prostu zapomniał kluczy. Po prostu postanowił zostać. Najwyraźniej uznał, że znalazł fajny dom. Od początku był zaskakująco kontaktowy. Wszedł, przeciągnął się jak model z reklamy poduszek ortopedycznych, miauknął parę razy i od razu rozgościł na środku podłogi. Spojrzał mi w oczy, zamruczał pod białoczarnym nosem i wzrokiem dał mi do zrozumienia, że teraz już wszystko będzie dobrze – bo on tu jest. I już pierwszego dnia swojej obecności ogłosił swoje królewskie prawa do kanapy, blatów i... mojego spokoju.

Najmłodsza od razu zaczęła się do niego zwracać Zbigniew. Może jej wymruczał na ucho, jak ma na imię. Ja wolę mówić „Zibi”, bo nie lubię, gdy ktoś nadaje zwierzętom ludzkie imiona. Poza tym, jak by to brzmiało: „Zbyszku, zejdź z blatu”. Kot reaguje na swoje imię mamrotaniem pod nosem. Bo to jest straszna gaduła. Cały czas coś tam pomiaukuje do siebie lub do nas. Poza tym to najprawdziwszy psokot. Cieszy się, jak ktoś wraca do domu, machając ogonem, lub biega jak opętany. Psokot zakochał się w najmłodszej. Chodzi za nią jak cień. Leży przy niej na kanapie i w ogóle jej nie odstępuje. A ona nie ustaje w pieszczotach.

Gorzej, że mi też próbuje zaimponować. Ostatnio przyniósł mi mysz. Podobno koty robią to z wdzięczności. Położył ją pod stołem i usiadł obok, dumny z siebie, z miną: „Patrz, co dla cie-

bie zdobyłem. Premium, świeża, lokalna”. A ja, cóż... zawylałam. I to nie z radości. Krzyk rozległ się po całym domu jak alarm przeciwłotniczy. Syn zbiegał z góry tak, że mało się nie połamał. Następnie za pomocą szufelki wyrzucił niedającą oznak życia mysz za płot. Zibi wyglądał na mocno zdezorientowanego. Jakby chciał zapytać: „Ale... przecież mówiłaś, że lubisz, jak coś robię dla domu?”. Po czym odnalazł mysz i skonsumował ją z dala ode mnie.

Zibi szybko też sprawił, że poczułam się jak autorka filmików podbijających socjale z kategorii „śmieszne koty”. Skok na blat i błyskawiczny odwrót po spostrzeżeniu folii aluminiowej, pogoń za muchą i zderzenie z lodówką, testowanie pazurów na skórzanych krzesłach, zrzucanie kubka z blatu i spektakularny zjazd z tarasowego leżaka podczas snu. Najgorsze jest to, że Zibi uwielbia spać na ubraniach. Szczególnie świeżo wypranych. Rozkłada się jak król dżungli, najlepiej na czarnych spodniach. To jego popisowe numery i od paru dni mam to wszystko na żywo.

Oczywiście od początku próbujemy znaleźć właściciela. Daliśmy kilka ogłoszeń na lokalnych grupach facebookowych, byliśmy u weterynarza, by sprawdzić, czy nie ma czipa (niestety) i na razie cisza. Nikt się po niego nie zgłasza, nikt go nie szuka. Jeśli w tym opisie ktoś rozpozna swojego zaginionego przyjaciela, to zapraszam do kontaktu przez Messenger. Bo to zwierzę zaczyna nam się wtapiać w rodzinny krajobraz. Wygląda na to, że Zibi zdecydował, że zostaje, a my chyba nie mamy wyjścia, jak się z tym pogodzić. Nie planowaliśmy kota. Ale najwyraźniej kot zaplanował nas. Chyba się trzeba pogodzić z tym, że od teraz mamy futrzastego menedżera chaosu i ambasadora TikToka w jednym.

Dreczę mnie tylko jedno pytanie: kto kogo naprawdę przyciągnął?

Dorota Łosiewicz

Autopromocja

Czytaj nas w najlepszej cenie!

Teraz **tylko 7,35 zł** za jedno wydanie
(w prenumeracie rocznej), podczas gdy cena
w kiosku to **12,90 zł**.



Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika **SIECI** ?

1

Wybierz swoją
prenumeratę

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
cena prenumeraty	118 zł	207 zł	375 zł
cena w kiosku	~~167,70 zł~~	~~322,50 zł~~	~~657,90 zł~~

NAJLEPSZY
WYBÓR

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00 (poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2

Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę www.sieciprawdy.pl/prenumerata i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na pocztę, podając dane do wpłaty w okienku



Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na pocztę:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty:

.....
(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota:

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 375 zł)



Niemcy ponoszą coraz większy koszt zielonej transformacji. Nie chodzi tylko o rosnące ceny prądu, lecz także o modernizację sieci energetycznej, która jest konieczna, aby zapobiec ryzyku blackoutu, do jakiego doszło trzy miesiące temu w Hiszpanii.

Hiszpański blackout był skutkiem przeciążenia sieci wywołanej przez nadmiar energii pochodzącej z farm słonecznych. Można go było uniknąć, jednak Hiszpanie nie inwestowali w swoją sieć, aby nie podwyższać i tak wysokich cen prądu.

Modernizacja sieci wiąże się bowiem z wysokimi kosztami, o czym przekonali się Niemcy. Jak wynika z danych Federalnej Agencji Sieciowej, opłaty za utrzymanie sieci wzrosły w tym

Drogi zielony prąd

roku do 33 mld euro w porównaniu z 15,9 mld euro w 2015 r. W przeliczeniu na gospodarstwo domowe oznacza to podwyżkę z 6,59 do 11,62 centa za kWh. Tych podwyżek by nie było, gdyby nie konieczność stałego zabezpieczania sieci przed destabilizacją spowodowaną przez odnawialne źródła energii.

Mimo coraz wyższych kosztów zielonej transformacji, które przytłaczają gospodarkę i kieszenie obywateli, niemieckie państwo uparcie brnie w ekologiczne szaleństwo. „Zielona rewolucja”, której korzenie sięgają lat 80. XX w., gdy straszono świat wyczerpaniem źródeł ropy naftowej, w okresie rządów Gerharda Schrödera zmieniła się w oficjalną strategię, której celem było przekształcenie Niemiec w nowoczesne „mocarstwo ekologiczne”.

Kolejne rządy kierowane przez Angelę Merkel przyjmowały coraz bardziej wysrubowane plany ograniczenia gazów cieplarnianych i zwiększenia udziału energii odnawialnej. W 2011 r., po katastrofie w japońskiej elektrowni atomowej Fukushima, zdecydowano przyspieszyć rezygnację z energetyki jądrowej. Początkowo ustaloną datę na 2036 r. przesunięto, wygaszając ostatnie elektrownie jądrowe w kwietniu 2023 r. Poskutkowało to wzrostem zapotrzebowania na energetykę węglową. W efekcie Niemcy zużywali trzykrotnie więcej węgla niż Polska, przy czym był to znacznie bardziej trujący od kamiennego węgla brunatny.

Tymczasem z badań Norweskiego Uniwersytetu Nauki i Technologii wynika, że gdyby Niemcy zainwestowały w energię jądrową, emisja dwutlenku węgla spadłaby dziś o ok. 73 proc. w porównaniu z zaledwie 25 proc. spadkiem zaobserwowanym w okresie przejścia na zieloną energię. Ceny prądu byłyby również o wiele niższe i niemiecka gospodarka łącznie zaoszczędziłaby ok. 600 mld euro. Nie pierwszy raz fanatyzm okazał się w Niemczech silniejszy od zdrowego rozsądku.

Konrad Kolodziejcki



Partia Liberalno-Demokratyczna, rządząca Japonią z niewielkimi przerwami od II wojny światowej, poniosła porażkę w wyborach do izby wyższej parlamentu. Startując razem z Kōmeitō, swoim młodszym partnerem koalicyjnym, straciła 19 mandatów, co jest tym boleśniesz, że w niedawnych wyborach wymieniono jedynie połowę z 250 miejsc w Izbie Radców.

Już wcześniej, jesienią ub.r., rząd premiera Ishiby utracił większość w niższej izbie parlamentu, co oznacza, że teraz stał się gabinetem mniejszościowym. Osłabienie rządu jest kłopotliwe zwłaszcza w obliczu rozpoczynających się trudnych rokowań w kwestii taryf celnych i relacji sojuszniczych między Japonią i Stanami Zjednoczonymi.

Wybory przyniosły nie tylko osłabienie Partii Liberalno-Demokratycznej, lecz także sukces radykalnie prawicowej formacji Sanseitō, która zwiększyła liczbę mandatów w izbie wyższej z 1 do 15. Jej lider Sohei Kamiya [na zdj.], popularny bloger, otwarcie wzoruje się na ruchu MAGA Donalda Trumpa i wzywa do wzmocnienia władzy cesarza, który po II wojnie światowej pełni w Japonii jedynie funkcje ceremonialne. Kamiya opowiada się również za obniżeniem podatków i deportacją migrantów. Jest także przeciw-

Zwrot na prawo



● Japonia

nikiem „sprzedaży japońskich firm kapitałowi żydowskiemu” i chciałby realizować politykę, którą określa hasłem „Japan First”. W kwestiach militarnych opowiada się za wzmocnieniem „wartości wojskowych” i uważa, że w przypadku konfliktu Japonia powinna polegać na własnych siłach zbrojnych. Kamiya jest oskarżany przez niektóre media zachodnie o sprzyjanie Władimirowi Putinowi i zamiar ustanowienia specjalnych relacji między Tokio a Moskwą. Jednak lider Sanseitō zdecydowanie odrzuca te oskarżenia.

Zdaniem komentatorów o wyborczej porażce premiera Ishiby oprócz bezbarwności lidera rządu decydowały kwestie gospodarcze, takie jak utrzymująca się uciążliwa inflacja i obawy przed konsekwencjami długu publicznego, rozdętego do poziomu 130 proc. PKB. Obawy są tym bardziej uzasadnione, że japoński przemysł samochodowy może się stać ofiarą amerykańskich cel, a dodatkowo Tokio musi się liczyć ze wzrostem wydatków wojskowych, czego otwarcie domaga się Waszyngton. Japończycy rozpoczynają negocjacje z Amerykanami z dość kiepskimi kartami, które po wyborczej porażce Ishiby są jeszcze słabsze.

Marek Budzisz

Tajlandia



Niegrzeczni mnisi

Buddyzm therawada jest dominującą religią w Tajlandii. Praktykuje go zdecydowana większość Tajów, a mnisi są niezwykle szanowani. Oczekuje się od nich, że będą pielegnować tradycje celibatu i powstrzymać się od ziemskich pragnień. Jednak buddyzm pojmowany jako instytucja jest w ostatnich latach coraz częściej nękany zarzutami o przestępstwa seksualne i handel narkotykami.

Niedawno wybuchł kolejny głośny skandal na tym tle. Zaczęło się od zaginięcia Phra Thepa Wachirapamoka – mnicha posługującego w jednym z najważniejszych klasztorów w Bangkoku. Śledztwo w tej sprawie doprowadziło do kobiety ukrywającej się pod pseudonimem Wilawan Emsawat. Okazało się, że od lat utrzymywała ona intymne relacje zarówno z zaginionym mnichem, jak i z jego kilkoma współtowarzyszami. Kiedy na początku lipca śledczy przeszukali dom kobiety, skonfiskowali w nim m.in. należące do niej telefony, na których znaleźli ponad 80 tys. zdjęć i filmów, którymi szantażowała mnichów i wyciągała od nich pieniądze. W grę wchodziły gigantyczne kwoty. Ustalono, że w ciągu ostatnich trzech lat wyłudziła ok. 385 mln bahtów (niemal 12 mln dol.), których większość przepuściła w internetowych kasynach gry. Postawiono jej kilka zarzutów, w tym wymuszenia, prania brudnych pieniędzy i przyjmo-

wania skradzionych towarów w formie prezentów.

Skandal skłonił Najwyższą Radę Sanghi, będącą najwyższym zgromadzeniem mnichów, do zadeklarowania, że utworzy ona specjalną komisję do zbadania tego, co się dzieje w klasztorach, w szczególności z funduszami świątynnymi pochodzącymi m.in. z darowizn. Tajski rząd naciska również na stosowanie surowszych kar – w tym grzywny i więzienia – dla mnichów, którzy łamią kodeks klasztorny i narażają na szwank reputację religii.

W tym tygodniu król Tajlandii Vajiralongkorn odwołał edykt nadający odpowiednio wyższe rangi aż 81 mnichom oraz wycofał skierowane do nich zaproszenia na obchody jego 73. urodzin. Podczas, gdy 11 mnichów zostało pozbawionych szat, rząd obiecuje „przywrócić zaufanie publiczne” do religii poprzez szeroko zakrojone śledztwo policyjne w tej sprawie. Na Facebooku założono nawet profil, na którym można zgłaszać mnichów zachowujących się niewłaściwie. Sprawa przypomina skandale obyczajowe, które wybuchły za sprawą niektórych duchownych katolickich. Także w buddyjskiej Tajlandii pojawiły się oskarżenia pod adresem hierarchicznego systemu feudalnego, za parawanem którego mnisi żyją „w przywilejach i są otoczeni bogactwem”. A faktycznie zdradzili swoje powołanie.

Maciej Walaszczyk



Jak Europa finansuje dyktaturę

Mjanma

Dochodzenie przeprowadzone przez dziennikarzy śledczych z Finance Uncovered wykazało, że państwowe fundusze inwestycyjne z Norwegii, Danii i Wielkiej Brytanii pomogły reżimowi w Mjanmie (dawniej Birmie) rozbudować cyfrowy system inwigilacji, kontroli i represji.

Okazuje się, że podmioty, takie jak British International Investment, Norfund i duński IFU zainwestowały łącznie ok. 40 mln dol. w chiński koncern Frontiir, który jest największym dostawcą usług internetowych w Mjanmie. Dzięki temu junta wojskowa, która w 2021 r. dokonała zamachu stanu w tym indochińskim kraju, zyskała potężne narzędzie monitorowania obywateli i prześladowania opozycji.

W raporcie Finance Uncovered czytamy: „Frontiir zainstalował sprzęt umożliwiający śledzenie użytkowników online, blokadę stron internetowych oraz wirtualnych sieci prywatnych (VPN), które pozwalają użytkownikom na obejście cenzury. Sprzęt został opracowany przez Geedge Networks, kontrowersyjną firmę chińską zajmującą się cyberbezpieczeństwem, założoną przez Fanga Binxinga, zwanego ojcem Wielkiego Chińskiego Firewalla”.

Według dziennikarzy śledczych birmańska junta, korzystając ze wspomnianych narzędzi, aresztowała dotąd ok. 2 tys. osób, które krytykowały reżim w internecie lub publikowały wiadomości wspierające grupy antyrządowe. Przedstawiciele Frontiira wszystkiemu zaprzeczają, jednak organizacje obrony praw człowieka zwracają uwagę na powiązania łączące Geedge Networks z chińskim koncernem państwowym CEIEC, który w 2020 r. został ukarany przez USA za dostarczanie cyfrowych narzędzi nadzoru reżimowi w Wenezueli.

Przykład Mjanmy pokazuje, jak Zachód za pośrednictwem nieprzejrzystych partnerstw korporacyjnych może nieświadomie wspierać krwawą dyktaturę w odległych zakątkach świata. W związku z tym należy szczególnie uważać na inwestowanie w chińskie przedsiębiorstwa z branży IT.

Grzegorz Górny

Make Polonia Great Again, czyli o potencjale, który leży na stole

Piszę dla państwa, będąc w trasie z Nowego Jorku do Chicago, skąd z kolei polecę do Brukseli, a potem już do Polski. Za mną bardzo intensywne tournée po Stanach Zjednoczonych (w ciągu siedmiu dni odwiedziłem pięć stanów) i liczne spotkania z przedstawicielami amerykańskiej Polonii. Jestem za nie ogromnie wdzięczny, bo pokazały duże zainteresowanie Polaków mieszkających w USA sprawami naszego kraju i jeszcze większy potencjał, który po prostu trzeba wykorzystać

Amerykańska Polonia jest liczna, choć bardzo zróżnicowana i skupiona wokół wielu ośrodków, organizacji, stowarzyszeń. Wszystkie łączy jedno: chęć wywierania większego wpływu, bycia podmiotem, a nie przedmiotem polskich spraw oraz zintensyfikowanie współpracy między Polską a Ameryką. Dla niektórych czytelników może się okazać to zaskakujące, ale Polacy mieszkający w USA – mimo sporej odległości od ojczyzny – mają bardzo dobre rozeznanie w bieżących sprawach w kraju. Porównując spotkania, które odbyłem w trakcie kampanii, jeżdżąc po wielu polskich miastach i miasteczkach, mogę nawet powiedzieć, że to rozeznanie jest znacznie lepsze od większości osób mieszkających na stałe w Polsce.

Amerykańska Polonia bacznie śledzi sytuację polityczną, stan polskiej gospodarki i bardzo chce, by coraz więcej polskich firm inwestowało w Stanach Zjednoczonych, aby wspólnie działać mimo odległości dzielącej Polskę i USA. A potencjał na to jest ogromny.

Wystarczy wymienić choćby Teksas, gdzie gospodarka rośnie w bardzo szybkim tempie, a polonijne organizacje wręcz czekają na kolejne polskie firmy, by tam inwestowały i współpracowały ze sobą. Z tego powodu tak ważne jest dla nich bezpośrednie połączenie Warszawa–Houston. Podobnie jest w Chicago: ogromny potencjał, wiele polskich firm, które czekają

dokładnie na to samo – na więcej polskich podmiotów, które będą chciały inwestować w USA i rozwijać swoje biznesy.

Wiele osób z nadzieją patrzy także na zbliżającą się prezydenturę Karola Nawrockiego i z optymizmem przyjęło informację o powołaniu ministra do spraw Polonii (gdy prezydent elekt ogłaszał tę decyzję, byłem w Radiu Deon Chicago). To dobry krok, jednak amerykańskiej Polonii zależy na tym, by miała również swojego przedstawiciela w polskim rządzie, dlatego tak bardzo wyczuwa zmiany na polskiej scenie politycznej.

Z niepokojem patrzy też na zielone szaleństwo, któremu poddała się Europa, regularnie niszcząc swój przemysł. Bo w USA byłoby to nie do pomyślenia, a dzięki wygranej prezydenta Donalda Trumpa lewackie chore ideologie zostały całkowicie odsunięte na bok i na nowo powróciło hasło: „Make America Great Again”. Teraz czas na Make Polonia Great Again. To potencjał, który praktycznie leży na stole i wystarczy po niego sięgnąć. Mieszkający tu Polacy, niesamowici patrioci, bardzo tego oczekują.

Daniel Obajtek



Polsce bliżej do USA czy do Niemiec?

Na antenie nielegalnie przejętej Telewizji Polskiej w likwidacji wystąpiła ostatnio drag queen. Mężczyzna ucharakteryzowany na kobietę pisał w rytm muzyki, udawał, że śpiewa piosenkę Beaty Kozidrak, która była urozmaicona wypowiedziami m.in. prezydenta Andrzeja Dudy, prezydenta elekta Karola Nawrockiego i prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego. Miało być zapewne zabawne i inkluzyjne, jak to należy dziś określać w mainstreamie, a wyszło co najmniej dziwnie i żałośnie.

To chyba już nie pierwszy występ tego typu osoby w mediach publicznych i tym samym promocja zachowań, o których przez lata było wiadomo, że się zdarzają, ale zawsze pozostawały w cieniu, w wąskiej niszy, z dala szerokiej opinii publicznej, a w szczególności od dzieci i młodzieży. Widać, że obecne władze Polski również bezkrytycznie kopiuje skompromitowane wzorce płynące z zachodnich ośrodków lewactwa i wdrażają operację transformacji społeczeństwa, której logiczną konsekwencją jest jego rozkład.

Jak donosi „European Conservative”, resort zdrowia w Badenii-Wirtembergii pod pretekstem „ochrony dzieci i młodzieży” finansuje warsztaty drag dla dzieci. Według oficjalnych informacji wydarzenie jest skierowane do osób w wieku 14–27 lat, a przede wszystkim do „młodzieży queer”, która będzie mogła „kreatywnie eksplorować tożsamość płciową, ekspresję płciową i oczekiwania dotyczące ról społecznych”. Deklarowanym celem tego wydarzenia, które miało się odbyć 27 lipca, jest ochrona młodzieży queer „przed dyskryminacją poprzez umożliwienie im wyrażania siebie w bezpieczny i wartościowy sposób”. Polityk CSU w Bawarii została zagrożona wykluczeniem z partii za protest przeciwko wydarzeniu drag dla dzieci. Lewacka poprawność polityczna za naszą zachodnią granicą wciąż utrzymuje się na poziomie gwarantującym swobodne forsowanie ideologii gender.

Po eksperymentach na dzieciach polegających na radykalnym ograniczeniu, a w młodszych klasach zakazaniu zadań domowych, zmniejszeniu liczby godzin katechezy i wprowadzeniu nowego przedmiotu edukacji zdrowotnej, który zawiera liczne wątki seksualizujące dzieci i młodzież, można być pełnym obaw o przyszłość uczniów uczęszczających do polskich szkół.

Niedawno media obiegła wiadomość o utalentowanym trzecioklasistce ze szkoły podstawowej w Środzie Wielkopolskiej, który w nagrodę za zwycięstwo w konkursie matematycznym otrzymał książkę o... tranżycji. W tym miejscu trzeba wspomnieć, że kilka dni temu Polska zajęła 4. miejsce wraz z Japonią w klasyfikacji krajowej 66. Międzynarodowej Olimpiady Matematycznej, osiągając najlepszy wynik od pół wieku. W Sejmie postulowane jest natomiast wykluczenie matematyki z obowiązkowych egzaminów na maturze...

W zeszłym roku akcja rankingu szkół przyjaznych LGBT+ pierwszy raz zyskała patronat resortu edukacji, a wciąż chyba wiceminister rządu koalicji 13 grudnia zadeklarowała poparcie dla pomysłu, aby drag queen odwiedzały przedszkola. Takie spotkania miały już miejsce m.in. w poznańskiej placówce.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Polska pod rządami obecnej koalicji dryfuje w najlepsze w otchłań lewactwa i najgorszych ideologicznych absurdów, które szkodzą zarówno rozwojowi każdego z uczniów z osobna, jak i mogą zaważyć na przyszłości naszego narodu oraz państwa. Potwierdza to nie tylko promocja mężczyzn przebiegających się za kobiety na antenie państwowej telewizji, lecz także rekonstrukcja rządu, z której obronną ręką wyszła minister edukacji odpowiedzialna za opisane wyżej zmiany w nauczaniu. Niezależnie od publicznych deklaracji pozostanie na stanowisku szefowej MEiN Barbary Nowackiej może być słusznie uznawane za wyrażenie przez szefa rządu pełnej aprobaty dla jej dotychczasowych działań.

Znamienne, że w ostatnich dniach prezydent Donald Trump wycofał Stany Zjednoczone z Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw Edukacji, Nauki i Kultury. Powodem takiej decyzji jest m.in. wspieranie przez UNESCO kultury woke, w Europie znanej jako gender. A także to, że programy nauczania opracowane przez ONZ wprowadzają tematykę homoseksualizmu, transpłciowości, masturbacji, eksperymentów seksualnych i płynnej tożsamości płciowej już dla dzieci w wieku 0–4 lat. ➤

REKLAMA

Radio 106.2
Warszawa
dobrze słuchać

"Wywiad z człowiekiem"
Paweł Kęska
wtorek, godz. 22.00

13/0625/F



Walizka

Tomka Zajączkowski

dyrektora Muzeum Kawy w Krakowie

Siedem lat temu wraz z moim synem Ostapem rozpocząłem podróż po wielu krajach śladami kawy. Pasja zaowocowała tym, że statystycznie co drugi dzień przybywał kolejny artefakt do naszej kolekcji. Dziś, dochodząc do niemal 1,5 tys. eksponatów, apetyt na „nowe” kawowe starocie tylko się wyostrzył. Poznaliśmy czołowych kawowych kolekcjonerów z całego świata. Wymieniamy się eksponatami i wiedzą. I pewnego dnia... 300-letnie osmańskie kawiarki zaczęły cieszyć oczy krakowskich turystów, bowiem w maju br. przy ul. Józefa Dietla 29 w Krakowie otworzyliśmy pierwsze w Polsce Muzeum Kawy. W czterech historycznych salach 200-letniej krakowskiej kamienicy pachnie kawą i jej historią. Są tygielki, perkolatory pompowe, hydrostatyczne rewersyjne, recyrkulacyjne, syfony balansujące, makinetki i wiele innych. Można tu wypić kawę z syfonu i poczuć się jak Ludwig van Beethoven. Można skosztować sułtańskiej kawy z tygielka zaparzonej w łaźni piaskowej lub wprost przy stoliku w towarzystwie rozmów o życiu... Naszym marzeniem było, aby w murach Muzealna Café obcy ludzie się poznawali i zaczęli ze sobą spontanicznie rozmawiać. Marzenie się ziściło. Tak właśnie jest w Muzeum Kawy na krakowskim Kazimierzu. Bo kawa to rozmowa. A zaparzyć komuś kawę to jakby go przytulić.



TYGIELEK OSMAŃSKI

XIX-wieczny osmański mobilny tygiel.



Składana rękojeść, bogate zdobienia, podwozie na kółkach stanowią o jego unikalności. Znanych jest jedynie pięć tego typu egzemplarzy na całym świecie.

PATELNIĄ OSMAŃSKĄ TAVA

Kahve kavurma tavası – płaska, okrągła patelnia z długą rękojeścią, często wykonana z metalu (miedzi lub żelaza), używana tradycyjnie do ręcznego prażenia zielonych ziaren kawy nad otwartym ogniem. Rękojeść jest składana, co świadczy o użyteczności narzędzia w podróży – wszak Osmanowie byli wędrownymi wojownikami.





AQUILLAS Z FERRARY

Na przełomie XIX i XX w. Fratelli Santini produkował swoje aquillas – kawiarki ciśnieniowe zasilane palniczką spirytusową.

A gdy pod włoskie strzechy dotarł prąd, kawiarki zasilano już elektrycznie.



NERMINA ALIĆ

W Sarajewie mieszka kobieta, można o niej powiedzieć – cezwewoman. Jest to prawdopodobnie jedyna kobieta na świecie, która własnoręcznie robi tygiełki do kawy. Jest także autorką znicza olimpijskiego. Ten tygiełek podarowała naszemu muzeum.



SIMERAC

Na początku XX w. włoskie firmy prześcigały się w tworzeniu zaparzaczy do kawy. Firma Simerac była jedną z tych, które wiodły prym. Charakterystyczną cechą tej kawiarki jest działanie na trzech poziomach napięcia – 110, 150 i 230 V. Cóż za wspaniałe rozwiązanie dla globtroterów!



AMFORA Z KAWĄ

Uroczą ceramiczno-aluminiową kawiarką Amfora jest kolejnym dowodem, że to właśnie Włosi rządzą modą elegancją i stylem. Picie domowego espresso zaparzonego w takim naczyniu jest chwilą, którą celebrytuje się w każdym wymiarze.



STELLA BABY COFFEE

Kolejne kosmiczne dziecko włoskiego przemysłu kawowego z lat 60. ubiegłego stulecia. Firma Stella słynęła wtedy zarówno z klasycznych aluminiowych kawiarek, jak i zasilanych prądem kawiarek w kształcie... rakiety!



NESTOR MARTIN

XIX-wieczny żarnowy młyn do kawy z Francji, jeden z czterech rozmiarów produkowanych przez firmę Nestor Martin. Żeliwna konstrukcja i bardzo solidne żarna. Młynki tego typu były powszechnie używane w paryskich kawiarniach.



OSMAŃSKA CUKIERNICA

Ta osmańska cukiernica pochodzi z Albanii. Technika dekorowania naczynia wskazuje na silne wpływy tureckie. Turcy na wiele dekad zadomowili się na południu Europy i ślady wpływu ich kultury odnajdujemy tam do dziś. A kawa po turecku zawsze jest podawana z cukrem. No prawie zawsze.



SIEMENS

Wychodząc naprzeciw masowej migracji zarobkowej Turków na początku XX w., niemiecka firma Siemens opracowała tygiełek zasilany elektrycznie. Ten niemal stuletni egzemplarz zachował się w doskonałej kondycji.



KOFFIE Z OLKUSZA

Piękny emaliowany dzbanek do kawy odnaleziony w amsterdamskim antykwariacie wyjątkowo przypomina nam polskie dzbanki z Olkusza. To nie złudzenie, ale eksportowa wersja naszej rodzimej produkcji z Olkusza. Proudly made in Poland!



KAWA PO POLSKU

Wiele było niesprawiedliwości w czasach, gdy na półkach w sklepach stały tylko ocet i musztarda. Ale z pewnością jedno łączyło nas wszystkich: kolejka po paczkę kawy Selekt, gdy przed świętami rzucili kawę i pomarańcze do supersamów i sklepów GS. Takie stugramówki nie były tylko paczkami kawy, to była wręcz waluta!



Wysłuchał **Michał Korsun**

Zaskakujący brak poezji

*Czytelnicy serwisu Goodreads wybrali 10 najlepszych polskich książek. O skomentowanie tego zestawienia poprosiliśmy **prof. Macieja Urbanowskiego**, historyka, krytyka literatury i wykładowcę Uniwersytetu Jagiellońskiego*

Tym, co przede wszystkim rzuca się w oczy, jest fakt, że dominuje proza. Z pewnością nie jest to miarodajny zestaw. Ale pytanie jest takie, co ta lista mówi nam o zagranicznych czytelnikach polskiej literatury?

Maciej Urbanowski: Dla ścisłości warto jednak wspomnieć, że cała lista liczy 100 pozycji, a zamykają ją zbiór Andrzeja Sapkowskiego „Coś się kończy, coś się zaczyna”. Czy warto ją w ogóle komentować? Tak naprawdę nie wiem, kto brał udział w tym głosowaniu. Młodzi czy starzy? Panowie czy panie? Anglicy czy Szwedzi? Krytycy

czy tzw. zwykli czytelnicy? Chyba nie było zbyt wielu chętnych, skoro zwycięska „Lalka” otrzymała ledwie 120 głosów. A to kazałoby wysnuć ewentualnie pierwszy wniosek, że zagranicznych czytelników naszej literatury nie jest tak wielu. Gdyby traktować tę listę poważniej, ale wciąż z przymrużeniem oka – są przecież wakacje – to rzeczywiście zwraca uwagę nie tylko triumf „Lalki”, lecz także dominacja prozy. Poza „Tangiem” w pierwszej dziesiątce mamy siedem powieści, zbiór opowiadań Schulza oraz reportaż wojenny Kamińskiego. Nie ma poezji, z której – zda-

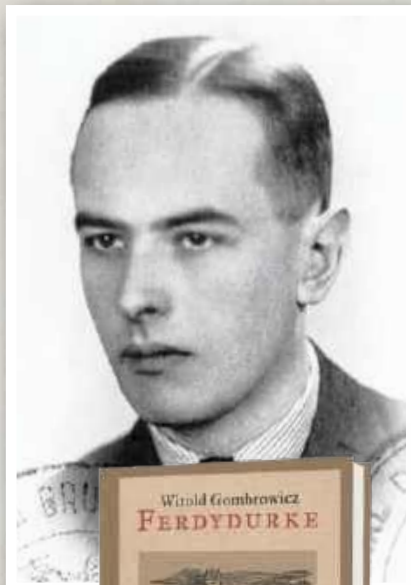


wałoby się – słynie nasza literatura! Nie ma Zbigniewa Herberta! Ciekawe też, że dominuje XX w. – pięć pozycji, ale dzięki Prusowi triumfuje XIX w., który reprezentuje jeszcze „Quo vadis”. Nie ma naszych wieszczów, nie ma książek z XVIII w. i wcześniejszych, jakby Polacy nie mieli tam nic godnego uwagi czytelnika. Nie ma – o zgrozo! – kobiet. Są dalej, ale nie w pierwszej dziesiątce.

Czy popularność „Lalki” zapewnia jej uniwersalność? Za podobnie uniwersalne można uznać „Tango” i „Ferdynand”.



Bolesław Prus
„Lalka”



Witold Gombrowicz
„Ferdynand”



Andrzej Sapkowski
„Wiedźmin: Krew Elfów”

Fot. Biblioteka Narodowa

Fot. Domena publiczna

Fot. Nicolò Garanti/wikipedia

Możemy się tego tylko domyślać. To samo pewnie dotyczy „Solaris” czy „Sklepów cynamonowych”. Rozumiem, że czytelnicy zagraniczni (i współcześni) znajdują w tych książkach problematykę im bliską, a zarazem odwieczną: miłości, wolności, buntu przeciw głupocie... Aby zrozumieć perypetie Wokulskiego, nie muszę wiedzieć o tym, że Warszawa była miastem okupowanym przez Rosjan. Choć równie prawdopodobne jest to, że szukają w „Lalce” czy „Ferdydurke” jakiejś wiedzy o Polsce i Polakach, o naszej historii.

No właśnie: są silne polskie akcenty, a więc korzenie chrześcijańskiej Europy i Sienkiewiczowskie „Quo vadis”, a także reporterska historia o najmłodszych ochotnikach w walce z okupantem, czyli „Kamienie na szaniec”.

Choć zaskoczyło mnie, że w tej pierwszej dziesiątce świadectw literackich nie ma doświadczenia obozowego,

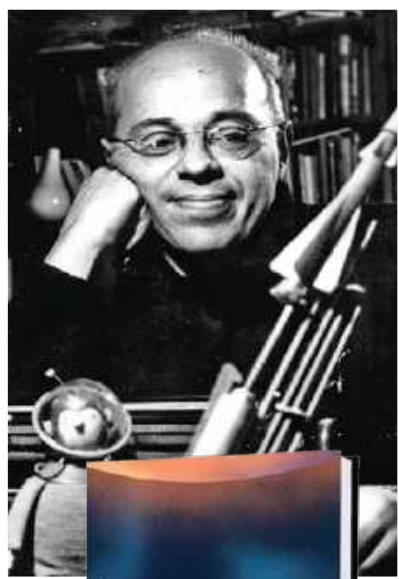
a szerzej – totalitarnego. Przecież polska literatura opisała to świetnie i wielostronnie. „Inny świat” Herlinga-Grudzińskiego jest wprawdzie II, ale jeszcze dalej są książki Tadeusza Borowskiego czy Hanny Krall. Daleko jest „Zniewolony umysł” albo „Madame”, w ogóle nie ma Józefa Mackiewicza. Czy polskim pisarzom nie udało się napisać dzieła, które pozwoliłoby zagranicznym czytelnikom zrozumieć, czym był komunizm albo hitleryzm? Czy raczej to doświadczenie nie jest dla tych czytelników ciekawe, „uniwersalne”? Niestety chyba to drugie.

Swoją drogą „modna” współczesna proza to przede wszystkim saga o wiedźminie, ale brakuje lansowanej Olgi Tokarczuk, nie ma Twardocha. Jak pan to komentuje?

Tak, Sapkowski zdecydowanie rządzi, Tokarczuk zjawia się bodaj na miejscu 28. Autor sagi o wiedźminie jest

też jedynym reprezentantem literatury III Rzeczypospolitej, choć akurat wszystkie jego dzieła z tej pierwszej dziesiątki zostały napisane u schyłku XX w. Jakby potem nie powstało nic wybitnego. W jakimś sensie zaskakuje brak noblistki, a także polskiej literatury ostatnich 25 lat. Przecież jest ona tłumaczona, te przekłady od lat wspiera Instytut Książki. Ale widocznie nie trafia ona do zagranicznych czytelników. Nie przechodzi sprawdzianu „arcydzieła”, owej „uniwersalności”, o której pan wspominał. To byłoby paradoksem, bo przecież najgłośniejszy nurt naszej krytyki po 1989 r. dowodził i dowodzi, że nasza literatura była dotąd prowincjonalna, zanadto zanurzona w doświadczeniu polskiej historii. Ale ta zadekretowana z góry europejskość i światowość jakoś się nie sprawdzają. Może to, co ważne w polskiej literaturze XXI w., nie zostało jeszcze „wylansowane”?

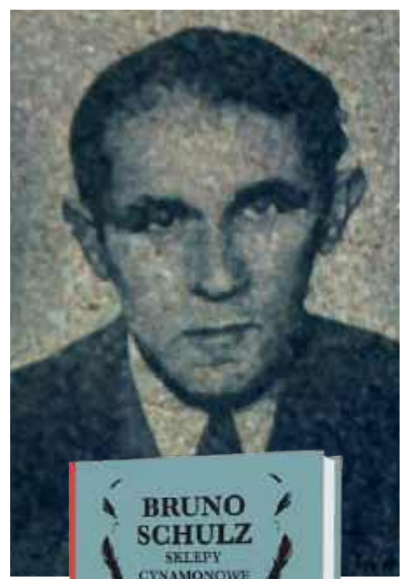
Rozmawiał **Maciej Walaszczyk**



Stanisław Lem
„Solaris”



Henryk Sienkiewicz
„Quo Vadis”



Bruno Schulz
„Sklepy cynamonowe”

Akcja konfrontacja



**Samuel
Pereira**

Wracając na krajową scenę polityczną, Donald Tusk obiecywał nową jakość, spokój i europejski standard. Wmawiał, że będzie gwarantem powrotu do normalności, ładu i praworządności. Co dostaliśmy? Wojnę. Ale nie z biedą, inflacją, wykluczeniem społecznym. Wojna toczy się z prezydentem, opozycją, własnymi koalicjantami i – przede wszystkim – rozsądkiem. Bo gdy brak pomysłu na realne reformy, zostają tylko emocje. A w tym Donald Tusk zawsze był mistrzem.

Zamiast budować rząd kompetencji, premier postawił na sprawdzony zestaw: wierni, agresywni i bezkrytyczni. Marcin Kierwiński – minister bez zaplecza, za to z gorącą głową i chłodnym stosunkiem do niuansów – wraca, jakby nic się nie stało. Radosław Sikorski awansuje na wicepremiera. Czemu? By z jeszcze większym impetem wbijać szpile pałacowi prezydenckiemu i dolewać oliwy do ognia wojny polsko-polskiej. A na stanowisku „nowego Bodnara” Waldemar Żurek, symbol sądowej radykalizacji, dla którego umiarkowanie to obelga, a kompromis – zdrada.

To nie przypadek, lecz strategia. Im głośniejsze, im ostrzejsze, im bardziej emocjonalne, tym lepiej dla Tuska. Twardy

elektorat to kupuje. Media sprzyjające władzy nie nadążają z transmisjami, a polityczny show trwa. Koalicjanci? Na razie milczą. Może nie widzą, a może nie chcą widzieć, że są tylko tłem w tej wojennej inscenizacji. Bo w teatrze Tuska liczy się tylko główny aktor – on sam.

Tymczasem zwykli Polacy nie dostają ani reformy zdrowia, ani edukacji, ani impulsu rozwojowego. Dostają kolejne konferencje prasowe, ataki personalne, podgrzewane konflikty i chaos. Polska polityka zamienia się w niekończący się odcinek reality show, w którym najważniejsze jest to, kto kogo bardziej obrazi, a nie kto co zrobi.

To nie jest odpowiedzialna polityka. To nie jest polityka przyszłości. To cyniczna gra, w której kraj staje się tłem dla osobistych ambicji i partyjnych kalkulacji. I choć na krótką metę taka strategia może przynieść zyski sondażowe, to na dłuższą prowadzi tylko do społecznego wypalenia, chaosu i frustracji. A wszystko to dzieje się na naszych oczach. Zamiast rozwoju – napażanka. Zamiast zgody – konfrontacja.

Rekonstrukcja nędzy...

Donald Tusk ogłosił rekonstrukcję rządu. Miało być nowe otwarcie, a wyszła groteska. Bo jak inaczej nazwać ten spektakl, w którym dramatycznie nieudolnych ministrów zastępują jeszcze bardziej nijakie twarze? To jawna kpina z obywateli.

Tusk przez lata miał wyjątkowy talent do tworzenia złudzeń. Fatalna polityka, ale świetna narracja. Potrafił czarować, przekonywać, że robi „ciężką robotę dla Polski”. Dziś już nawet ten czar prysł. Konferencja prasowa, podczas której zaprezentował „nowe otwarcie”, pokazała tylko jedno – premier naprawdę stracił kontakt z rzeczywistością. Społeczny instynkt, który niegdyś pozwalał mu wyczuwać nastroje, po prostu się wyczerpał.

Ministerstwo Sprawiedliwości – kluczowy resort państwa prawa – z rąk Bodnara trafia do Żurka. Tak, tego samego Żurka – symbolu sądowej kasty,

która przez lata robiła z wymiaru sprawiedliwości bastion własnych interesów, oderwany od obywateli, oderwany od odpowiedzialności. To nie reforma, lecz triumf degeneracji.

Na stanowiskach zostają kompromitacje w stylu Hennig-Kloski – twarzy afery wiatrakowej. A resort energii, filar bezpieczeństwa narodowego, trafia w ręce Miłosza Motyki. Człowieka bez dorobku, bez kompetencji, ale z jedną zaletą: jest wierny Tusкови bardziej niż własnemu liderowi partyjnemu. To nie nominacja, lecz polityczna korupcja.

I na koniec wisienka na torcie – Radosław Sikorski, awansowany do rangi wicepremiera. Człowiek, który publicznie stwierdził, że Polska... skorzystała na II wojnie światowej. Człowiek z zachwytem cytowany przez rosyjskich propagandystów. Dziś ma reprezentować Polskę na arenie międzynarodowej. To nie błąd, lecz sabotaż.

Rekonstrukcja rządu Tuska to nie próba naprawy. To akt politycznego upadku. Zmiana personalna, która z groteski robi tragedię. Zmiana, która mówi Polakom: „Nie liczcie na lepsze, teraz będzie jeszcze gorzej”. Dziś ten rząd to nie tylko chaos i brak kompetencji, lecz także bezczelna demonstracja, że wszystko można, jeśli ma się medialną ochronę i lojalnych funkcjonariuszy zamiast ministrów.

Rekonstrukcja? Nie. To degeneracja. Zły rząd został zastąpiony jeszcze gorszym. I to już nie jest problem partii rządzącej – to problem dla całej Polski.

Arkadiusz Mularczyk



TRENDY I OWĘDY

Będą nas domykać!

Dlaczego rządy Europy bardziej się troszczą o migrantów niż o własnych obywateli? U nas też oczkiem w głowie władzy jest migrant, a obywatel Polak ma być grzeczny i uprzejmy dla przybysza. Ruch Obrony Granic, będący autentycznym oporem przeciwko przetrzucaniu do nas z Niemiec niechcianych gości, jest przez samego premiera traktowany jak bojówki. Polska zawsze chciała gonić Zachód. Teraz sytuacja raptownie się zmieniła. Nie chcemy mieć tak jak na Zachodzie. Nie chcemy mieć migrantów, którzy tworzą getta, niedostępne nawet dla policji, którym trzeba zakazywać wstępu na baseny. Jednak jest na nas wywierana niezwykła presja, byśmy dołączyli do krajów „cywilizowanych”.

We władzach Unii Europejskiej udało się zainstalować taką ekipę, która chętnie partycypuje w dokonaniu znaczących zmian ludnościowych na Starym Kontynencie. Może dojść do tego, że w niezbyt odległej przyszłości rdzenni mieszkańcy Europy staną się mniejszością. I chyba taki jest cel. Pojawia się pytanie: czyj? Kto ma w tym interes? I tutaj widzimy nie tyle teorię spiskową, ile wdrażaną praktykę spiskową.

Trudno się oprzeć wrażeniu, że mityczny rząd światowy jednak istnieje. Domyka się globalny ład, w którym na luksusowe życie kasty uprzywilejowanych pracują zniewolone masy mamione „demokracją”, w której wybory wygrywają ci, którzy mają je wygrać.

I znowu jest problem z Polską! Zamiast kandydata Niemiec i Sorosa wybrano Karola Nawrockiego. Nie domknęło się. Nie ludźmy się! Będą nas domykać! Ale nie po to mamy geny po Piastach, żeby nas domykało jakieś spiskowe lobby.



Ryszard Makowski

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

NA DNIĘ BAŁTYKU, 6 KM OD ŚWINOUJŚCIA, ODKRYTO NAJWIĘKSZE ZŁOŻA ROPY NAFTOWEJ I GAZU ZIEMNEGO W HISTORII POLSKI. SPRZECIW JUŻ ZGŁASZAJĄ NIEMIECKIE ORGANIZACJE EKOLOGICZNE, KTÓRYM DO TEJ PORY NIE PRZESZKADZAŁO OK. 50 TYS. TON ZATOPIONEJ PODCZAS II WOJNY ŚWIATOWEJ PONIEMIECKIEJ BRONI CHEMICZNEJ.



SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORY: GORAN ANDRIJANIC, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARŃOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.

PREZES: ROMUALD ORZEŁ

UL. LEGIONÓW 126-128,

81-472 GDYNIA

REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA,

MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:

MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI,

KATARZYNA ŁASKOWSKA

PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN

FOTODYDZIA: ROBERT GOŁASZEWSKI,

ROBERT.GOŁASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:

TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)

PRENUMERATA@FRATRIA.PL

REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE

WWW.SIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:

91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,

W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO

WYSŁYKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARŃOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NAŁASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:

KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:

REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAŻ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZĘGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).

REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYM.

OŚWIADCZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU

POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.

BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH

PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST

ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. ANDRZEJ WIKTOR, LUDMIŁA KAZAKOVA, IPHUS, SHUTTERSTOCK/NATALI LURAWINA, LEE CHARLIE, KOZŁUK, LARYSAPOL, KATERYNA KON

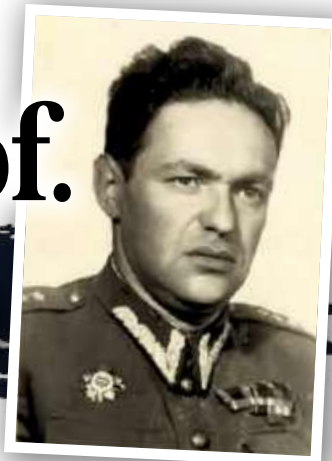
Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	373 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

*Dane do przelewu w stopce redakcyjnej

Maksymilian Sznepf.

Zafałszowany życiorys



Od kilku tygodni jedną z ważniejszych postaci debaty publicznej jest Maksymilian Sznepf (1920–2003). To były funkcjonariusz partyjny i oficer aparatu bezpieczeństwa komunistycznego państwa, którego dziś próbuje się wybielić m.in. poprzez usunięcie go z historii największej zbrodni dokonanej po wojnie w Polsce przez sowieckie organy bezpieczeństwa



PIOTR GONTARCZYK

Zyciorys Maksymiliana Sznepfa jest z grubsza znany, ale nie został dokładnie opisany. Manipulacje w tej sprawie mówią sporo zarówno o polskiej przestrzeni medialnej, jak i Wikipedii, w której różne grupy wpływów mogą dowolnie preparować historię. Ten portal słusznie nazwano kiedyś „encyklopedią głupców”.

WĄTPLIWE DOKONANIA

Sznepf urodził się w Drohobycz, gdzie uczęszczał do Państwowego Gimnazjum im. Króla Władysława Jagiełły. W powojennych ankietach podawał, że ukończył 10 klas. Kłamał. Nauka trwała tam 7 lub 8 lat, a on ukończył może 3 klasy. Nie miał więc średniego wykształcenia. Od 1936 r. pracował w Drohobycz, potem w Łodzi.

Wedle Wikipedii w 1940 r. Sznepf miał ochotniczo wstąpić do Armii Czerwonej. Może w oczach niektórych internetowych logarytmów to rzecz nobilitująca jako „gotowanie się do walki

z faszyzmem”. Ale to też nieprawda. Do wojska trafił z poboru, który Sowietzi prowadzili na terenach okupowanej Polski. Służył w 66. Pułku Artylerii Haubic w Penzie. Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej, w lipcu 1941 r., jego jednostka została rozbita pod Żłobinem na Białorusi, a Sznepf trafił ranny do szpitala. Wedle Wikipedii później miał walczyć w Stalingradzie. To też nieprawda: leżał tam przez chwilę w szpitalu skąd ewakuowano go na Kaukaz przed bitwą, w której nie brał udziału.

W 1943 r. Sznepf miał wstąpić do 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki formowanej w Sielcach nad Oką. Nie „wstąpił”, tylko został skierowany do służby przez sowieckie władze jako przedwojenny obywatel II RP.

W czasie wojny miał być kilkakrotnie odznaczony. O najważniejszym z odznaczeń jest mowa na jego płycie nagrobnej: „Kawaler krzyża Virtuti Militari, płk dyplomowany Maksymilian Sznepf”. W ludowym WP Virtuti Militari było czymś w rodzaju winiety, którą od pewnego stanowiska mógł się wylegitymować prawie każdy. Rozdając go na prawo i lewo, komuniści działali w zrozumiały – z punktu widzenia ich interesów – sposób: z jednej strony zdobywali poparcie, z drugiej nobilitowali „swoich” jako bohaterów przed Polakami. Za co Sznepf dostał to odznaczenie? To trzeba zweryfikować w jego

teczce osobowej żołnierza i innej dokumentacji w Centralnym Archiwum Wojskowym. Np. Wojciech Jaruzelski twierdził, że otrzymał krzyż VM za męstwo w walce z Niemcami. Po sprawdzeniu okazało się, że dostał go za zwalczanie podziemia, czyli „walkę z bandami”. Należy mieć nadzieję, że ktoś dokładnie zbada i opíše wojskowe oraz partyjne dokumenty dotyczące Sznepfa, bo jego życiorys to historia mocno dziurawa i częściowo sfałszowana.

ZWYKŁY ZBRODNIARZ

Ale już dziś wiadomo, że w lipcu 1945 r., w czasie oblawy augustowskiej, Sznepf dowodził oddziałem wydzielonym z 1. DP ludowego WP liczącym maksymalnie ok. 150 żołnierzy. Odpowiedź na pytanie, dlaczego dowodził właśnie on, wydaje się prosta: jako były krasnoarmieje mówiący biegle po rosyjsku, znający sowieckie regulaminy i metody działania, był predestynowany do tej współpracy jak mało kto. W czasie oblawy oddział Sznepfa miał zatrzymać ponad 50 osób. Potem zostały one przekazane „Smierszowi”, który poddawał schwytanych brutalnemu śledztwu połączonemu z torturami. Część z tych ludzi nie wróciła do domów, co znaczy, że zamordowano ich w tej największej powojennej sowieckiej zbrodni na ziemiach polskich, która pochłonęła ok. 600 ofiar. Doły z ciałami zabitych najprawdopodobniej znajdują się tuż za polsko-białoruską granicą, ale ze względu na sowiecką naturę mińskiego reżimu niemożliwe jest dokonanie badań i przeprowadzenie godnego pochówku ofiar.

W mediach dominuje informacja, że oblawa augustowska była akcją wymierzoną w polską konspirację. To prawda,

w tym maju
 W 1943 r. zostatem powołany do oddzielenia im.
 T. Kosciuszki i ukonieczym i ukadę oficera
 w Liebstadt, zostatem przydzielony do 1 pp.
 i z nim to przeszedłem całą drogę bojową
 od Leningradu do Berlina. W czasie wojny obwodziłem
 Danzig, Płotsk i Kompania.
 Po wojnie brałem udział w likwidacji band
 w Białostockim. Ukonieczym Kurs OD przy A.R. 1st. gen.
 Do partii wstąpiłem w październiku 1946 r.

ale nie oddaje ona jej *modus operandi*.
 Bo w znikomym stopniu była to walka
 z leśnymi oddziałami, a głównie regu-
 larne polowanie na ludzi, których wy-
 ciągnano z domów, łapano na drogach.
 Zabierano osoby podejrzewane o kon-
 takty z podziemiem, w sumie jednak
 bezbronnych mężczyzn, kobiety
 i dzieci. Udział Maksymiliana Sznepfy
 w obławie nie jest związany z akcją
stricto wojskową. To była głównie
 pacyfikacja ludności i eksterminacja
 lokalnego elementu patriotycznego.

KONTROWERSJE

W Domu Pamięci Ofiar Obławy
 Augustowskiej nie ma informacji
 o Maksymilianie Sznepfie, co należy
 zawdzięczać nowemu kierownictwu
 Instytutu Pileckiego, któremu pod-
 lega ta placówka, z prof. Krzysztofem
 Ruchniewiczem na czele. Został on
 szefem IP po wyborach 2023 r., po
 wyrzuceniu z niego właściwej twór-
 czyni Domu Pamięci prof. Magda-
 leny Gawin.

Dziennikarze wskazują na jego
 bezpośrednie kontakty z synem
 Maksymiliana Sznepfy Ryszardem,
 który dziś aspiruje na sta-
 nowisko ambasadora Polski we
 Włoszech. Instytut Pileckiego tak
 odpowiadał na krytykę przemil-
 czenia nazwiska jego ojca na nowo
 otwartej ekspozycji: „Porucznik
 Maksymilian Sznepf dowodził jed-
 nostką ludowego WP o wielkości
 110–160 żołnierzy, która zatrzymała
 22 osoby, z których część nigdy
 nie wróciła do domu. W Obławę

Życiorys
 Ja Sznepf Maksymilian urodziłem się 10. XII 1920
 w Łodzi. Siostrę powołując i według ukonieczym w swoim
 rodzinnym mieście. Do czasu powołania do Wojska
 Polskiego pomagałem rodzinie pracując w fabryce
 włókienniczej.
 W styczniu 1945 r. powołany zostatem do Wojska Polskiego,
 przechodząc drogę bojową od Warszawy do Berlina.
 Byłem dwa razy ranny.
 W marcu 1945 r. zostatem wyznaczony na stanowisko Kurs
 oficerski, którą ukonieczym w stopniu podporucznika,
 z nadaniem na stanowisko dowódcy Kompanii.
 Do roku 1950 pełniłem kolejno funkcje dowódcy
 batalionu i zastępcy dowódcy pułku do spraw
 liniowych.
 W 1950 r. zostatem wyznaczony na A. Kadencję Szefa
 Generalnego, którą ukonieczym w 1953.
 Po czasie powołania na stanowisko Attache Wojsko-
 wego pełniłem obowiązki Dowódcy Pułku
 Junpf
 Warszawa 17 lutego 1954 r.

Falszywy życiorys Maksymiliana Sznepfy spreparowany przez wywiad PRL
 w celu zatajenia przed Amerykanami jego służby w Armii Czerwonej
 oraz służby w Zarządzie II SG WP, czyli wywiadzie wojskowym PRL

zaangażowanych było 45 000 żołnierzy, udział jednostki Schnepfa stanowi jedynie 2 promile tych sił [...] próby czynienia z por. Schnepfa symbolem Obławy Augustowskiej mają wyraźny charakter polityczny, wynikający z pokrewieństwa rodzinnego, a nie znaczenia historycznego”.

Tu trzeba wyjaśnić rzecz podstawową: historycy (chyba tak jak miejsca pamięci) mają obowiązek wyjaśniać i opisywać wszelkie okoliczności dokonanej zbrodni. Obławę augustowską przeprowadziły duże siły 3. Frontu Białoruskiego, które, jak pisał w sprawozdaniu starosta augustowski Antoni Toczyłowski, *de facto* wyłączyły jurysdykcję nad tymi terenami legalnych, rzekomo suwerennych władz państwowych. Ale historyk opisuje w takich sprawach również okoliczności, a także ofiary i sprawców. Tym ostatnimi byli Sowietci, korzystający ze wsparcia jednostki ludowego WP (dowodził nią Schnepf) oraz grupy zdrajców i kolaborantów z UB. Należy do nich zaliczyć Jana Szostaka z Powiatowego Urzędu BP w Augustowie oraz innego ubekę, późniejszego generała PRL Mirosława Milewskiego. O nich też trzeba wspominać w imię rzetelnego opisu tej historii.

NIEOBECNOŚĆ STRICTE POLITYCZNA

Ale mimo oczywistych „zasług” w obławie Schnepfa pominięto w nowo otwartej ekspozycji Domu Pamięci Ofiar Obławy Augustowskiej. To wywołało zasadną krytykę. W odpowiedzi oficjalny komunikat obecnego kierownictwa tej instytucji głosił: „Próby czynienia z por. Schnepfa symbolem Obławy Augustowskiej mają wyraźny charakter polityczny, wynikający z pokrewieństwa rodzinnego, a nie znaczenia historycznego”. To nonsensy: ze Schnepfa nie próbowano robić symbolu obławy, chodziło tylko o w pełni zasadne zaznaczenie sił „polskich” w tej akcji w imię prawdy historycznej i komplementarności opisu. Argument o „promilach” udziału dowódcy jednostki IWP Schnepfa są niepoważne. A „wyraźny charakter

Działalność Maksymiliana Schnepfa przeciwko niepodległościowym aspiracjom Polaków nie ograniczała się do udziału w obławie augustowskiej. Sam chwalił się w jednej z ankiet osobowych, że został ranny w walce z „bandami”

polityczny” miała próba usunięcia go z tej historii z niejasnych (no właśnie: może chodziło o owo „pokrewieństwo rodzinne?”), pozamerytorycznych względów.

W3/00 256/52.

DOŚCIŚLE TAJNE
Zgł. Jedyny.

"ZATWIERDZAM"
SZEF ZARZĄDU II SZPABU GEN.

W E D M E D' PIK.

" " kwietnia 1954 r.

27

44

ROZKAZ OPERACYJNY Nr. 1/54

DLA

ATTACHE WOJSKOWEGO, MORSKIEGO

I LOTNICZEGO PRZY AMBASADZIE

P.R.L. w WASHINGTONIE

PIK. SCHNEFF Maksymiliana

PSEUDO. "C Z A P I A"

1. Dnia "23" ... kwietnia 1954 r. wyjechać do Stanów Zjednoczonych Ameryki, celem objęcia stanowiska Attache Wojskowego w Waszyngtonie.
2. W pracy operacyjnej nazywać się Was, rezydentem - "legalnej rezydentury" - "GŁIAZDO", na terenie Stanów Zjednoczonych.
3. Wykorzystując oficjalne stanowisko Attache Wojskowego, zdobywać wiadomości wywiadowcze i inne informacje w/g następujących zasadniczych zagadnień:
 - Zdobywać wszelkie materiały tajne, dotyczące armii St. Zjednoczonych, drogą oficjalną i półoficjalną.
 - Zdobywać wszelkie regulaminy i wydawnictwa dotyczące armii St. Zjednoczonych.
 - Na podstawie własnej obserwacji, rozmów i prasy /zwłaszcza lokalnej/ opracowywać raporty wojskowe i ekonomiczne.

W odpowiedzi na kolejną falę krytyki reprezentująca dziś Instytut Pileckiego Luiza Jurgiel-Zyła napisała, że „Schnepf był jednak mniej ważną postacią w katowaniu Polaków”. Nie wiadomo nawet, jak komentować tego rodzaju przejawy braku empatii dla ofiar połączonej ze skrajną bezmyślnością. Może następnym razem uda się autorce ustalić prawidłową pisownię nazwiska osoby, o której pisze...

„NAUCZYCIEL AKADEMICKI”

Oficjalny życiorys Maksymiliana Schnepfa w Wikipedii zawiera wiele intrygujących i dziwnych informacji. Można w nim np. przeczytać, że był

on „nauczycielem akademickim”. A co wykładał? Po usunięciu go z Zarządu II Sztabu Generalnego IWP, gdzie służył w latach 1951–1954 (a więc mamy do czynienia z funkcjonariuszem organów bezpieczeństwa komunistycznego państwa) i odstawieniu na przysłowiowy boczny tor, Sznepf przez wiele lat kierował Studium Wojskowym na Uniwersytecie Warszawskim. Dla świata akademickiego było to ciało obce – grupa wojskowych nieuków i politruków, którzy na zajęciach w Wydziale Historii nie radzili sobie z symbolicznym pytaniem: „Czy można zrobić luk z drzewa genealogicznego”? Ich szef jest dziś opisywany jako „wykładowca akademicki”. Zamiast komentarza warto tu dodać informacje, które można znaleźć w aktach IPN, ale w Wikipedii ich nie ma.

Działalność Maksymiliana Sznepfa przeciwko niepodległościowym aspiracjom Polaków nie ograniczała się do udziału w obławie augustowskiej. Sam chwalił się w jednej z ankiet osobowych, że został ranny w walce z „bandami”. To raczej nie mogło się zdarzyć podczas obławy, tylko w czasie wcześniejszych (i późniejszych) walk 1. Pułku Piechoty 1. Dywizji Piechoty (tzw. kościuszkowcy) z polskim podziemiem na Białostocczyźnie, w których Sznepf niewątpliwie brał udział. Szczegóły będzie można ustalić podczas kwerendy w dokumentacji zachowanej w Centralnym Archiwum Wojskowym. Ale już dziś wiemy, że po wojnie Sznepf sam chwalił się w swoim kwestionariuszu osobowym ową raną poniesioną „w walkach z bandytyzmem”.

NIEDOSZŁY AGENT WYWIADU PRL

Jest jeszcze inny element jego życiorysu, którego nie ma w „encyklopedii głupców”, a tym samym nie jest znany szerszej opinii publicznej. 4 stycznia 1954 r. p.o. szefa Zarządu II Sztabu Generalnego IWP (wywiad) płk Fiodor Wiedmied zwrócił się pisemnie do szefa Sztabu Generalnego WP gen. Borysa Pigariowicza o zezwolenie na wysłanie ppłk. Maksymiliana Sznepfa jako attaché wojskowego przy ambasadzie

PRL w Waszyngtonie. Uwagę zwracają nazwiska adresata i nadawcy tej korespondencji. To czasy, kiedy nie tylko cały Zarząd II SG WP, lecz także kierownictwo ludowego WP znajdowało się w rękach Sowietów, czasowo „pełniących obowiązki Polaka”.

Oczywiście misja attaché wojskowego miała być tylko przykrywką dla właściwych zadań szpiegowskich. Sznepf został przeszkolony w arkanach szpiegowskiego rzemiosła: od zbierania informacji i werbunku agentury po zasady tajnej łączności. Na potrzeby dokumentacji tworzonej w celu uzyskania amerykańskiego agreement dla

Płk Maksymilian Sznepf miał pełnić funkcję attaché wojskowego przy ambasadzie PRL w Waszyngtonie. Działo się to w 1954 r., czyli pod pełnym nadzorem sowieckich towarzyszy. Został przeszkolony do zadań szpiegowskich. Ale jego misję odwołano

misji nowego attaché spreparowano mu nawet nowy życiorys, wedle którego Sznepf trafił do wojska dopiero w 1944 r. już w Polsce. Zamierzano zataić przed Amerykanami jego służbę w Armii Czerwonej. W tajnej łączności wewnętrznej wywiadu nowy rezydent w Waszyngtonie miał się posługiwać pseudonimem „Czapla”.

Jednak do wysłania „Czapli” do „gniazda” nie doszło. W kwietniu 1954 r. zapadła decyzja, że wyjazd Sznepfa jest nieaktualny „ze względów zasadniczych”. Nie jest pewne, o co dokładnie chodziło. Wydaje się, że o pochodzenie, bo w tym okresie już raczej nie wysyłało z ZSRS na takie misje osób pochodzenia żydowskiego. Pewnie dlatego ppłk. Sznepfa skierowano potem na stanowisko szefa

Studium Wojskowego UW, choć przed odejściem na emeryturę ok. 1970 r. – to już rzecz usunięta z jego biografii – Sznepf był funkcjonariuszem Wydziału Propagandy KW PZPR w Warszawie.

POSTULATY BADAWCZE

Jak widać, zbrodniczy udział w obławie augustowskiej to tylko fragment „zasług” Sznepfa dla komunizmu i jego walki z niepodległościowymi aspiracjami Polaków. Dokładne opisanie tego życiorysu będzie możliwe dopiero po solidnej kwerendzie w dostępnych w tej sprawie aktach. Na razie jest tak,

że mamy do czynienia z poważnymi lukami i informacjami, które (np. w Wikipedii) zostały sfalszowane.

Skoro jednak obecna rzeczniczka Instytutu Pileckiego wywołała temat powiązań rodzinnych, niepotrzebnie miesząc historię z bieżącą polityką, to może do uzupełnienia życiorysu Maksymiliana Sznepfa zaangażować jego syna, obecnego kandydata na ambasadora RP we Włoszech? W 2019 r. był on krytykowany za podpisanie się pod listem do Donalda Trumpa przed jego wizytą w Polsce. Dlaczego? Bo opisał nasz kraj jako „niepraworządny”. Mierząc się z krytyką tego czynu, Ryszard Sznepf bronił się w radiu RMF FM, twierdząc, że czasem nie można milczeć: „To jest taka chyba niezbyt dobra tradycja, na której ja też się wychowałem: »Nie mów nikomu, co się dzieje domu«. Ale pamiętajmy

o tym, że konsekwencje są niekiedy bardzo smutne i codzienne, np. bite żony w domach alkoholików, maltretowane dzieci”. Uznałbym te słowa za pomieszanie różnych wątków spowodowane niewyszukaną błyskotliwością ambasadora *in spe*, gdyby nie reakcja dziennikarza RFM prowadzącego wywiad. Ten, słysząc odpowiedź Sznepfa, nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Miało być o Polsce, a wyszło jakoś dwuznacznie.

Można mieć nadzieję, że Ryszard Sznepf kiedyś rozwinie ten wątek i powie, o co mu chodziło. Można szczerze i bez konsekwencji: jakby co, to i tak wszystko w „Wikipedii” wyczyszczą.

*Autor jest pracownikiem IPN.
Poglądy wyrażone w tekście
są wyłącznie jego opiniami*



Przeciekająca łajba Tuska

Premier przeprowadził nie tyle rekonstrukcję rządu, ile desperacki ostatni zaciąg. Dlaczego? Bo udział w jego rządzie pod koniec lipca 2025 r. to żadna atrakcja



STANISŁAW JANECKI

Wystąpienie premiera Donalda Tuska tłumaczącego rekonstrukcję rządu miało trzy żenujące i kompromitujące elementy. Poza tym było chyba pierwszym w historii po 1989 r. niezawierającym żadnej myśli programowej. Literalnie żadnej, bo nie jest programem triada „porządek – bezpieczeństwo – przyszłość”, która nic nie znaczy.

Pierwszą kompromitacją było przekreślenie dwóch pierwszych wersów hymnu narodowego. Tusk powiedział: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy”, choć

w „ustawie o godle, barwach i hymnie Rzeczypospolitej Polskiej oraz o pieczęciach państwowych” w tekście występuje „kiedy”, a nie „póki”. Druga kompromitacja to przedstawienie członków rządu tak, jakby byli konkwestadorami Hernána Cortésa. Tusk odwołał się do opowieści o „spalonych okrętach”, czyli wydarzenia z 1519 r. podczas hiszpańskiej ekspedycji na tereny dzisiejszego Meksyku. Cortés, dowódca wyprawy, miał rzekomo nakazać spalenie okrętów, żeby zmotywować swoich ludzi do kontynuowania podboju imperium Azteków, eliminując możliwość odwrotu. Prawdziwość tego opisu jest wątpliwa, a jego wymowa dowodzi, że Tusk strzelił sobie w kolano. Ludzie Cortésa byli zmęczeni, zniechęceni i chcieli wrócić do Hiszpanii. Dowódca w istocie zapobiegł buntowi i zmusił ich do zaangażowania w wyprawę. W wersji czytankowej „spalenie okrętów” jest

symbolem determinacji i strategii „braku odwrotu”, ale naprawdę to historia przymusu i beznadziei.

Trzecia kompromitacja Tuska to przedstawianie wszelkiej krytyki jego rządu jako działania na zlecenie bądź w interesie Putina i „ruskich”. Jeśli opozycja krytykuje rząd, co jest przecież wręcz jej obowiązkiem, staje się właściwie agenturą Putina i premier musi się z nią rozprawić.

Jeśli chodzi o sens, nie tyle jest to rekonstrukcja, ile ostatni zaciąg – jak „ostatni zajazd na Litwie” (w narodowej epopei Mickiewicza). Desperacki, bo chętnych miało być mniej niż zwalnianych miejsc. Dlatego nowych jest zaledwie siedmioro ministrów, a z zewnątrz przyszły tylko trzy osoby. Dlaczego? Bo udział w rządzie Tuska pod koniec lipca 2025 r. to żadna atrakcja, lecz kłopot i balast. Przekonuje o tym decyzja Aleksandry Leo (jakkolwiek tłumaczona), by jednak nie być ministrem kultury, mimo że była już obsadzona w tej roli.

KOMANDOSI NA DOPINGU

Podczas ogłaszania rekonstrukcji starzy i nowi ministrowie stali mocno zakłopo-

Fot. KPRM

tani, bo byli tylko dekoracją dla Tuska. A miny mieli takie, jakby prowadzono ich na ścięcie, a przecież miał to być festyn.

Tusk nazwał ich „komandosami”, co jest groteskowe, gdyż tacy „komandosi” prędzej przewróciliby się o własne nogi, niż cokolwiek zdobyli. Ci „komandosi” byli sparaliżowani strachem. Premier przyznał, że są „poobijani”, ale to nic. I odwołał się do trwającego właśnie wyścigu Tour de France (widać, że nadal bardziej interesują go transmisje sportowe, niż kierowanie rządem), a konkretnie do rywalizujących o zwycięstwo Słoweńca Tadeja Pogačara i Duńczyka Jonas Vingegaarda. „Prawie na każdym etapie uczestniczą oni w kraksach i upadają – mówił Tusk – ale zawsze się podnoszą i nawet nie myślą o wycofaniu się”. To piękna bajka, ale równie bałamutna jak ta o „spalonych okrętach” Cortésa. Coraz więcej ekspertów, w tym lekarze zajmujący się sportowcami, wątpi w „naturalną” czy wręcz nieludzką moc Pogačara i Vingegaarda. Tym bardziej gdy pamięta się wielkie skandale dopingowe z udziałem gwiazd, takich jak Lance Armstrong, Richard Virenque, Jan Ullrich czy Alberto Contador.

Tusk nie ma szczęścia do posługiwania się przykładami mającymi dowodzić wyjątkowości swego rządu. Ten gabinet jest pod tym względem bezprecedensowy, bo stanowi zbieraninę, a po rekonstrukcji jeszcze bardziej nie wiadomo, po co ona powstała. Premier zapewnił, że powinna działać jako swego rodzaju młot na czarownice, a w tej roli obsadził polityków Prawa i Sprawiedliwości.

Rekonstrukcja nie tworzy gabinetu przełomu czy nawet „nowego początku”. Torząd przetrwania – na przeciekającej, beładnie dryfującej łajbie z załogą nieprzygotowaną do działania w obliczu sztormów. Co gorsze, nie wiadomo, dokąd ta łajba zmierza.

Przeciekają przede wszystkim krajowe finanse, więc oddanie jeszcze większej władzy Andrzejowi Domańskiemu (po rekonstrukcji ministrowi finansów i gospodarki) zagraża podstawom funkcjonowania państwa. Przecież na koniec I kwartału 2025 r. państwowy dług publiczny wyniósł 1 713,3 mld zł, co oznacza wzrost o 101,7 mld zł (6,3 proc.) w porównaniu z końcem 2024 r. Dług sektora instytucji rządowych i samorzą-

dowych (dług EDP, liczony według metodologii unijnej) wyniósł 2 123,5 mld zł, co oznacza wzrost o 111,2 mld zł (5,5 proc.) w stosunku do końca 2024 r. Planowany deficyt budżetu państwa na 2025 r. wynosi 289 mld zł, co stanowi 7,3 proc. PKB. Jest to rekordowy poziom w historii Polski po 1989 r. Koszty obsługi długu publicznego w 2025 r. są szacowane na ok. 103 mld zł. Dochody podatkowe w okresie styczeń–czerwiec 2025 r. osiągnęły 237,2 mld zł, co oznacza spadek o 38,9 mld zł (14,3 proc.) w porównaniu z 2024 r. Te „osiągnięcia” Domańskiego oraz łamanie przez niego prawa poprzez odmowę wypłacenia należnej PiS dotacji i subwencji stanowią zapowiedź, że polskie finanse znajdują się bliżej krachu niż poprawy. Ale Tusk potrzebuje magika, który sfinansuje (z kolejnych długów) jego obietnice, więc poszerzył możliwości ministra.

Zupełnie nierozsądne wydaje się powołanie niedoświadczonego 34-letniego Miłosza Motyki na stanowisko ministra energii – resortu kluczowego, gdy chodzi o bezpieczeństwo państwa. Przy okazji Tusk przyznał, że powołane przez niego Ministerstwo Przemysłu z siedzibą w Katowicach było kompletną bzdurą. I teraz jego aktywa przejmie superresort energii pod wodzą Motyki.

MŚCICIEL ŻUREK

Desperackie jest zastąpienie Adama Bodnara Waldemarem Żurkiem na stanowisku szefa resortu sprawiedliwości i prokuratora generalnego. Gorszego ministra trudno sobie wyobrazić, biorąc pod uwagę, ile razy Żurek jako sędzia łamał konstytucyjny zakaz (art. 178 ust. 3): „Sędzia nie może [...] prowadzić działalności publicznej niedającej się pogodzić z zasadami niezależności sądów i niezawisłości sędziów”. Ale co najmniej pięciu prawników, do których Tusk się zwracał, nawet nie chciało słyszeć o wejściu do jego rządu.

Waldemar Żurek to ma być Bodnar plus, czyli ktoś w rodzaju „siepacza” niezajmującego się wymiarem sprawiedliwości, tylko opozycją. „Niezlomny sędzia, znany z odwagi w obronie niezależności sądów i praworządności w Polsce, mimo licznych szykan i nacisków ze strony pi-sowskiej władzy. Czas na wrzucenie kolejnego biegu!” – entuzjazmowała się eu-

rodeputowana Kamila Gasiuk-Pihowicz. A sam Donald Tusk chwalił swego rodzaju „szlak bojowy” Waldemara Żurka. To on ma zrealizować marzenie premiera o wsadzeniu do więzień jak największej liczby polityków Prawa i Sprawiedliwości. Takie postrzeganie funkcji ministra i prokuratora generalnego odstraszyło wszystkich, którym Tusk proponował stołek po Bodnarze. Premier nawet nie dlatego pozbył się dotychczasowego ministra, że był on za mało gorliwy czy dyspozycyjny. To sam Bodnar chciał już odejść, żeby sobie więcej „nie grabić” w związku z realnym zagrożeniem oskarżeniami o przestępstwa z art. 127 i 128 Kodeksu karnego, za co można dostać nawet dożywocie. I żeby mieć choć cień szansy na objęcie stanowiska sędziego Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. A jeśli okazałoby się to nierealne (Tusk nie odczuwa przecież czegoś takiego jak wdzięczność), Bodnar nie chce być pośmiewiskiem w świecie akademickim. Nie chce też niweczyć swoich szans na karierę i wysokie zarobki w znanej kancelarii adwokackiej (profesorowie i doktorzy habilitowani prawa mogą się ubiegać o wpis na listę adwokatów lub radców prawnych bez konieczności odbywania aplikacji i zdawania egzaminu zawodowego). Ale najbardziej prawdopodobne jest kandydowanie Bodnara do Trybunału Konstytucyjnego, żeby go ostatecznie „przejąć” po wprowadzeniu tam sędziów na zwalnijące się miejsca i by zostać jego prezesem.

„Siepaczem” w roli ministra spraw wewnętrznych ma być wracający na to stanowisko Marcin Kierwiński. Tusk docenił jego bezwzględność (w przeciwieństwie do częściowo zrekonstruowanego Tomasza Siemoniaka) podczas protestu rolników przed Sejmem 6 marca 2024 r., gdy użyto pałek i gazu łzawiącego. Docenił też wysłanie policji i Służby Ochrony Państwa do pałacu prezydenckiego (9 stycznia 2024 r.), aby zatrzymać posłów Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Działania zlecone służbom przez Kierwińskiego były nadużyciem władzy, wtargnięciem uzbrojonych funkcjonariuszy do obiektu o szczególnym znaczeniu dla państwa i próbą zastraszenia opozycji. Tuskowi zupełnie nie przeszkadza kompromitacja Kierwińskiego podczas obchodów Dnia Strażaka w maju



2024 r., gdy mówił niewyraźnie, a wręcz belkotał, co później jego resort tłumaczył „trudnymi warunków akustycznymi spowodowanymi chwilowymi podmuchami wiatru” oraz „pogłosem”.

Powrót Kierwińskiego w połączeniu z powołaniem Żurka ma uspokoić największych krytyków nieskuteczności rządu wśród jego sympatyków oraz przestraszyć opozycję. Obaj nie muszą się przejmować przestrzeganiem prawa i procedur, dla Tuska najważniejsza jest bowiem skuteczność w „przywracaniu praworządności”, czyli w jej przewracaniu.

Gdyby jacyś ministrowie ociągali się z realizowaniem postawionych im zadań, będzie ich dyscyplinował „rewizor” Tuska, czyli Maciej Berek, dotychczas szef Komitetu Stałego Rady Ministrów.

SZKODNICY NADAL W RZĄDZIE

Z rządu nie zniknęła najbardziej szkodliwa i groźna, bo wpływająca na przyszłość Polaków (marną przyszłość, skoro polska szkoła pod jej zarządem zamienia się w fabrykę nieuków), minister Barbara Nowacka. Pod jej rządami pewna jest ideologiczna krucjata w polskiej szkole, a nie poprawianie jakości nauczania i pozyskiwanie użytecznej wiedzy.

Ale przede wszystkim z rządu nie zniknął jego szef Donald Tusk, największy szkodnik i nieudacznik, przyczyna większości zaniechań i fatalnych skutków decyzji obecnego układu władzy.

Waldemar Żurek to ma być Bodnar plus, czyli ktoś w rodzaju „siepacza” niezajmującego się wymiarem sprawiedliwości, tylko opozycją. To on ma zrealizować marzenie Tuska o wsadzeniu do więzień jak największej liczby polityków PiS

Człowiek, który podporządkował Polskę Niemcom, rujnując jednocześnie relacje z USA i prezydentem Donaldem Trumpem. Tusk nie jest w stanie wyzволić się z tej zależności od Berlina.

Formalnie awansowany na wicepremiera szef MSZ Radosław Sikorski ma równie złe relacje z administracją Donalda Trumpa, więc pod tym względem będzie jeszcze gorzej. A „awans” jest tylko formą większej kontroli nad nim i utrudnieniem mu zastąpienia Tuska w przyszłości, co i tak właściwie jest bajką.

Nie zniknęła minister klimatu i środowiska Paulina Hennig-Kloska (jej nazwisko jest przekręcane na „Kłeska”), która nie chce i nie ma najmniejszych szans na wypowiedzenie obciążeń Zielonego Ładu, a wręcz pcha Polskę do licytowania wyższych zobowiązań, które mogą zruj-

nować tysiące firm i zagrażają milionom gospodarstw domowych.

Z rządu zniknęła kompletnie bezradna i nieogarnięta minister zdrowia Izabela Leszczyna, a zastąpiła ją Jolanta Sobieirańska-Grenda, szefowa zarządu Szpitali Pomorskich. Donald Tusk chwalił jej kompetencje menedżerskie, a eksperci ostrzegają, że może być ona wybrana do tego, by sprywatyzować część publicznej ochrony zdrowia, a także wprowadzić odpłatności za niektóre usługi.

Kabaretowe jest zastąpienie w Ministerstwie Sportu Sławomira Nitrasa posłem PO Jakubem Rutnickim. Nowy minister miał ze sportem tyle wspólnego, że poza zasiadaniem w sejmowej Komisji Kultury Fizycznej, Sportu i Turystyki, zagrał w sezonie 2013/2014 jeden pełny mecz jako bramkarz czwartoligowego Sokoła Pniewy. Z kolei Marta Cienkowska jako nowa minister kultury to wynik desperackiego łatania dziury po tym, jak odmówiła posłanka Aleksandra Leo. Cienkowska była po prostu pod ręką, jako że pracowała w resorcie kultury. Jej awans oznacza najpewniej, że Donald Tusk nie zamierza nic zrobić z degreoladą, która zapanowała w mediach publicznych przez Bartłomieja Sienkiewicza.

Zupełnie bez znaczenia jest zamiana ministra rolnictwa Czesława Siekierskiego na jego zastępcę Stefana Krajewskiego, podobnie jak zastąpienie ministra aktywów państwowych Jakuba Jaworowskiego szefem Agencji Rozwoju Przemysłu Wojciechem Balczunem. Między bajki można włożyć zapewnienia premiera Tuska, że w spółkach Skarbu Państwa nie będzie już partyjnych kolegów. Tak jak opowieści o zrealizowaniu wreszcie tego, co miał zrobić rząd powołany 13 grudnia 2023 r.

Gabinet i Tusk chcą tylko przetrwać. A jeśli będą kłopoty, to w listopadzie 2025 r. (przy okazji wymiany marszałka Szymona Hołowni na Włodzimierza Czarzastego) będzie kolejna rekonstrukcja. I teigrzyska mają zastąpić program rządu. Obecna zmiana nie ma więc żadnego istotnego znaczenia. Chyba że chodzi o przyspieszenie rujnowania Polski. 

Samy faszyci

Faszystą jest każdy, kto nie popiera liberalnej władzy. Według sondaży dziś byłaby to co najmniej połowa Polaków. Nic więc dziwnego, że propagandyści biją na alarm. „Faszyści” chwytają za noże, atmosfera pogromowa narasta, „musimy krzyczeć”



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Nazywana arcykapłanką propagandy Dorota Wysocka-Schnepf niedawno zaprosiła do swojego programu Jarosława Kurskiego z „Gazety Wyborczej”, aby wspólnie pochylić się nad najważniejszymi problemami, przed którymi stoi dziś Polska. I tak od słowa do słowa wyszło im, że kwestią o fundamentalnym znaczeniu jest w tej chwili faszyzm.

Okazuje się, że w Polsce narasta dziś atmosfera pogromowa. „Pogrom kielecki rozpoczął się od tego, że oskarżono Żyda o to, iż porwał chłopca dla celów rytualnych” – przypomniał Kurski. Czy jesteśmy aż tak daleko od powtórki tamtych wydarzeń? Bo przecież teraz jest tak samo. Wystarczy, że ktoś rzuci na Twitterze plotkę o macy i natychmiast pójdą w ruch pałki, pięści i noże.

Kurski z Wysocką-Schnepf dostrzegają rzeczy, których nikt poza nimi nie widzi. I na tym polega ich niesamowita przenikliwość. Co więcej, zwiastują nadejście nowego Hitlera – tym razem w Polsce.

„Następuje ordynarna faszyzacja kraju. Nie bójmy się tych słów” – naręca się Kurski. „Co jest problemem

faszyzmu? Bierność większości. Problemem faszyzmu jest bierność postawy takich ludzi jak ja, ty czy przeciętny Kowalski na ulicy. Otóż my musimy krzyczeć” – rzuca na koniec, po czym milknie wycieńczony. To, co dziś dzieje się w Polsce, jest już ponad jego siły. Dorota Wysocka-Schnepf, której teś dzielnie zwalczał faszystów, rozumie to jak mało kto.

ATMOSFERA POGROMOWA

Problem „odwiecznego polskiego faszyzmu” polega na tym, że jest on nie-

Polacy muszą być trzymani krótko, bo inaczej rzucą się popełniać zbrodnie. Jedyne oświecona elita jest w stanie zapanować nad społeczeństwem. A jeśli nie da rady, pozostaje interwencja zewnętrzna

chwytany, słabo widoczny, ale zarazem wszechpotężny. Polacy nie chodzą po ulicach w mundurach SS, nie wywieszają w oknach sztandarów ze swastyką, ale prawie każdemu z nich głęboko w duszy gra hitlerowska nuta. Niena-

widzą całego świata, a w szczególności obcych – imigrantów, Żydów, Ukraińców, mniejszości seksualnych i gdyby tylko ktoś dał im przyzwolenie, dokonaliby krwawych pogromów. Ta nienawiść bierze się oczywiście z zacofania i niewiedzy.

Wybitny znawca tego i każdego innego tematu Marcin Matczak nazywa to „faszyzmem psychologicznym”. A każdy, kto uważa inaczej, jest po prostu głupcem i pewnie też faszystą.

Dlatego Polacy muszą być trzymani krótko, bo inaczej natychmiast rzucą się z nożami popełniać masowe zbrodnie. Jedyne oświecona elita jest w stanie zapanować nad tępym społeczeństwem. A jeśli nie da rady, pozostaje już tylko interwencja zewnętrzna.

Tak w największym skrócie można scharakteryzować istotę myślenia o Polakach i Polsce, która zrodziła się wiele lat temu w okolicach redakcji na Czerskiej, stając się obowiązującą wykładnią polityki uprawianej potem przez większość rządów III RP.

W myśl tej wykładni faszystą jest w praktyce każdy, kto nie popiera liberalnej władzy. Według sondaży dziś byłaby to co najmniej połowa Polaków. Nic więc dziwnego, że propagandyści biją na alarm. „Faszyści” chwytają za noże, atmosfera pogromowa narasta, „musimy krzyczeć”.

BEZ PRAWA DO OBRONY

Najnowszą odsłonę hysterii wokół polskiego „faszyzmu” napędza polityka imigracyjna obecnego reżimu. A właściwie jej brak. Tusk wpuszcza bowiem do Polski każdego, kogo podrzuci nam niemiecka policja. Na razie liczby takich imigrantów idą w tysiące ludzi, ale już za rok – po wejściu w życie paktu migracyjnego – będą to dziesiątki, a nawet setki tysięcy przyjezdnych z całego świata. Nic dziwnego, że trzeba zakrzyczyć tę falę imigracji, a jej przeciwników obrzucić błotem jako zezwierzęconych faszystów.

Reżimowych propagandystów wspierają tutaj rozmaici postępowcy z wielkich miast, na tyle odklejeni od rzeczywistości, że naprawdę są gotowi uwierzyć w pogromy imigrantów. I choć żaden z nich nie był w kościele od czasów swojego chrztu lub pierwszej komunii, będą wszystkim dookoła prawić obłudne kazania, że odmawianie przyjezdnym gościny jest sprzeczne z katechizmem.

Na tej podstawie można przyjąć, że faszystą jest każdy, kto obawia się zalewu Polski imigrantami. Jeśli niepokoją ci incydenty na ulicach polskich miast, jeśli obawiasz się o bezpieczeństwo swoich bliskich, zwłaszcza kobiet, i jeśli nie chcesz, aby polska polityka imigracyjna poszła w ślady Europy Zachodniej, to jesteś faszystą. A jeżeli próbujesz się bronić, oznacza to, że cieknie z pyska ci krwawa pianka i chcesz dokonać pogromów na biednych, zagubionych gościach z dalekich stron świata. Niczym się nie różnisz od szmalcowników, jesteś w prostej linii potomkiem tępej tłuszczy, która przesładowała i mordowała Żydów. W żadnym wypadku nie można pozwolić, aby ktoś taki jak ty miał w Polsce cokolwiek do powiedzenia. Zaslugujeś na kierat albo więzienną celę.

Taką opinię na twój temat mają postępowi akademicy, zawodowi bojownicy walki z nienawiścią oraz „wrażliwi na ludzką krzywdę” wielkomiejscy hipsterzy przesiadujący w najdroższych knajpach. Całe to towarzystwo podtuczonych pupilków obecnego reżimu odmawia ci prawa do obrony. Twoje nędzne życie ich kompletnie nie obchodzi. Bo to nie oni będą ponosić konsekwencje imigracyjnej fali, która może niebawem zalać Polskę. Wokół ich posiadłości i ogrodzonych apartamentów nie będzie obozów dla uchodźców. Nikt nie będzie napastował ich żon ani córek na ulicach. Dlatego mogą być tak wspaniałomyślni dla imigrantów. A ty, jeśli się temu sprzeciwisz, dostaniesz pałą po głowie. Nie ma litości dla faszystów.

Czy ktoś, kto zajada makaron z tofu i popija go koktajlem z jarmużu, mógłby dokonać pogromu? Chyba nie, choć przecież Hitler był wegetarianinem. Dlatego trzeba być czujnym

WOŃ MOTŁOCHU

Przeciętny polski „faszysta” to postać nie tylko „ciasna intelektualnie”, jak wskazuje Marcin Matczak, lecz także odpychająca zewnątrz i wewnątrz. Trochę jak zwierzę w ludzkiej skórze, które kieruje się tylko instynktami i popędami. Zero rozumu i jakiegokolwiek wrażliwości czy poczucia estetyki.

Nieżyjący już Marcin Król pisał kiedyś o takich, że nie odczuwa z nimi żadnej „duchowej wspólnoty”, bo „nie piją wina w Toskanii i nie jadają ostrzeg w Bretanii”. A Matczak uzupełniał, że to ludzie o niższym kapitale kulturowym, „którzy nie czytają tych samych książek i nie studiowali na tych samych uczelniach”.

Antyfaszysta to człowiek na zupełnie innym poziomie. Z dobrego domu, majątny, zna języki, może sobie pozwolić na smakowanie i analizowanie świata, a jeżeli nawet go na to nie stać, to zawsze może złapać jakiś zagraniczny grant. Jakież musi odczuwać obrzydzenie



i zażenowanie, patrząc na otaczający go polski motłoch. Gdy widzi, jak ten motłoch – tak przecież głupi – ośmiela się współdecydować wraz z nim o losach państwa i wypowiadać się publicznie. Co to ma wspólnego z demokracją?

Antyfaszysta jest prawdziwie wolny od zasad. Prymityw nazwie te zasady kulturą, ale antyfaszysta dobrze wie, że właśnie z tych odgórnie narzuconych reguł czerpią swoją siłę autorytaryzm i faszyzm. Dlatego brzydzą go sztywne normy i stare zwyczaje.

Dla antyfaszysty przejawem szczególnej ciasnoty umysłowej jest religia. On naprawdę uważa, że ludzie chodzą do kościoła z musu, bo się boją księdza. I że duchowny przez całą mszę prowadzi agitację polityczną, oczywiście w duchu faszystowskim. A już zupełną zgrozą jest spowiedź. Jak można opowiadać o swoich najbardziej intymnych przeżyciach obcej osobie? Później wychodzisz z takiej spowiedzi całkowicie zdewastowany psychicznie, zniewolony – idealny materiał na faszystę.

Ludzie rozumni i otwarci chadają do psychoterapeuty. Jemu można opowiedzieć o wszystkim, nawet o swoich najbardziej skrytych fantazjach. Wtedy jest to zdrowe i bardzo postępowe. Bo psychoterapeuta, zainkasowawszy pieniądze, powie ci – w przeciwieństwie do księdza – że masz się czuć sobą. Hulaj dusza, piekła nie ma. Rób, co chcesz.

Sprawdź, czy jesteś faszystą

Jeśli odpowiesz przecząco przynajmniej na siedem pytań, to jesteś faszystą.

1. Czy uważasz, że pici jest nieskończenie wiele?
2. Czy wolisz psychoterapię od spowiedzi?
3. Czy odrzucasz jedzenie mięsa z powodów ideowych?
4. Czy popierasz przyjmowanie imigrantów do Polski?
5. Czy chodzisz na marsze równości?
6. Czy wolisz psieci od dzieci?
7. Czy martwisz się o klimat?
8. Czy rodzina to forma opresji społecznej?
9. Czy wstydzisz się za Polskę i Polaków?
10. Czy przerażają cię kibice piłki nożnej?
11. Czy czytasz „Gazetę Wyborczą”?
12. Czy spodziewasz się pogromów w Polsce?

a jeśli nadarzy się taka okazja, natychmiast zaatakuj imigrantów lub inne mniejszości.

Szczególnie trudno zrozumieć kobiety faszystki. Całe życie z jednym partnerem, uwiązane do garów i bałchorów, no i zapewne bite. Dlaczego żadna nie pójdzie za swoim własnym głosem – podsuwanym jej codziennie przez liberalne media – i nie uwolni się z więzów patriarchy? Jest przecież tylu potencjalnych partnerów, a w przypadku niechcianych ciąż można skorzystać z aborcji. Wy tłumaczenie może być jedno: te kobiety są prawdopodobnie zbyt ciemne, aby zrozumieć otaczający je świat. Boją się, że się w nim zagubią. Faszyzm jest przecież „ciasny intelektualnie”.

No i wreszcie dzieci. Wychowywane w ślepym posłuszeństwie, odizolowane od postępowych treści i kolorów świata. Tak rodzą się zastępy kolejnych faszystów. Bez wiedzy, bez fantazji, bez eksperymentowania – za to z krwawą pianą na pyskach.

REPRODUKCJA BRUNATNYCH KOSZUL

Jak nauczał pochodzący z Niemiec Theodor Adorno, faszyzm bierze się z wstrzemięźliwości seksualnej. A austriacki psychiatra Wilhelm Reich dopowiadał, że popęd seksualny i sadyzm wzajemnie się wykluczają, a więc żądze – dotąd uznawane za słabości – są bardzo pożądane w życiu człowieka. Stąd wyprowadzono wniosek, iż seksualne pożądanie może być formą rewolucyjnej energii zdolnej zniszczyć faszyzm.

Jak to wszystko przełożyć na przeciętnego polskiego faszystę? Otóż jest on niewolnikiem popędu seksualnego, który musi hamować z powodu wyznawanych niewłaściwych zasad (np. religii). Jednak seksualne niespełnienie kompensuje sobie agresją i sadyzmem. Antyfaszysta – przeciwnie. Skacze z kwiatka na kwiatek, eksperymentuje, unika zobowiązań i dzięki temu nie ma żadnych morderczych instynktów. Co najwyżej sprawi sobie psiecko. Albo zmieni pleć.

Dlatego każdy, kto chodzi do kościoła, ma rodzinę i dzieci, niechybnie jest faszystą. Z pewnością wyładowuje swoją seksualną frustrację, bijąc najbliższych,

TALERZ MORDERCY

Faszyści lubią się łączyć w stada. Przejawem tego groźnego zjawiska są kibice. U nich nienawiść wobec przeciwnika jest elementem wewnętrznej kultury. W każdej chwili można ją przekierować na imigrantów lub mniejszości. Właściwie to już się dzieje.

To kultura maczyzmu i męskiego szowinizmu. Picia piwa i jedzenia mięsa z grilla. A wielokrotnie wspomniany Matczak zauważył już, że piwo jest rodzajem przedśionka do nazizmu.

„Była kiedyś partia, której lider w 1920 r. w piwiarni Hofbräuhaus w Monachium wygłosił mowę »Dlaczego jesteśmy antysemitami«. Wciąż serwuje się tam piwo warzone zgodnie ze starą bawarską »ustawą o czystości« – napisał. Uważajcie więc, co jecie i co pijecie. Bo wasz talerz zdradza nie tylko upodobania kulinarne, lecz także mordercze instynkty.

Czy ktoś, kto zajada makaron z tofu i popija go koktajlem z jarmużu, mógłby dokonać pogromu? Chyba nie, choć przecież Hitler był wegetarianinem. Dlatego trzeba być czujnym. To znak, że faszyzm czai się wszędzie.



O jeden krok za daleko



Atak na rtm. Pileckiego to gorzej niż zbrodnia. To straszny błąd Grzegorza Brauna. Odgrywający rolę nawiedzonego kaznodziei spryciarz tym razem przekalkulował. Całkowicie zawiodł go słuch społeczny



PIOTR GURSZTYN

Po serii wypowiedzi, których sens można sprowadzić do relatywizowania zbrodni niemieckich z czasów II wojny światowej, Grzegorz Braun próbuje się bronić wsparciem swoich najwierniejszych zwolenników. Jest ich całkiem sporo, są bardzo aktywni w mediach społecznościowych, więc wygląda na to, że polityk wychodzi z obecnego kryzysu obronną ręką. Rzeczywiście – „gaśniczaki”, jak często są nazywani, żarliwie bronią swojego idola i przywódcę. Wynajdują kolejne usprawiedliwienia mające świadczyć o tym, że Witold Pilecki nie miał racji, a Braun ją ma. Niektóre z nich bywają zresztą obrzydliwe, bo są plugawym atakiem na jednego z największych bohaterów polskiej historii.

„Gaśniczaki” to rdzeń elektoratu Grzegorza Brauna. Niemal tak samo, jak sekta Silnych Razem stanowi fundament poparcia dla Donalda Tuska. Zresztą obaj wspomniani tutaj politycy – na pozór tak odlegli od siebie – są skoncentrowani na pielęgnowaniu swoich żelaznych elektoratów. Na co dzień, zwłaszcza podczas internetowych awantur, tacy ludzie bardzo się przydają. Ale jeśli chodzi o wielkie liczby – te, które decydują podczas wyborów – fanatyczni szaleńcy zaczynają szkodzić własnej sprawie. I tu można zadać pytanie o całość świeżo zdobytego elektoratu Brauna. O ponad 1 mln głosów, które padły na niego w pierwszej turze wyborów prezyden-

ckich. Absurdalny atak na rotmistrza i negowanie zbrodni hitlerowskich nie jest czymś, co zachwyci szerokie masy prawicowych wyborców.

WENTYL BEZPIECZEŃSTWA

Oficjalnie Grzegorz Braun pozostaje najbardziej antysystemowym politykiem naszego życia publicznego. Taką jest jego autoprezentacja. W tej roli ma być jak Andrzej Lepper – kimś, kto zakończy Wersal. Setki tysięcy wyborców gorąco pragną kogoś takiego, uważając, że stare partie są częścią znieprawdzonego systemu. W tym PiS i nawet Konfederacja.

Gdy się czegoś tak gorąco pragnie, łatwo stać się ślepy m wobec faktów. Bo Braun ma momenty, gdy jest Lepperem, ale częstsze są chwile, gdy powtarza drogę Janusza Palikota albo Władimira Żyrinowskiego. Czyli jest koncesjonowanym populistą. Demagogiem, który żyje w symbiozie z establishmentem i *de facto* jest wentylem bezpieczeństwa dla systemu. Zamiast wspierać ugrupowania, które rzeczywiście mogą zmienić system oligarchiczny, wyborcy rozpraszają swoje głosy, tracą energię na bezsensowne happeningi oraz konflikty ze zwolennikami innych partii antysystemowych.

Świadectwem kohabitacji Grzegorza Brauna z systemem jest charakterystyczny kalendarz jego najbardziej znanych prowokacji. Już dawno odnotowano, że stają się one bardzo wygodną przykrywką dla obozu liberalnego jego kłopotów i kompromitacji. Wspomniane już zdarzenie, czyli negowanie istnienia komór gazowych, zbiegło się z kryzysem migracyjnym na polsko-niemieckiej granicy. Radosław Sikorski od razu nagrał wypowiedź, w której zrównywał aktywi-

stów Ruchu Obrony Granic z negacjonistami Holocaustu (choć nie ma nawet cienia związku między tymi sprawami). Braun przykrył też obchody 80-lecia oblavy augustowskiej – zbrodni, która idzie na konto sowieckiej Rosji. A przy okazji dał chwilę oddechu małżeństwu Schnepfów, dla których był to bardzo niedogodny czas.

W czerwcu, podczas trudnej dla Donalda Tuska debaty nad wotum zaufania dla jego rządu, Braun zdemolował wystawę o tematyce LGBT+ w Sejmie. Efekt był taki, że pomógł premierowi i nagłośnił ekspozycję, o której wcześniej nikt nie słyszał. Przy okazji warto zauważyć, że osławiona wystawa „Nasi chłopcy” nie wzbudziła takiego zainteresowania polityka, który sam się prezentuje jako wzorzec niezłomnego patriotyzmu. Może dlatego, że ta ekspozycja – podobnie jak Braun z negowaniem komór gazowych – relatywizuje politykę III Rzeszy. A Braun, który z zapalem przestrzega przed „niebezpieczeństwami” grożącymi Polsce w postaci jej ukraińzacji i judaizacji, nie mówi nic o germanizacji. Ani tym bardziej rusyfikacji. Te problemy dla niego nie istnieją.

Historia z gaśnicą „przypadkiem” zbiegła się z exposé Donalda Tuska, a konkretnie tym, że zszedł z mównicy, nie odpowiadając na pytania posłów. Dzięki skandalowi wywołanemu przez Brauna mało kogo interesowało już to, dlaczego nowy premier brutalnie złamał zasady, ignorując pytania parlamentarzystów opozycji.

Zresztą także w kampanii prezydenckiej widoczne były momenty, gdy Braun chciał coś przykryć. Jego antysemickie wypowiedzi w czasie debaty zorganizowanej przez „Super Ekspres” były realnym wsparciem dla Rafała Trzaskowskiego, bo mobilizowały przede wszystkim jego wyborców. Wspomnijmy też zachowanie Brauna podczas innej debaty, gdy oburzył się na tekturowy wizerunek Trzaskowskiego przyniesiony przez Marka Jaku-biaka. Uznał to za szczególnie chamskie, choć takie nie było, a faktyczny problem stanowiło to, że nieobecność kandydata liberalnego była zasadnie wiązana z groźbą likwidacji dwóch telewizji prawicowych. A przy tym Braun nie jest przecież znany z jakiegś szczególnej uprzejmości. To on krzyczał do ministra Adama Niedzielskiego, że zostanie powieszony (a nigdy

takich gróźb nie kierował wobec polityków PO). Można więc zadać pytanie, dlaczego tak bardzo przejął się obroną dobrego imienia Rafała Trzaskowskiego.

Niektórzy obserwatorzy zwracają uwagę na jeszcze jedną koincydencję. 16 kwietnia Braun pojechał do szpitala w Oleśnicy. Tego dnia odbył się wywiad z Karolem Nawrockim w Kanale Zero. Uznawany za kluczowy w kampanii kandydata obywatelskiego, bo wówczas zaczął on zdobywać poparcie poza prawicową bańką.

Ostatecznie Grzegorz Braun poparł w drugiej turze Nawrockiego, więc może nie jest prawdą, że grał przeciwko niemu. Odpowiedź jest następująca: Braun musi balansować. Nie zawsze może być Żyri-nowskim, bo inaczej straci poparcie swojego autentycznie antysystemowego elektoratu. Nie ma wtedy wyboru, musi być Lepperem. To był taki moment.

EMOCJONALNY ELEKTORAT PROTESTU

Jego wyborcy to elektorat protestu. Ludzie, którzy niedawno głosowali na PiS, potem Konfederację, ale uznali obie te partie za zbyt mało radykalne. Jednak w sytuacji realnego konfliktu z systemem (zwłaszcza w obliczu jego domknięcia), takim jak druga tura wyborów prezydenckich, ta uraza im minęła i zagłosowali na Karola Nawrockiego.

Problemem, który Braun powinien uwzględnić, jest to, że jego wyborcy kierują się przede wszystkim emocją. Bardzo silną, ale jednak ulotną. Tak jak łatwo obrazili się na PiS i Konfederację, tak samo szybko mogą się znudzić Braunem. Możliwe, że to widzi, stąd praca nad formowaniem najwierniejszych zwolenników. Zetknięcie z nimi budzi jednoznaczne skojarzenia z Silnymi Razem. Widać podobną agresję wobec świata zewnętrznego i sekciarstwo. A ponieważ Braun ma bliskie relacje z ważną postacią środowiska Silnych Razem – Janem Pińskim, można postawić tezę, że podobieństwa w obu grupach nie są przypadkowe.

Tacy fanatyczni zwolennicy bardzo się przydają, aby nie spaść poniżej progu 5 proc. Gdy jednak gra zaczyna się toczyć o wyższą stawkę, zaczynają być obciążeniem. To reguła, którą zrozumiało kierownictwo Konfederacji, żegnając się z Braunem. Konfa mogła się zabawiać

happeningami i skandalami, gdy poparcie dla niej nie sięgało 10 proc. Uznała jednak, że oznacza to odpalenie korwinowskiego „protokołu 4 proc.”

Sprawa z negowaniem gazowania w Auschwitz pokazuje, że Braun sam się naraża na konsekwencje tego „protokołu”. Zwłaszcza że się nie zatrzymuje. W kolejnych wypowiedziach – np. u Jana Pospieszalskiego – poszedł dalej i zaczął twierdzić, że komory gazowe w ogóle raczej nie istniały, cyklon B służył zaś do dezynfekcji, a nie gazowania. Zaczął mocno kwestionować wiarygodność raportów rtm. Pileckiego, a nawet posuwać się do drwin z niego (w trakcie rozmowy na kanale Tomasza Sommera).

Odpalanie „protokołu” jest znakiem braku słuchu społecznego. A w życiu partii protestu, które jednocześnie są ugrupowaniami dwóch czy trzech tematów, zawsze nadchodzi moment, gdy słabną emocje jej elektoratu. Wyborcy Leppera i Palikota w pewnym momencie zaczęli dostrzegać, że ich złotouści liderzy nie są w stanie rozwiązać żadnego z ich problemów. Przerzucili swe głosy na ugrupowania, które uznali za zdolne do systemowego załatwienia swych spraw.

KAMELEON

Braun jest podobny do Leppera i Palikota pod jeszcze jednym ważnym względem. Może to kogoś zaskakiwać, ale tak naprawdę nie wiadomo, jakie ma poglądy. Według powszechnego stereotypu jest radykalnym prawicowcem. Jednak epoka III RP pokazuje, że radykalne oblicze często bywa tylko pozą. W obozie liberalnym nie brak przecież ludzi, którzy zaczęli kariery jako skrajna prawica (z Romanem Giertychem na czele). Braun ma zresztą rodzinny background, który umożliwia mu łatwy powrót na zasadzie syna marnotrawnego. Jest dzieckiem artystycznych elit, a nie plebejskim przywódcą. Jego siostra udziela dramatycznych wywiadów „Gazecie Wyborczej” o swych poszukiwaniach żydowskich korzeni. Juliusz Braun, m.in. prezes TVP w latach 2011–2015, to jego stryj, a kuzyn Michał Braun pracuje na ważnych stanowiskach dla rządu premiera Tuska.

Polityk ma jeszcze jeden oprócz rodziny zidentyfikowany kanał kontaktowy ze światem tzw. demokratów.

To wspomniany już Jan Piński. Dziwne zachowania Brauna z czasów ostatniej kampanii prezydenckiej były związane z tą okolicznością. Bardzo bliskie kontakty z Pińskim utrzymuje także wspierający Brauna organ prasowy, czyli „Najwyższy Czas” Tomasza Sommera.

Dziś brzmi to kosmicznie, że Braun mógłby się znaleźć po „demokratycznej” stronie. Ale w jego życiu były już takie zmiany. Czołowy obecnie ukraińszercza kilkanaście lat temu prezentował zupełnie inne opinie. „Gdybym był wrogiem Polski, podsycalbym antagonizmy między Polakami i Ukraińcami, wykorzystując historyczne resentymenty” – mówił w czasie Majdanu na Ukrainie, czyli na przełomie 2013 i 2014 r. Postulował też, żeby do wzmocnienia braterstwa polsko-ukraińskiego Polacy wykupili połowę kamienic na Starym Mieście we Lwowie, a Ukraińcy – analogicznie – nabyli połowę Przemysła. Nazywał wtedy Ukraińców – dosłownie – pobratymcami i „dziećmi tej samej cywilizacji”.

To samo w sprawie komór gazowych. „82 lata temu, 9 sierpnia 1942 r., w komorze gazowej niemieckiego obozu Auschwitz II-Birkenau została zamordowana karmelitanka bosa Teresa Benedykta od Krzyża (Edyta Stein)” – pisał na swoim profilu internetowym. Kilka dni temu wpis zniknął. „Post zdjęty z mojego Twittera. Nie wszystkie posty oboiście tam zamieszczam” – zważył to na współpracownika, zapytany o to przez Pospieszalskiego.

Wcześniej, w 2010 r., był reżyserem i scenarzystą filmu „Eugenika – w imię postępu”. Tam obszerne opowiadał o niemieckich komorach gazowych. I nie kwestionował ich istnienia.

W CO GRA BRAUN?

Co chwilę wychodzą jego kłamstwa i niekonsekwencje. Autorytatywnie ogłosił, że raporty Pileckiego mają poważne niedostatki jako źródło historyczne. Chodzi m.in. o to, że rotmistrz napisał o komorach gazowych dopiero po wojnie, a pierwotny oryginał dokumentu jest niedostępny. Szybko odezwał się wydawca raportów Pileckiego, punktując ewidentne fałsze Brauna: „Panie Braun: Nie przeczytał pan raportów uważ-

nie, jeśli głosi pan takie słowa. Przekazuje pan słuchaczom nieprawdę na temat raportów Witolda Pileckiego”.

Sprawa z rotmistrzem nie zakończy się dla Brauna szybko. Jest kilka osób, z którymi kiedyś blisko współpracował, wspierał, chwalił je, ale które teraz uznają go za bezideowego szachraja. To np. historyk ze Śląska dr Wojciech Kempa, autorka książek o historii i religii dr Anna Mandrela, rysownik i felietonista Jerzy Wasiukiewicz. To ludzie opiniotwórcy w środowiskach „okołokonfederackich”.

Braun sam wystawił się na strzał. Wezwał do debaty o komorach gazowych: „Wyzywam każdą z tych osób, które

„Gaśniczaki” to rdzeń elektoratu Grzegorza Brauna. Niemal tak samo, jak sekta Silnych Razem stanowi fundament poparcia dla Donalda Tuska. Zresztą obaj wspomniani tutaj politycy – na pozór tak odlegli od siebie – są skoncentrowani na pielęgnowaniu swoich żelaznych elektoratów

mnie tak niebacznie potępiają”. Zgłosiła się Mandrela, która jest autorką dwóch książek o Pileckim. Mimo dawnej przyjaźni Braun jej odmówił. Uzasadnienie było niejasne, bo stwierdził, że to dlatego, iż Mandrela nadmiernie go krytykowała w czasie kampanii prezydenckiej. A jego faktyczny rzecznik, czyli Sommer, uzasadnił odmowę tym, że Mandrela pracuje dla partii Nowa Nadzieja. Nie bardzo wiadomo, jaki sens miał ten „zarzut”, ale szybko się okazało, że to nieprawda. Mimo to Braun dalej odmawia debaty, co wielu prawicowych internautów komentuje jako tchórzostwo i lawirantstwo.

To ważna wskazówka. Odwaga Brauna ma określone granice. Czym innym jest

wywiad u znajomego dziennikarza, czym innym konfrontacja na argumenty. Braun atakuje Ukraińców, co nie jest szczególnie ryzykowne. Atakuje Żydów, co uchodzi już za szczególną odwagę. Jednak jeśli umieścimy to w kontekście ogólnoeuropejskim, widać, że cena tej odwagi zaczyna spadać. Zaczyna to być przeekselowywane na antyizraelskość, czyli postawę coraz bardziej popularną w Europie. Oraz na jeszcze bardziej modny antyamerykanizm.

I tu ciąg dalszy. To, że nie Braun atakuje Rosji, wiedzą wszyscy. Nie przeszkadza mu – autorowi filmów potępiających Wojciecha Jaruzelskiego – były puł-

kownik KGB, czyli Putin. Nie przeszkadza mu np. narastający w Rosji kult Stalina. Mniej zauważalna jest za to jego rezerwa w krytykowaniu Niemiec. Owszem, wygłasza słowa potępienia i krytyki. Ale ton pozostaje łagodny, bez porównania z tyradami na temat ukrainizacji i judaizacji. W sprawie imigrantów wciskanych nam przez Niemcy jego aktywność jest ograniczona. 3 lipca przemawiał na wiecu pod ambasadą RFN w Warszawie, ale wyglądało na to, że musiał uwzględnić emocje swoich wyborców, a nie była to jego inicjatywa ani temat, który uznał za szczególnie ważny. Przemówienie było spokojne, nieagresywne pod adresem Niemców. Wręcz ciepłe, gdy mówił o historii Niemiec jako ojczyźnie „niezliczonych świętych i uczonych”. Równie dobrze mógłby je wygłosić Szymon Hołownia lub Władysław Kosiniak-Kamysz i nikt

by nie zauważył różnicy.

Agresja werbalna, gaśnice, blokowanie, zdejmowanie flag – te metody nie dotyczą Niemców. Na wspomnianym wiecu wezwał też „polskie władze”, by służyły narodowi polskiemu. Ton wezwania też był łagodny, bez wymienienia nazwisk rządzących ani nazwy partii, które są u władzy. Ważniejsze dla Brauna okazało się co innego: na widok obecnych tam policjantów ożywił się i stwierdził, że największym skandalem było przekazanie przez policję samochodów i amunicji zaatakowanej przez Rosję Ukrainie. A sami Niemcy są tylko nieszczęsnymi ofiarami – jak ujął to polityk – „jarzma poprawności politycznej”.

Awans najgorszego szefa dyplomacji

Wszystkie diagnozy Sikorskiego okazały się błędne. Mylił się co do fundamentalnych spraw związanych z bezpieczeństwem, geopolityką, sojuszami



DARIUSZ MATUSZAK

O Radosławie Sikorskim znów jest głośno. Nie tylko z powodu awansu na wicepremiera i żenującej interwencji w Watykanie, w której domaga się uciszenia biskupów Meringa i Długosza, nikczemnie sugerując, iż nie są obywatelami Polski, a jedynie poddanymi Stolicy Apostolskiej. Nie chodzi też o odwołanie polskiego ambasadora z Węgier i psucie relacji z kolejnym krajem. W mediach obsługujących PO coraz częściej mówi się, iż może on zastąpić Donalda Tuska jako premier. Przypuszczam, że w pewnych okolicznościach mogłoby

to się wydarzyć. Po pierwsze, musiałby mieć pewność, że rząd nie upadnie pod ciężarem własnej nieudolności, koalicja się nie rozsypie, nie uformuje się w tej kadencji inna sejmowa większość, bo wtedy zostałby grabarzem PO i jej przyczłapów. Możliwe jest także to, że Sikorski zostaje premierem, doprowadza do przedterminowych wyborów i buduje jedną listę z obecnymi sojusznikami. Może być i tak, że jako człowiek zakochany w sobie uzna, iż taki tytuł przysporzy mu majestatu, bo będzie premierem zupełnie jak Winston Churchill albo książę Wellington Arthur Wellesley.

Tak czy owak wyniesienie Sikorskiego na premiera byłoby aktem rozpoczynającym kampanię prezydencką 2030. I nie szkodzi, że PO dotychczas uznawała, że nadaje się on jeszcze mniej niż Bronisław Komorowski czy Rafał Trzaskowski. Od tego jest aparat

propagandy, by z porażek robić wiktorie, a z nieudolności i chamstwa – cnoty. To, że Sikorski został wicepremierem, może być wstępem do gry, a chodzi też o kontrolę nad Karolem Nawrockim, tak jak za pierwszego Tuska „pilnowanie” Lecha Kaczyńskiego.

Przyjrzyjmy się więc owej osobie aspirującej. „My, z łaski Boga” to piękna książka Jeana d’Ormessona będąca fikcyjną kroniką arystokratycznego rodu. Jest w niej scena, gdy patriarcha rodziny, par Francji, książę Sosthène de Plessis-lez-Vaudreuil wyprowadza na wieżę zamku służącego, pokazuje mu lasy i pola po horyzont, po czym mówi: „To jest moje. A teraz zamknij oczy – prosi książę. – To, co widzisz jest twoje”. Zamknijmy więc oczy, a zobaczmy sukcesy Sikorskiego, a potem otworzymy, by popatrzeć na jego ciągnące się po horyzont porażki i klęski.

FRUWAJĄCE EGO

O Sikorskim łatwo opowiadać, bo wystarczy go cytować, by udowodnić, że właściwie nigdy nie miał racji, mylił się we wszystkich diagnozach, a gdyby Polska postępowała za jego wskazaniem, to spadłyby na nią wszelakie plagi. To, co mówił, z upływem czasu zostało zwerfifikowane i okazało się bzdurą, wręcz brednią. Owszem, Sikorski ma powierzchowną oglądę – zna jeden język obcy, wie u którego szewca w Londynie zamówić buty i potrafi o nich rozmawiać, wie, u którego krawca obstałować garnitur i kiedy nosi się marynarki w kratkę, a po trzech latach studiów w dobrym towarzystwie umie też zawiązać krawat w węzeł oksfordzki, więc w PO widzą nim światowca i znakomitego dyplomata.

My jednak dzielimy opinię niezującego już senatora PO Roberta Smoktunowicza, który uważał, że to „udający światowca pozer i zakochany w sobie prostak o wydumanym ego. A nade wszystko całkowicie niekompetentny, z porażkami w tle pełnionych publicznych funkcji”. Wydaje się, że określenie „prostak” jest zbyt słabe i opisując Sikorskiego, można się posługiwać wyrazami z pogranicza wulgarności, językiem knajackim, w jakim on się lubuje. To człek, który publicznie wyzywał ludzi od chamów, w tym prezydenta Lecha Kaczyńskiego (tak wynika z relacji i rozmowy z Anną Fotyga), a np. o premier Beacie Szydło pisał per „wredny babsztyl”. Lista publicznie wyzywanych osób jest długa. Najlepszym przykładem ściekowego języka jest jego rozmowa przed laty z Janem Kulczykiem, w której opowiada m.in. o kontroli NIK dotyczącej tego, jakie luksusy z naszych pieniędzy fundowali sobie w Waszyngtonie jaśniepaństwo ambasadorostwo Ryszard Schnepf wraz z małżonką. Panią kontroler nazywał „biurwą, pi...dą, którą trzeba przepie...ić”, a na koniec podsumował, że „suka się zemściła”.

WULGARNA DYPLOMACJA

Rysztokowy język Sikorskiego byłby tylko jego sprawą, niech go sobie używa w domu, w rozmowach z kumplami oraz paniami z rządu i mediów, gdyby nie to, że wyniósł go do sfery publicznej i wylał

na dyplomatycznych salonach. Prezydenta Donalda Trumpa nazwał „pier...nym debilem”, przy czym dyplomatycznie zastrzegł, że cytuje tylko Rexa Tillersona, byłego sekretarza stanu, ale jego małżonka Anne Applebaum pisała wprost w swej książce „Matka Polka”: „Jeśli ludzie są w stanie oddać głos na kogoś takiego jak Trump, który jest ewidentnie debilem [...] lub Duda [...], wtedy trzeba zapytać, czy demokracja jest możliwa i czy jest potrzebna?”. Wedle Sikorskiego Trump to „kandydat Kremla, człowiek Putina, burak, protofaszysta”, który dostanie azyl w Moskwie, będzie sąsiadował z Janukowiczem i zasiadał na złotym sedesie. Szanowna małżonka już nie tylko jako publicystka, ale także jako żona polskiego ministra w amerykańskich mediach porównywała Trumpa do Stalina, Hitlera, Pol Pota itp.

Tak to Sikorski z Applebaum robią nam politykę transatlantycką. A co im tam interesy państwa polskiego. Ta kobieta nie rozumie, a Sikorski nie chce albo nie potrafi jej przekonać, że nie jest tylko prywatną, załaną złością osobą, ale reprezentującą także Polskę. Takiej przypadł zaszczyt, a ona robi z tego zlew do ulewania frustracji.

Opinie tych dwojga to nie tylko kwestia form i tego, jak pojmują pracę na rzecz Polski (Applebaum przecież chciała/chce być pierwszą damą), lecz także coś głębszego. Applebaum może pozwolić sobie na rojenia publicystki, ale Sikorski powinien kierować się chłodną kalkulacją, przewidywać, co się może wydarzyć, np. że Trump może zostać prezydentem, a nie działać po wpływie własnych emocji, impulsu czy czegoś tam jeszcze. Janusz Palikot ma teorię, którą przedstawił w książce „Kulisy Platformy”: „Ten człowiek jest jakiś dziki, czasami sprawia wrażenie, że jest uzależniony od narkotyków, zwyczajnie naćpany”. Z kolei Anna Maria Żukowska czy Jan Śpiewak sugerują, że Sikorski prowadzi swe szarże, jak choćby podziękowanie Amerykanom za wysadzenie Nord Stream 2, nie będąc do końca trzeźwym.

DIAGNOZY ŚLEPCA

Wszystkie diagnozy Sikorskiego okazały się błędne. To człowiek ślepy i głu-

chy, by sparafrazować jego komentarz do spotkania Trumpa z Dudą: „Ślepy będzie prowadził głuchego”. Sikorski mylił się co do fundamentalnych spraw związanych z bezpieczeństwem, geopolityką, sojuszami. Już po inwazji Rosji na Gruzję wielokrotnie mówił, że mogłaby ona być członkiem NATO. Nie dostrzegał w reżimie agresora, a o Putinie koszmarnie żartował, że można się z nim dogadać, bo morduje detalicznie, a nie jak Stalin – hurtowo. Kiedy to mówił w 2020 r., wojna na Ukrainie trwała już sześć lat.

„Co jako polski minister spraw zagranicznych uważam za największe zagrożenia dla bezpieczeństwa i pomyślności Polski? To nie terroryzm, nie talibowie, nie niemieckie czołgi, nawet nie rosyjskie rakiety. Największym zagrożeniem dla bezpieczeństwa i pomyślności Polski byłby rozpad strefy euro” – stwierdził w 2011 r. na forum Niemieckiego Towarzystwa Polityki Zagranicznej. Wtedy też zrzekł się suwerennej polskiej polityki zagranicznej i oddał ją Niemcom. „Zapewne jestem pierwszym w historii ministrem spraw zagranicznych Polski, który to powie: mniej zaczynam się obawiać się niemieckiej potęgi niż niemieckiej bezczynności. Niemcy stały się niezbędnym narodem Europy. Nie możecie sobie pozwolić na porażkę przywództwa. Nie możecie dominować, lecz macie przeprowadzić reformę” – oświadczył.

Przez całą swą karierę w MSZ Sikorski w każdym aspekcie wspierał niemiecką politykę. Także w nieustannym wypychaniu Ameryki z Europy. „Polsko-amerykański sojusz jest nic niewart. Jest wręcz szkodliwy, bo stwarza Polsce fałszywe poczucie bezpieczeństwa [...]”. Bullshit kompletny. Skonfliktujemy się z Niemcami, z Rosją i będziemy uważali, że wszystko jest super, bo zrobiliśmy łaskę Amerykanom. Kompletni frajerzy. Problem w Polsce jest taki, że mamy bardzo płytką dumę i niską samoocenę. Taka murzyńskość” – mówił ówczesnemu ministrowi finansów Jackowi Rostowskiemu. Owszem, rozmowa była prywatna, nagrana podstępnie, ale pokazuje mentalność Sikorskiego. Ten człowiek skłócał nas nawet z amerykańskimi demokratami, bo słowa

o „murzyńskości” poszły w świat niemal w czasie wizyty prezydenta Baracka Obamy w Polsce.

ULEGŁOŚĆ I AROGANCJA

Kolejna sprawa to uległość wobec Berlina w sprawach energetycznych i związanych z naszym bezpieczeństwem. Sikorski chciał, by Polska uczestniczyła w budowie Nord Stream, by tak jak Niemcy uzależniła się od rosyjskiego gazu i finansowała reżim Putina. Jego żona lansowała nawet obłąkańczą tezę, iż lepiej, by ruski gaz płynął do Europy przez Nord Stream niż przez Ukrainę, bo wtedy Kijów nie będzie dostawał za to pieniędzy, co pozwoli na walkę z korupcją. Ta bezmyślność szła tak daleko, że Sikorski popierał pomysły Kulczyka, by kupować gaz bezpośrednio z Rosji czy przez Niemcy i cały jego roczny zapas dla Polski oraz części Europy trzymać w kavernach na Ukrainie. Biznesmen miał realizować ten projekt z Niemcami za ich pieniądze. Otwórzmy szeroko oczy i zobaczmy 2022 r.: polskie zapasy gazu w kraju objętym wojną. Z rozmów z Kulczykiem wynika, iż Sikorski był przeciwnikiem budowy w Polsce elektrowni atomowej. A po co nam ona, skoro dr Kulczyk kupił dla Polski prąd z ukraińskich elektrowni jądrowych?

Niepotrzebna nam też niezależność monetarna i finansowa. Sikorski od dwóch dekad chce, by Polska przyjęła wspólną walutę. Mówił o tym nawet w 2011 r., gdy strefie euro groził rozpad, i teraz, kiedy po 25 latach wiadomo, że jej jedynymi beneficjentami są Niemcy i Holandia.

Podobnie chce zniesienia zasady jednomyślności w polityce zagranicznej i bezpieczeństwa Unii. Wyobraźmy sobie reakcję Polski na napaść na Ukrainę, gdyby szefem dyplomacji był Sikorski, a premierem Tusk. Niemcy posłałyby 5 tys. helmów, a my 3 sztuki.

Osobny rozdział to konsekwentne lekceważenie zagrożeń ze strony Rosji i tzw. reset z nią. To też żaden oryginalny pomysł polskiej polityki – wszystko wygląda na realizację projektu niemieckiego. Pisaliśmy już o tym. Aby prowadzić interesy z Kremlm,

Niemcy potrzebowały wizerunku Rosji niewinnej, demokratycznej, może trochę szalonej, ale jednak cywilizowanej, więc zadanie upiększania jej wizerunku dostał pierwszy rząd Tuska. Sikorski był jednym z kierowników projektu. Skoro nawet rusofobiczni Polacy mają ciepłe relacje z Rosją, to znaczy, że podziela ona „zachodnie wartości” i można budować jedną Europę od Władawostoku po Lizbonę.

Sikorski jak mało kto potwierdza teorie zamordowanego na rozkaz Hitlera niemieckiego pastora Dietricha Bonhoeffera, który uważał, że głupota nie jest stanem umysłu wynikającym z braku inteligencji czy wiedzy, ale wyborem moralnym. Popis na potwierdzenie tej tezy Sikorski dał w styczniu 2023 r., mówiąc, iż po napaści Rosji polski rząd

Rynsztokowy język Sikorskiego byłby tylko jego prywatną sprawą, gdyby nie to, że wyniósł go do sfery publicznej i wylał na dyplomatycznych salonach

rozważał rozbiór Ukrainy. „Myślę, że [rząd] miał moment zawahania w pierwszych 10 dniach wojny, wtedy, gdy wszyscy nie wiedzieliśmy, jak ona pójdzie, że może Ukraina upadnie. I gdyby nie bohaterstwo Zelenskigo i pomoc Zachodu, różnie mogło być”. Nikczemne słowa, a na poziomie intelektualnym zwykle brednie. A niby jak owe wahania miały wyglądać? Rosjanie napadają na Ukrainę, a ktoś w rządzie mówi, że jest okazja? Mija dzień, dwa, bombardowane są ukraińskie miasta, miliony ludzi uciekają na polską granicę, Rosjanie dopuszczają się zbrodni, a polski rząd дума, czy może też nie najechać Ukrainy i na spółę z nimi nie dokonać jej rozbioru. O takiej propozycji Putina dla Tuska Sikorski mówił w 2014 r. niemieckiemu magazynowi „Politico”. Ciekawe, czy o nikczemnej ofercie rozbioru Ukraińcy dowiedzieli

się od polskiego rządu, czy z niemieckiej prasy.

Oddzielna sprawa to nędzne straszenie śmiercią ukraińskich władz w czasie Euromajdanu. Nie dziwny się więc, że czasami Kijów odnosi się do nas nieufnie, skoro „pierwszy dyplomata RP” opowiada takie podle brednie.

Popatrzmy na relacje z innym sąsiadem – Litwą. W 2006 r. 53 proc. Litwinów uważało Polskę za przyjazny kraj. W 2014 r., po siedmiu latach Sikorskiego w MSZ – już tylko 12 proc. Według Litwinów to on zapracował na ten wynik swym porównywaniem władz Litwy do reżimu Łukaszenki, „polityką kija”, jak nazywano aroganckie poczynania Sikorskiego – litewski premier Butkevičius wręcz twierdził, że łamie on etykę dyplomatyczną. Za to Łukaszenka chwali Sikorskiego. Po pierwsze, w 2011 r. razem z prokuratorem generalnym przesłał Białorusi wyciągi z rachunków opozycjonisty Alesia Białackiego, dzięki czemu można go było skazać, a po drugie, nie zrobił nic, by uwolnić z więzienia Andrzeja Poczobuta i w czasie międzynarodowej wymiany z Rosją agentów i więźniów pozwolił za darmo oddać ruskiego szpiega Rubcowa. Ale za to jeszcze publicznie pochwalił byłego dyplomatę Jurasza za szpiegowanie w Rosji i na Białorusi.

Czego więc ten człowiek nie tknie w sprawach publicznych, zamienia się to w wiadomo co. Co innego sfera prywatna – jego talenty i zapobiegliwość w zdobywaniu pieniędzy są niezrównane i dlatego był najlepiej opłacanym przez obce rządy europoseł, a jak przyszło do rozliczenia kilometrówek, to się okazało, że wykręcił 100 tys. zł, w tym podobno/jakoby/na pewno także użyczanym przez ochroniarza Giertycha oplem astrą. Niektórzy pomyślą, że choć światowy, skromny to człowiek, bo przecież ma darmowe limuzyny, a tłukł się po ojczyźnie ręką jak byle akwizytor.

To tylko część przygód dzikiego Radka, a ja nie mam wątpliwości, że jeśli przyłożyć miarę szkód, to choć konkurencja duża, jest on najgorszym ministrem w rządzie Tuska i najgorszym szefem dyplomacji w XXI w. 

Jałowy egoizm nie znosi dzieci

Naklejka z nadmorskiego hotelu sugerująca, że mile widziane są w nim psy i homoseksualiści, ale nie dzieci, to dowód, że stajemy się ofiarami agresywnej mniejszości i jej jałowego egoizmu

W jednym z nadbałtyckich hoteli zwrócono uwagę na naklejkę ostrzegającą, że jest to miejsce dostępne dla osób LGBTQ+ i psów, ale już nie dla dzieci. Taki zakaz jest po prostu czymś odrażającym, świadczącym o właścicielu i jego gościach. Oczywiście w sieci wybuchła burza wokół tego tematu. Politycy, dziennikarze i tłumy komentujących rzucili się sobie do gardeł, przerzucając argumentami za i przeciw. Podobnie było w przypadku tzw. parad równości, hosteli dla homoseksualistów wspieranych przez samorządy, reguł „inkluzywności” wymuszanych na pracodawcach, dzieciach oswajanych z seksualnymi dewiacjami, proaborcyjnymi manifestacjami i podobnymi sprawami.

Taka jest strategia, by powoli, w sposób konsekwentny, czasem mało widoczny, przesuwając nasze obyczajowe granice i wrażliwość poza akceptowaną kulturowo normę. Uderzająca w dzieci i ich rodziców naklejka dowodzi przeciw tego, że zarzut dyskryminacji mniejszości jest fałszywy – to społeczność LGBT+ stała się głośną, systemowo wspieraną przez wielkie media i kapitał agresywną mniejszością. Otwarcie atakującą społeczeństwo swoją często wulgarną estetyką, coraz większymi roszczeniami. W praktyce uderzającą w milczącą większość, a więc rodziny i ich dzieci. Każde dziecko jest przecież także obywatelem objętym konstytu-



MACIEJ WALASZCZYK

cyjnym zakazem dyskryminacji. „Strefy wolne od LGBT” były przecież kwestionowane przez sądy administracyjne i politycznie piętnowane przez UE. Nikt jednak nie ujmie się za dziećmi i rodzinami.

ŻYCIE NA JAŁOWYM BIEGU

Tu pojawia się pojęcie dekadencji, które trafnie opisuje zjawiska, zarówno drobne, np. dyskryminującą obecność dzieci naklejką na hotelowych drzwiach, jak i spektakularne, w postaci praw włączających mniejszości na zasadzie przywilejów. Ta teoria nie tyle sugeruje, że dawniej wszystko było lepsze niż dziś, gdy zatriumfował egoizm i kult przyjemności. To przede wszystkim epoka, w której dawne pojęcia, reguły, instytucje, takie jak rodzina czy Kościół, choć są nam nadal potrzebne, przestały być szanowane. Pamiętamy ubiegłoroczną ceremonię otwarcia igrzysk olimpijskich w Paryżu, która nie tylko raziła kiczem, lecz także w dużej mierze była show ku czci ideologii woke, LGBT+ z sata-

nistycznym wydźwiękiem. Była wręcz zbiorczym symbolem aroganckiej i groteskowej dekadencji Zachodu i przesiąkniętych nią paryskich elit, dyskredytujących w ten sposób swoją własną kulturę. Gdy barbarzyńcy zajęli Rzym, dominująca mniejszość imperium już dawno była zdegenerowaną grupą urzędników i arystokratów. Symptomy samobójstwa naszej cywilizacji ujawniają się i dziś w każdym jej zakątku.

ZAKOCHANI W SOBIE EGOIŚCI

Niepokojące jest to, że dzieci coraz częściej są wykluczane z coraz większej liczby społecznych czy rodzinnych sytuacji życiowych. Albo przeszkadzają, lub – to druga strona medalu – są izolowane z brania udziału w tym, co jest elementem życia: pogrzebów, odwiedzin w szpitalach. Pedagodzy podkreślają, że w ten sposób uniemożliwia się im naturalne przejście przez kolejne etapy dostosowania się do społeczeństwa. Oczywiście są hałaśliwe, otwarcie wyrażają emocje, często mówią to, co myślały, ale dorośli mają obowiązek je wychowywać.

Tymczasem z portali i prasy lifestyle'owej, kierowanej głównie do kobiet, sączy się kult egoizmu i narcyzmu. Konsekwentnie podpowiadają one, w jaki sposób powinny myśleć o własnym życiu, roli w małżeństwie, relacjach z mężczyznami, rodzeniu dzieci. Nie chodzi tylko o lansowaną powszechnie aborcję, lecz także stosunek do posiadania dzieci.

„Dzieci. Potrafią zepsuć każdy urlop i nawet najpiękniejsze miejsce traci przez nie urok” – czytamy z jednym z największych portali internetowych. „Urlop z dziećmi nie ma nic wspólnego z wypoczynkiem” – oświadcza matka. Pewna babcia narzeka, że „wnuczka jest bardzo absorbująca i ruchliwa”, a ona ku swemu nieszczęściu wpakowała się w urlop z synową. W innym miejscu („Newsweek”) kobieta, która sama nie ma dzieci, z pozycji szczęśliwego arbitra relacjonuje przedwakacyjne firmowe rozmowy, z których wynika, że dla większości rodziców urlop z dziećmi to coś znacznie gorszego niż praca. Jak więc postąpić najlepiej? „Pojechałam na wa-

kacje bez męża i dzieci. To była najlepsza decyzja” – podpowiada Onet.

Za pośrednictwem tych mediów matki mówią więc z niechęcią o swoich dzieciach, babcie o wnukach, a żony o mężach i mężczyznach w szczególności. W końcu dzieci o swoich rodzicach. A faceci są utwierdzani w swoich słabościach, stając się własną karykaturą.

PSY ZAMIAST DZIECI

Obraz życiowej sielanki to oczywiście formuła singla czy bezdzietnej pary. Obraz ludzi mających czas, wolność osobistą i środki finansowe na konsumpcję, którą posiadanie dzieci – w ich wyobrażeniach – ogranicza. Skupieni tylko na sobie, zamknięci na życie i miłość, której nie sposób przeliczyć na pieniądze. Z angielska określa się ich mianem „Dual Income, no Kids”, w skrócie DINK, a więc podwójnie zarabiający bezdzietni.

Z prognoz opublikowanych niedawno przez GUS wynika, że do 2060 r. ludność Polski zmniejszy się o 6,5 mln osób. W niektórych województwach populacja skurczy się o ponad jedną czwartą, a szacunki te dowodzą, że wymieranie narodu przyspiesza. O jedną trzecią zwiększy się też liczba emerytów, a jeśli rynek pracy i pustą przestrzeń ktoś wypełni, rzeczywiście będą to tylko imigranci. W najlepszym razie ci z Europy Wschodniej oraz kolonizatorzy z Afryki, Azji i krajów arabskich. Zmieni się więc nie tylko struktura społeczna, lecz także – w nieodwracalny sposób – krajobraz kulturowy, religijny i polityczny. Po 1990 r. za spadek dzietności początkowo odpowiadały gwałtowne zmiany gospodarcze: bezrobocie, niskie zarobki, zubożenie, brak mieszkań i stabilności zawodowej. Szczególnie na prowincji, gdzie tkanka społeczna i tak była najsilniejsza.

Gdy zdawało się, że podniesienie jakości życia i stabilizacja materialna odrodzą otwartość na życie i rodzinę, zatriumfowały inne aspiracje i nowe modele życiowe. Dzieci, a także małżeństwo, lojalność, samoograniczenie przegrywają z niechęcią do poświęcenia swojej prywatności, wolności, czasu,



odpowiedzialności finansowej, kariery zawodowej. A nawet z zupełnie przeciw irracjonalnymi obawami o utratę atrakcyjności seksualnej. Wielkie media wspierają te lęki – liczy się konsumpcja i samorealizacja, prowadzące do faktycznej samozagłady społeczeństwa. Bez dzieci i tożsamości nie ma ono przyszłości. Co ciekawe, w miejscu naturalnej potrzeby posiadania dzieci i opieki pojawia się satysfakcja czerpana z posiadania zwierząt domowych. Głównie psów, na które rozszerzają się ludzkie instynkty opiekuńcze. Dziś często można spotkać młode kobiety z pasją zajmujące się czworonogami i traktujące je jak dzieci. W obliczu samotności i zerwania relacji międzyludzkich stają się dla nich najważniejszymi towarzyszami. Choć przecież w sytuacji choroby i starości to nie one, ani nawet nie państwo, będą najważniejszą i ostateczną instancją. Taką może być tylko rodzina.

CICHA APOKALIPSA

Już w XIX w. we Francji Chateaubriand ubolewał: „My, państwo najbardziej dojrzałe i zaawansowane, wykazujemy

wiele symptomów dekadencji”. To m.in. utrata poczucia tożsamości, zakorzenienia i rodzinności. Dziś to nowa dominująca klasa koncentruje się na ochronie i przedłużaniu sobie życia, a nie na jego sensie. Takie społeczeństwo staje się ofiarą owej mniejszości, jej mikro-agresji, „genderowych” rytuałów, oskarżeń.

Dekadencja to stan, w którym człowiek pozwala, by był piętnowany i bezkarnie atakowany za to, kim jest. Polacy są na to szczególnie narażeni, gdyż zmiany kulturowe przychodzą do nas z kilkudziesięcioletnim poślizgiem, a wywodzące się z dawnej

warstwy chłopskiej społeczeństwo jest pełne kompleksów, podatne na naśladownictwo i imitacje. By przetrwać, musimy więc utrzymywać nasz świat, nieustannie rekonstruować ład, w którym funkcjonujemy i nie zamykać się w jałowym egoizmie. Nawet jeśli okoliczności czynią nas ofiarami tej dekadencji, musimy być odporni na wywoływany przez nią chaos i jej skutki społeczne.

Ktoś znakomicie zauważył, że dlatego konieczne jest zakładanie rodzin i posiadanie dzieci, gdyż w XXI w. stanowi to „akt równie antyestablishmentowy i rewolucyjny, jak kiedyś »wolna« miłość”. Inaczej zwycięży dekadencja sytego świata, który zmurszeje i rozpadnie się jak dawny Rzym. Słynny „Zmierzch Zachodu” Oswalda Spenglera nie tylko opisuje ów kontrast między cywilizacją i trumfem dekadencji a kulturą, którą rozumiał jako pierwotną i żywotną siłę. Jak twierdził, cywilizacje upadały jedna po drugiej, bo wyczerpywały swoją „zasadę życia”. Wnikliwy obraz tej rzeczywistości pograżonej w konsumpcjonizm, chaosie i samotności tak ostro opisuje w swych książkach Michel Houellebecq. Współnota osiągnąca poziom „trwałej dekadencji” rozpada się w sposób powolny, mało spektakularny i daleki od apokaliptycznych wyobrażeń.

TELE-EKSPRES

Najszybszy w Polsce

„Tele-Ekspres w Polsce24” rośnie z tygodnia na tydzień. Drugiego takiego programu w krajowej telewizji po prostu nie ma

Lipcowe deszcze, dla chłopaka kleszcze – tak mówi mądrość ludowa. A deszczu dzisiaj nie brakuje i będziemy także o tym mówić. Gwarantujemy państwu wraz z Marysią Olek 20 minut ciekawego programu. Proszę zostać z nami, zaczynamy »Tele-Ekspres w Polsce«, Mirosław Rogalski, zapraszam».

W mediach człowiek instytucja, pracował wszędzie. Ale tutaj Rogalski dostał możliwość stworzenia czegoś od zera, to dla niego wymarzone zadanie dziennikarskie. Opowiada nam o swoim „Tele-Ekspresie” z pasją i detalicznie, slychac, że naprawdę bardzo cieszą go rosnące z tygodnia na tydzień wyniki oglądalności.

– To najszybszy program w Polsce. W 20 minutach musimy zmieścić nawet 30 materiałów. Serio, proszę policzyć – zachęca nas.

Oglądamy wydanie z 9 lipca i liczymy. Zaczyna się skandalem ze spotem Platformy Obywatelskiej, reklamówkę federacji sztuk walki przedstawiono w nim jako nagranie Ruchu Obrony

Granic. Potem relacja Rafała Jarzabka i jego apel o wsparcie dla patroli, na które coraz obficiej pluje rząd Tuska. Rogalski ma na tę okazję następne powiedzenie: „Nie pluj w studnię, bo ci przyjdzie z niej pić”.

W WERSJI LIGHT

„Tele-Ekspres” pokazuje politykę w wersji light. Ale to nie znaczy, że znajdziemy w nim obłudną neutralność albo puste śmieszkowanie.

„Wstydzicie się” – całkiem poważnie napomina rządzących Rogalski, wytykając im hipokryzję. No bo jak można grzmieć o szacunku dla polskiego munduru, gdy chwilę wcześniej żołnierze, policjanci i strażnicy graniczni byli dla różnych Frasyniuków „wściekłymi psami”? Nie można.

Jedziemy dalej. Teraz konferencja Donalda Tuska i służb – przekonują, że są przygotowani na zapowiadane załamanie pogody i nic strasznego się nie wydarzy. Najpierw zdjęcia wielkiej wody z ze-

szlego roku (wtedy Tusk też zapewniał, że prognozy nie są szczególnie alarmujące), potem skaczymy do Stronia Śląskiego, do Stanisława Pyrzanowskiego. Sprawdzamy, czy władzy udało się odbudować zniszczoną wtedy tamę. Nie udało się.

Za chwilę Krzysztof Nowina-Konopka. Czekal na premiera, który miał zeznawać w sprawie konstytucyjnego zamachu stanu. Ale w międzyczasie pianista Glauccio Cristelo gra „Don't Stop Believin” w centrum handlowym. Na stojąco, jak Jerry Lee Lewis. Czad z YouTube.

– Jest trudniej niż w wielkich telewizjach. Nie mamy np. dostępu do kilku światowych agencji, z których moglibyśmy brać materiały. Robimy wszystko sami. Ale może także dlatego każdy program kończę z poczuciem olbrzymiej satysfakcji – mówi nam Mirosław Rogalski.

Nowina-Konopka nie doczekał się na Tuska, dwa dni później do sądu nie pofatygowal się w tej samej sprawie także Adam Bodnar. Nie będą ich rozliczać jacyś pisowcy, to Tusk i Bodnar są od rozliczania.

W „Tele-Ekspresie” o rekonstrukcji rządu. Czy chociaż to im wyjdzie? (Nie wiadomo, niemal dwa tygodnie później dowiedzieliśmy się, że ministrem będzie sędzia Żurek, którego przypilnuje minister Berek). Teraz cenzura. Komisja Europejska planuje nałożyć drakańskie kary na serwis X Elona Muska. A w Polsce? Tutaj jeszcze głupiej: wicepremier Krzysztof Gawkowski, ten od śpiewania „Międzynarodówki” z czerwonym krawatem w garści, grozi, że zamknie to imperialistyczne plugastwo.

„Proszę pamiętać o reaktywacji Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Wdowisk, będzie kilkadziesiąt stołków więcej dla kolegów z koalicji 13 grudnia” – kpi Rogalski.

SYGNAŁ NAM WYŁĄCZYLI

Wypowiedź Gawkowskiego przeniosła Mirka w czasy, gdy o tym, co może pójść w telewizji, decydował cenzor. To kolejna taka podróż. Pierwsza miała miejsce w dniu, w którym do gmachu na Woronicza weszli silni ludzie ministra Bartłomieja Sienkiewicza. Rogalski prowadził wówczas szkolenie w ramach Akademii Telewizyjnej (jako dyrektor zrobił z tego nie wiadomo czego prężny i profesjonalnie zarządzany ośrodek, a kształcący się w akademii dziennikarze, których spotkał potem w telewizji w Polsce24, są mu wdzięczni do dziś), zaprosił świetnego reżysera teledysków Jacka Kościuszkę.

– W pewnym momencie mówią mi na ucho: „Sygnał nam wyłączyli”. Uwierzyłem dopiero, kiedy na korytarzu zobaczyłem policjantów. I to nie jakichś miłych chłopaków w furażerkach, tylko regularne oddziały szturmowe. W czasach stanu wojennego byłem gówniarzem, ale co nieco pamiętam. Oni mieli taką samą groźbę – wspomina Rogalski (rocznik 1964). Kiedy pakował rzeczy i wynosił się z gabinetu, wszędzie chodził za nim ochroniarz. – Upokarzające – dodaje.

KOKTAJL STOJĄCO-SIEDZĄCY

W „Tele-Ekspresie” czas na świat. Opowiada Stanisław Jegliński. Trzęsienie ziemi w Gwatemali, straszne obrazki. Potem Mars. Na aukcji w Nowym Jorku bę-

dzie można kupić 24-kg fragment tej planety, który jakimś trafem spadł na Ziemię.

– Robimy informacyjny koktajl. Mamy swobodę i możemy zwrócić uwagę na tematy, które nie znajdują miejsca w żadnym innym polskim serwisie. Poszerzamy horyzonty naszym widzom – mówi nam Rogalski.

„Ulżyło mi, bo ktoś krzyczał przed programem, że będę siedział. Teraz już wiem, o co chodzi” – śmieje się z ekranu reporter Bartosz Łyżwiński. Siedzi, bo to program stojąco-siedzący. Tak wymyślił Rogalski, chciał spuścić z newsów trochę powietrza. Z Łyżwińskim rozmawia więc o Tusku, bo żyjemy w państwie, które nam urzęda, a także o wakacjach – wszak są wakacje. Łyżwiński pokazuje stare zdjęcia, to

Robimy informacyjny koktajl.
Mamy swobodę i możemy
zwrócić uwagę na tematy,
które nie znajdują miejsca
w żadnym innym polskim
serwisie. Poszerzamy
horyzonty naszym widzom
– mówi Mirosław Rogalski

chyba Sopot. Innego dnia w „Tele-Ekspresie” była publicystka „Sieci” Aleksandra Rybińska. Pokazywała śmieszne zdjęcia z różnych stron świata, jako dziecko podróżowała dalej niż Bartek.

– Jesteśmy programem nie tylko o tym, co na zewnątrz, w Polsce i na świecie, lecz także o sobie. Założyłem, że w luźniejszych rozmowach będziemy pokazywać mniej oficjalną twarz naszych dziennikarzy. U nas można zobaczyć zziębniętych reporterów politycznych, którzy wpadają do „Tele-Ekspresu” prosto z linii frontu. I opowiadają nie tylko o tym, co się działo w Sejmie, lecz także jak oni się z tym czuli. Sprzedają smaczki, kulisy. Widzowie to lubią, mówią nam o tym – opowiada Rogalski.

NAJLEPSI

„Tele-Ekspres” jedzie dalej i cieszy się latem. Ktoś gra cover wielkiego przeboju Briana Adamsa „Summer 69”. Zaraz prognoza pogody – puszcza więc z YouTube pieski – one z kolei cieszą się, że pada. Za chwilę zagramy cover Umbrelli, zabrzmi lepiej niż oryginał Rihanny. Do studia wchodzi Łucja Nalewajk. W Polsce deszcz, na świecie wybuchły straszne pożary.

Teraz Mateusz Gadomski, bo czas na sport. Iga Świątek w półfinale Wimbledonu. Rogalski bije brawo, sam trochę gra, ale nie tak dobrze jak dziewczyna z Raszyna. Są obrazki zza kulis największego turnieju na świecie, Iga się rozgrzewa i robi miny. Naprawdę fajnie się to ogląda.

Kto zagra w finale klubowych mistrzostw świata w piłkę? Wiadomo, że Chelsea i wiadomo, że na mecz wybiera się Donald Trump. W drugim półfinale powalczą PSG z Realem.

Na koniec hit. Wspaniała himalaistka Dorota Rasińska-Samochocka po raz drugi zdobyła Nanga Parbat, wbijając na szczycie szalony trudny ośmiotysięcznik flagę województwa lubelskiego. „Tele-Ekspres” nie tylko poinformował o tym jako pierwszy, lecz także będzie miał ekskluzywną rozmowę ze sportsmenką.

Oglądamy i czujemy się prawie jak w Himalajach, bo ludzie Rogalskiego (kilką razy prosi, by podkreślić, że „Tele-Ekspres w Polsce24” to team, który tworzą także wydawca Maria Olek i fantastyczne prowadzące: Emilia Ziemnicka, Marta Piasecka i Anna Pawelec) umieją świetnie wykorzystać studio z nowoczesną ścianą wideo.

– Ile tam się dzieje, jaki my mamy rozmach graficzny, zauważcie to – prosi. – To zostało przecież kupione za pieniądze od widzów, my musimy się im odplacić, musimy być najlepsi – puentuje ojciec „Tele-Ekspresu”.

I są. Dlatego oglądajcie państwo „Tele-Ekspres w Polsce24” codziennie o 16.50.

Łukasz Wróblewski



Proszę zauważyć, że przed wyjazdem do Afryki zaleca się turystom wiele szczepień. Jednak gdy Afryka masowo przybywa do Europy, to mówienie o możliwym przenoszeniu chorób jest niepoprawne. Musimy się więc liczyć z tym, że także w Polsce pojawi się więcej chorób rzadkich czy uznanych za dawno pokonane

Kręcimy na siebie bicz

Z dr. Michałem Mularczykiem, dietetykiem i kardiologiem interwencyjnym, rozmawia Dorota Łosiewicz

W Polsce pojawił się przypadek cholery u osoby starszej. Co to za choroba i skąd się bierze?

Michał Mularczyk: Cholera to ostra choroba zakaźna przewodu

pokarmowego wywoływana przez bakterie *Vibrio cholerae*, czyli szczep przecinkowca cholery. Ta bakteria produkuje toksynę uszkadzającą jelita. Jest 200 serologicznych typów

przecinkowca, ale tylko dwa mogą wywoływać epidemię. Są one na tyle skuteczne, że potrafią wywoływać spektakularne efekty. Główne objawy to wodnista biegunka, która może przypominać wodę po płukaniu ryżu, oraz wymioty. Szybko dochodzi do odwodnienia, co objawia się suchością błon śluzowych, zmniejszeniem elastyczności skóry i zaburzeniami elektrolitowymi. Ten wredny przecinkowiec zakłóca pracę pompy, która w komórkach odpowiada za przewodzenie jonów. W efekcie w świetle jelita pojawia się dużo elektrolitów, które ściągają wodę, i stąd ta straszna biegunka. Do zakażenia dochodzi najczęściej przez spożycie skażonej wody lub żywności, zwłaszcza surowych owoców morza. Występuje głównie

Fot. Andrzej Wiktor

w regionach, w których dostęp do bezpiecznej wody pitnej jest ograniczony lub niemożliwy. Bez odpowiedniego leczenia, zwłaszcza nawadniania, może być śmiertelna. Leczenie polega na uzupełnianiu płynów i elektrolitów oraz w cięższych przypadkach – podawaniu antybiotyków. Jeśli chodzi o profilaktykę, to ważne jest przestrzeganie zasad higieny, spożywanie tylko bezpiecznej wody i żywności.

Kto jest szczególnie podatny na cholere?

Osoby niedożywione, osłabione, z chorobami współistniejącymi oraz małe dzieci i osoby starsze są bardziej narażone na ciężki przebieg choroby, a nawet śmierć.

Epidemie cholery były kiedyś bardzo groźne.

W jednym z tekstów UNICEF przypomina, że w XIX w. epidemie cholery zdziesiątkowały ludność świata. W 1854 r., gdy choroba zbierała śmiertelne żniwo w Londynie, John Snow udowodnił, że jej źródłem była jedna z miejskich pomp, a więc skażona woda pochodząca z Tamizy. Dziś dzięki sieci wodociągów oraz poprawie standardów opieki medycznej w państwach o wysokich dochodach udało się niemal całkowicie wyeliminować cholere.

Ale nie wszędzie.

W wielu miejscach na świecie dalej stanowi śmiertelne zagrożenie. W 2023 r. Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) informowała, że na całym świecie 22 kraje walczyły z epidemiami cholery.

Wraz z pojawieniem się cholery w Polsce pojawiły się również sugestie, że może to mieć związek z rosnącą liczbą migrantów. To uzasadnione przypuszczenia czy zwykła panika?

Jest trochę sensu w tych obawach. Przypominam sobie, że gdy kilka miesięcy temu rozmawialiśmy o tym, że do Polski wrócił koklusz czy odra, mówiłem, że wraz z napływem migrantów rośnie zagrożenie menigokokami, polio, gruźlicą, a nawet dudem brzusz-

nym. Trzeba brać pod uwagę, że ludzie, którzy na łodziach przemierzają tysiące kilometrów, mają organizmy wyniszczone długą podróżą, poza tym poziom higieny w takich warunkach pozostawia wiele do życzenia. Są więc bardziej podatni na choroby, a co za tym idzie – mogą je roznosić. Ci ludzie przybywają też z krajów, gdzie poziom opieki medycznej, szczepień jest zupełnie inny. Opowiadałem także, że już król Kazimierz Wielki wiedział, iż przybysze mogą roznosić chorobę. Gdy w latach 1347–1353 „czarna śmierć”, czyli straszliwa epidemia dżumy, zabiła 100 mln ludzi, w tym połowę ludności Europy, władca wprowadził ostrą kwarantannę na granicach kraju i miast. To, co wiedział Kazimierz Wielki, teraz jest podawane w wątpliwość.

Nie odrabiamy lekcji z historii?

Niestety często tak jest. Poza tym, jak mówiłem wcześniej, cholera roznosi się m.in. przez wodę. I tu przypomina mi się zdjęcie, które obiegiło media społecznościowe, na którym pewien „biedny”, „szukający swego miejsca na ziemi inżynier” wypróżnił się w biały dzień do jednego z polskich akwenów. To stwarza potencjalne źródło zakażenia. Teraz spójrzmy na dane. Bardzo ciekawe informacje dotyczące cholery w Niemczech, które nie mogą poradzić sobie z migracją i chcą się podzielić problemem z Polską, opublikowała na platformie X dziennikarka Aleksandra Fedorska. W 2022 r. w Niemczech zarejestrowano sześć przypadków cholery. W 2023 r. Instytut Roberta Kocha (RKI) odnotował dziewięć przypadków, a w 2024 r. zgłosił trzy przypadki. Poza tym informacje na temat trzech przypadków związanych z Etiopią i wodą przywiezioną z tego kraju ukazały się w Niemczech w lutym 2025 r. Są też dostępne inne dane, które pokazują istotny statystycznie wzrost zachorowalności w Niemczech na gruźlicę, syfilis, krztusiec, WZW B, a nawet malarię. Nie są to więc pomysły histeryków. Mamy też więcej przypadków (także w Polsce) zakażeń kiłą i HIV, ale to jednak wiążemy raczej z migracją ze Wschodu.

Ktoś powie, że imigrant chory na cholere zmarłby po prostu w podróży, niemożliwe więc, by przywiózł chorobę do Polski.

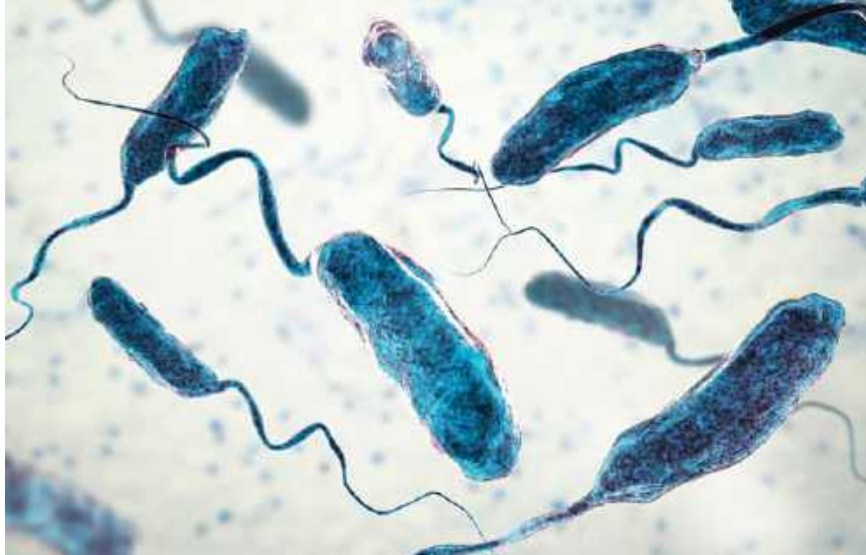
Jednak można być nosicielem cholery. Oznacza to, że osoba zakażona przecinkowcem cholery może nie wykazywać żadnych objawów choroby, ale mimo to wydalać bakterie i zarażać inne osoby. Istnieje zjawisko bezobjawowego nosicielstwa cholery, zwłaszcza w krajach o niskim poziomie higieny. Osoby te nie chorują, ale mogą wydalać bakterie cholery w kale, stanowiąc źródło zakażenia dla innych. Dlatego wspominałem o owym zdjęciu, które zszokowało wiele osób. Poza tym do naszego kraju może zostać przewieziona przez te sympatyczne służby na granicy osoba, która jest jeszcze w dobrym stanie, a za chwilę już nie będzie. A przecież nie do końca wiemy, skąd i którędy ci ludzie trafiają do Niemiec, a potem do Polski. Proszę zauważyć, że przed wyjazdem do Afryki zaleca się turystom wiele szczepień, np. przeciwko żółtej gorączce, a także durowi brzuszemu, wściekliźnie, wirusowemu zapaleniu wątroby typu A i B, błonicy, tężcowi i krztuścowi. Jednak gdy Afryka masowo przybywa do Europy, to mówienie o możliwym przenoszeniu chorób jest niepoprawne. Musimy się więc liczyć z tym, że także w Polsce pojawi się więcej chorób rzadkich czy uznanych za dawno pokonane. Zezwalając na masową migrację do naszego kraju osób z obszarów tak odrębnych kulturowo, wystawiamy system ochrony zdrowia na jeszcze większą zapaść. Po prostu kręcimy na siebie bicz lub może lepiej: pilujemy gałąź, na której siedzimy. Pamiętajmy też, że z badań wynika, że źródłem chorób mogą być zarówno niezbadane mikroorganizmy, jak i te znane, które na skutek mutacji nabyły nowych cech i odporności. Wiemy też, że w przypadku wystąpienia choroby nieznanej dla danego kraju wystarczy zaledwie jeden odnotowany przypadek, by doszło do epidemii. Zbyt późne wykrycie jej ogniska może spowodować realny problem epidemiologiczny.

Wielokrotnie mówił pan o spadku odporności Polaków po epidemii COVID-19. Czy to też może się przyczyniać do rozwoju zawleczonych chorób?

Mamy ewidentny spadek odporności w społeczeństwie. Pacjenci chorują ciężiej i częściej. W przypadku cholery najłatwiej się zarazić wtedy, gdy mamy niedobory kwasu solnego w żołądku, np. jesteśmy w trakcie leczenia choroby wrzodowej i przyjmujemy inhibitory pompy protonowej czy blokery H2. One zmniejszają kwasność soków żołądkowych. Podobnie leki zobojętniające. Te grupy leków stosuje wiele osób, np. wszyscy pacjenci z chorobą wieńcową czy innymi postaciami miażdżycy dostają je jako osłonę. Te leki obniżają kwasność soku żołądkowego i takie osoby będą bardziej podatne na cholerę. Z jednej strony otwieramy więc wrota tej chorobie, a z drugiej mamy mniejsze możliwości obrony. Dlatego po prostu spodziewajmy się większej liczby chorób.

Jak się bronić?

Jak zawsze apeluję do czytelników o trening immunologiczny, odpowiednie nawodnienie, suplementację, ruch, przebywanie na świeżym powietrzu. Potrzebujemy tego, by radzić sobie z chorobami. Prawie dwie trzecie Polaków ma problemy z otyłością – o tym też kiedyś pani mówiłem. Paradoksalnie osoby otyłe często są niedożywione, ponieważ niewłaściwie się odżywają. To się przekłada na deficyty witaminowo-mineralowe oraz białkowo-tłuszczowe, a co za tym idzie – organizm nie wytwarza niektórych komponentów układu odpornościowego, czyli po prostu taki człowiek ma słabszą odporność. Poza tym mało się ruszamy, jesteśmy potwornie wygodniccy, wolimy podjechać samochodem kilka kroków, niż się przejść, a to także przekłada się na obniżenie odporności. Taki styl życia powoduje niedożywienie białkowe, przyjmujemy coraz gorsze tłuszcze i to niszczy naszą odporność. Poza tym często jesteśmy odwodnieni, a to oznacza, że mamy zły stan wszelakich błon śluzowych, w tym tych w układzie oddechowym. Nie są one w stanie wydzielić



odpowiednich ilości substancji bakterio-, wiruso- czy grzybobójczych. Większe jest prawdopodobieństwo, że zachoruje osoba odwodniona niż ta nawodniona prawidłowo. Sprawne działanie układu odpornościowego jest możliwe w przypadku prawidłowego funkcjonowania układu krążenia. Aby serce i naczynia działały prawidłowo, konieczne jest odpowiednie

obrony przeciw patogenom. Zwiększona gęstość krwi, która występuje przy zbyt małym spożyciu płynów, powoduje nadmierne obciążenie serca, które musi wykonywać o wiele większą pracę, by przetoczyć potrzebną objętość krwi w danym czasie.

Powinniśmy się nawadniać szczególnie w czasie upałów.

O regularnym piciu należy pamiętać na co dzień, a ilość wypijanych płynów zwiększać w czasie upałów, intensywnego wysiłku, a także podczas infekcji z gorączką czy biegunką. Skoro mówimy już o nawilżeniu błon śluzowych, pamiętajmy o odpowiedniej wilgotności powietrza, którym oddychamy, szczególnie późną jesienią i zimą, kiedy działa centralne ogrzewanie, a nie wszyscy pamiętają o nawilżaniu. Optymalna dla nas wilgotność powietrza to 40–60 proc., co można zweryfikować higrometrem. No i witamina D! Mówię o tym przy każdej okazji. Mimo powszechnej wiedzy na ten temat 90 proc. moich pierwszorz-

Gdy w latach 1347–1353 „czarna śmierć”, czyli straszliwa epidemia dżumy, zabiła 100 mln ludzi, w tym połowę ludności Europy, Kazimierz Wielki wprowadził ostrą kwarantannę na granicach kraju i miast. To, co wiedział władca, teraz jest podawane w wątpliwość

nawodnienie organizmu. Dzięki temu krew zyskuje odpowiednią gęstość i objętość, co z kolei umożliwia transport niezbędnych substancji do wszystkich komórek naszego organizmu. Odpowiednie nawodnienie to również prawidłowa sprężystość i stan naczyń krwionośnych – tętnic i żył – oraz naczyń limfatycznych, a także skóry i błon śluzowych. Te ostatnie odgrywają istotną rolę na pierwszej linii

zowych pacjentów ma niedobory tej witaminy, i to spore. A witamina D reguluje produkcję defensyn, białek obronnych, które są w każdej śluzówce. Mamy też niedobory witaminy A, choć te zdarzają się rzadziej. Witamina C umożliwia prawidłowy rozwój białych ciałek krwi. Witaminy C, D i A są ekstremalnie ważne przy wzmacnianiu naszej odporności. Warto też pamiętać o cynku i selenie.

Zelenski zaczął twardą grę z sojusznikami

Ukraińska elita władzy nie ma ochoty nadal być pokornie proszącym o pomoc petentem i coraz śmielej zaczyna rozgrywać różnice interesów swych sojuszników

Mjr. Robert „Magyar” Brovdi, dowódca ukraińskich sił bezzałogowych i twórca dronowej brygady Ptaki Magyara, największej tego typu formacji walczącej na ukraińskim froncie, zaskoczył zgromadzonych na konferencji zorganizowanej przez stowarzyszenie amerykańskich sił lądowych w niemieckim Wiesbaden. Pytany o to, czy państwa NATO są przygotowane do wojny z udziałem systemów bezzałogowych, odpowiedział, że wizytując niedawno dużą bazę Sojuszu Północnoatlantyckiego w jednym z zachodnioeuropejskich krajów, zadano mu pytanie, czy przetrwałaby ona atak dronów. W wojskowych słowach odpowiedział: „Moje cztery załogi bojowe stojące zaledwie 10 km od tej bazy mogą ją całkowicie zniszczyć w ciągu 15 minut. Wyglądałoby to jak Pearl Harbor z czasów II wojny światowej”.

Występujący razem z nim gen. mjr. Wołodymyr Horbatiuk, zastępca szefa Sztabu Generalnego ukraińskich sił zbrojnych dodał, że obecnie udział w wojnie „jest niemal niemożliwy” bez polegania na systemach bezzałogowych. Na poparcie swych słów przytoczył statystyki, w świetle których 90 proc. strat osobowych przeciwnika jest związanych z zastosowaniem różnego rodzaju dronów.

O skali zmian świadczą losy formacji „Magyara”, dowódcy pochodzącego z Użhorodu na zachodniej Ukrainie, przed wojną menedżera jednej z lokalnych giełd rolnych. Powstała ona w 2022 r. i początkowo

liczyła 27 osób, ochotników cywiliów bez zaawansowanego przygotowania wojskowego. Obecnie w brygadzie walczy ponad 2 tys. operatorów dronów, którzy wykryli niemal 117 tys. celów, zniszczyli 54,5 tys. z nich i całkowicie „wyliminowali z walki”, czyli zabili 18,4 tys. rosyjskich żołnierzy i oficerów.

liczyła 27 osób, ochotników cywiliów bez zaawansowanego przygotowania wojskowego. Obecnie w brygadzie walczy ponad 2 tys. operatorów dronów, którzy wykryli niemal 117 tys. celów, zniszczyli 54,5 tys. z nich i całkowicie „wyliminowali z walki”, czyli zabili 18,4 tys. rosyjskich żołnierzy i oficerów.

TERAZ RZĄDZĄ DRONY

Ta zmiana realiów ukraińskiej wojny, która dziś wygląda zupełnie inaczej niż w 2022 r., wpłynęła na rewizję polityki władz w Kijowie. Ukraińcy są zdania – a przed tygodniem wróciłem z Kijowa, gdzie rozmawiałem z dowódcami i przedsiębiorcami pracującymi na rzecz sił zbrojnych – że wojna szybko się nie skończy. Najczęściej mówi się, że dopiero w 2027 r., a może nawet w 2028 r. zaistnieją warunki, które umożliwią rozpoczęcie poważnych negocjacji pokojowych. Rozmowy, takie jak niedawna runda negocjacyjna w Turcji, będą miały miejsce,

MAREK BUDZISZ



ale aby osiągnąć porozumienie, musi się zmienić zarówno sytuacja na froncie, jak i geostrategiczna, co wydaje się jeszcze bardziej odległe niż ustabilizowanie sytuacji z militarnego punktu widzenia.

Aby to ostatnie było możliwe, musi zacząć działać „ściana dronów”, czyli strategia sprowadzająca się do stworzenia pasa „ziemi niczyjej”, terenu dziś szerokiego na 40 km, a docelowo nawet na 80 km, który będzie „nie do przejścia” dla żadnej z walczących stron. Wówczas „front się zatrzyma” i obydwa kraje, zarówno Ukraina, jak i Federacja Rosyjska, znajdą się w sytuacji przypominającej końcową fazę wojny koreańskiej, kiedy żadna ze stron bez odwoływania się albo do broni jądrowej, albo ryzyka gigantycznych i daremnych strat w sprzęcie oraz ludziach nie była w stanie znacząco zmienić sytuacji. Aby to osiągnąć, Ukraina stawia na drony i – jak ujawnił niemiecki dziennik „Die Welt” – do 2030 r. chce wydać na ich produkcję 22,5 mld dol. i dostarczyć siłom zbrojnym 18 mln konstrukcji autonomicznych różnych typów.

Ze specjalnego memorandum przekazanego przez Kijów Kwaterze Głównej NATO w Brukseli, w posiadanie którego wszedł niemiecki dziennik, ma wynikać, że tylko do 2026 r. ukraińskie firmy chcą wyprodukować 8 mln dronów, zarówno rozpoznawczych, jak i bojowych, co – wedle szacunków specjalistów – będzie czterokrotnie przekraczać rosyjskie możliwości. Obecnie ponad 90 proc. mocy produkcyjnych Ukrainy koncentruje się na produkcji dronów FPV, czyli First Person View, konstrukcji „jednorazowego użytku”. Ponadto ma zostać wyprodukowanych prawie 300 tys. dronów uderzeniowych, zdolnych do przenoszenia (nawet na dystansie do 100 km) ładunków wybuchowych oraz 170 tys. dronów dalekiego zasięgu.

Warto zauważyć, że Ukraina koncentruje się na rozbudowie swoich możliwości w zakresie dronów dalekiego zasięgu, bo w tym segmencie ma przewagę produkcyjną, biorąc za punkt odniesienia 2022 r., wzrosły dwudziestodwukrotnie, podczas gdy w przypadku dronów FPV jedynie pięciokrotnie. Oznacza to szybki rozwój ukraińskiego sektora zbrojeniowego,

w szczególności tej jego części, która odpowiada za konstruowanie systemów bezzalagowych. W sumie w 718 firmach z tej branży pracuje obecnie ponad 300 tys. Ukraińców. Około jednej trzeciej wzrostu gospodarczego Ukrainy, który w 2024 r. wyniósł 3,9 proc., można przypisać przemysłowi zbrojeniowemu i ta tendencja jest wzrostowa.

Keith Kellogg, specjalny wysłannik Donalda Trumpa ds. Ukrainy będący jednocześnie emerytowanym generałem amerykańskich sił zbrojnych, napisał po niedawnej wizycie na Ukrainie, kiedy gospodarze pokazywali mu m.in. fabryki dronów, że ukraińskie konstrukcje są „niewiarogodnie innowacyjne” i amerykańskie firmy powinny zacząć je kupować.

Tylko do 2026 r. ukraińskie firmy chcą wyprodukować 8 mln dronów, co wedle szacunków specjalistów będzie czterokrotnie przekraczać rosyjskie możliwości

KIJÓW GRA TWARDO

Jednym z efektów wejścia ukraińskiej wojny w „fazę dronową” jest widoczny wzrost pewności siebie Kijowa. Ukraińska elita władzy nie ma ochoty nadal być pokornie proszącym o pomoc petentem i coraz śmielej zaczyna rozgrywać różnice interesów swych sojuszników. Tym bardziej że w tym obszarze dzieje się coraz więcej.

Olha Stefaniszyna, była minister odpowiedzialna za integrację europejską, która teraz ma się zajmować relacjami z administracją Trumpa, powiedziała w rozmowie z dziennikarzem „Europejskiej Prawdy”, że instytucje Wspólnoty „pokazały, iż nie są gotowe do mobilizacji i podjęcia decyzji o otwarciu pierwszej rundy negocjacji akcesyjnych z UE”. Kijów chciał przyspieszyć rozmowy o członkostwie, ale, jak po-

wiedziała była wicepremier, „niektóre kraje” zablokowały i utrudniły cały proces, bo spodziewano się rozpoczęcia negocjacji już w pierwszym półroczu.

W takiej sytuacji władze w Kijowie postanowiły przejść do kontruderzenia, pokazując partnerom – zarówno Amerykanom, jak i przede wszystkim Europejczykom – iż są gotowe do pójścia drogą odmienną od ich oczekiwań. W ramach legisacyjnego blitzkriegu Rada Najwyższa w ciągu kilku godzin uchwaliła, a Zelenski niezwłocznie podpisał, nowelizację ustawy, która w praktyce likwiduje niezależność NABU, specjalnej służby dochodzeniowej do walki z korupcją i nadzorującej jej pracę niezależnej prokuratury. W świetle nowych regulacji mają one podlegać prokuratorowi generalnemu, który będzie mógł wedle własnego uznania zamknąć każde dochodzenie, w tym prowadzone przeciw członkom rządu, lub przekazać je innym służbom, co w praktyce oznacza to samo, bo te są poddane politycznej i finansowej kontroli ukraińskich władz. Co prawda z powodu oburzenia Unii, ostrzegawczych głosów z Ameryki i przede wszystkim masowych demonstracji własnych obywateli Zelenski zadeklarował złożenie specjalnej ustawy, która miałaby wzmocnić niezależność NABU i nadzorującej ją prokuratury, ale jeszcze nie wiadomo, jaki będzie ona miała kształt, a decyzje personalne i w sprawach trwających śledztw będzie można podjąć już teraz, bo kontrowersyjna nowelizacja obowiązuje od momentu jej podpisania.

Innymi słowy Zelenski zrealizuje swe cele w polityce wewnętrznej, bo przejmie kontrolę nad ważną w obliczu zbliżających się wyborów instytucją, pokazując zarazem sojusznikom, że ci niewiele mogą zrobić, bo Ukraina w coraz większym stopniu liczy w wojnie na własne siły.

W tle tego, co się stało, jak zawsze majaczy postać Andrija Jermaka, człowieka nr 2 w ukraińskiej hierarchii władzy, o którym jeden z zachodnich ambasadorów powiedział dziennikarzowi „Financial Times”, że jest on „prezydentem, premierem, ministrem spraw zagranicznych... i wszystkimi ministrami razem



wziętymi”. Pozycja Jermaka w ukraińskim establishmentie nadal rośnie, co potwierdzają niedawne przetasowania rządowe, które na fotel premiera wyniosły Juliję Swiridienko, uchodzącą za protegowaną i lojalną współpracownicę szefa administracji Zelenskiego. Wcześniej odpowiadała ona za negocjacje z Amerykanami umowy o wspólnej eksploatacji ukraińskich minerałów, a tekst porozumienia pozostaje najpilniej strzeżoną tajemnicą, której nie zna nie tylko ukraińska opinia publiczna, lecz także członkowie rządu.

Ludzie demonstrujący w 19 miastach po tym, jak w ekspresowo przyjętej ustawie Zelenski ograniczył samodzielność służb antykorupcyjnych, domagali się dymisji Jermaka, bo ich zdaniem to on zorganizował całą akcję. Zdaniem obserwatorów ukraińskiej polityki jej celem ma być nie tylko „ukręcenia łba” niewygodnym dla Zelenskiego dochodzeniom w sprawach korupcyjnych, tak jak w przypadku ministra Aleksieja Czernyszewa, bliskiego współpracownika prezydenta, lecz przede wszystkim pokazanie Amerykanom, kto decyduje o przyszłości Ukrainy.

NABU i prokuratura antykorupcyjna od lat uchodzą w Kijowie za narzędzie zachodnich wpływów, przede wszystkim amerykańskich, które jest używane nie tylko po to, aby wypełnić łapówkarstwo, lecz przede wszystkim ma umożliwić trzymanie w szachu ukraińskiej elity władzy. Kierujący obydwoma organami przez lata pozostawali w stałym kontakcie z amerykańską ambasadą w Kijowie, a w czasie poprzedniej rekonstrukcji Zelenski odwołał ministra Kubrakowa, bo jak plotkowano wówczas w ukraińskiej stolicy, miał on budować swoją pozycję, utrzymując własne kontakty z Amerykanami.

Likwidując niezależną prokuraturę antykorupcyjną, Jermak miał pozba-

wić Amerykanów narzędzia wpływu na bieg spraw ukraińskich, a także pokazać Europejczykom, że i tak niewiele mogą zrobić, bo nie mają pola manewru. Państwa Wspólnoty zbudowały swą politykę wobec Donalda Trumpa na podkreślaniu konieczności wspierania wysiłku wojskowego Kijowa. Tydzień przed datą wprowadzenia ceł na europejskie towary eksportowane do Ameryki, co ma nastąpić 1 sierpnia, kiedy trwają trudne negocjacje, Europa nie zmieni radykalnie swej polityki wobec Kijowa i nie może zacząć grozić ograniczeniem pomocy, niezależnie od tego, do czego Zelenski posunie się w polityce wewnętrznej. Tym bardziej jeśli Ukraina ma niewiele do stracenia, bo rozpoczęcie jej rokowań akcesyjnych do UE i tak się przesuwają.

ROZGRYWKA NA KAUKAZIE

Na dodatek Trump też ma ograniczone pole manewru, bo rozgrywa bardzo ciekawy gambit dyplomatyczno-strategiczny na południowym Kaukazie. W grudniu mianował Toma Barracka amerykańskim ambasadorem w Turcji. Ten milioner w dyplomatycznej służbie Stanów Zjednoczonych, który nie objął jeszcze swoich obowiązków, ma bardzo szerokie pełnomocnictwa, jest też wysłannikiem Waszyngtonu do spraw Azerbejdżanu i Armenii. Obydwa kraje toczą spór w sprawie tzw. korytarza zangeżurskiego. Chodzi o możliwość komunikacji Azerbejdżanu z wchodzącym w skład tego państwa Nachiczewańską Republiką Autonomiczną, która jest enklawą na terenie Armenii. Po wojnie azersko-armeńskiej nadzór nad tym połączeniem sprawowała rosyjska armia, ale po wybuchu wojny na Ukrainie Erywań wypowiedział umowę zawartą po rozpadzie ZSRR i kwestia jest otwarta.

Jaki ma to związek z Ukrainą? Roz-

grywka, która się rozpoczęła, jest wielo-poziomowa, ale niezwykle ciekawa i może w rezultacie wpłynąć na geo-strategiczną sytuację w regionie. Azerbejdżan domaga się „eksterytorialnego korytarza”, a Armenia, w której w przyszłym roku odbędą się wybory parlamentarne, nie chce się zgodzić, aby to Turcja, blisko współpracująca z Baku, była gwarantem porozumienia. Mówi się nawet o wybuchu kolejnej wojny, bo Ilham Alijew, prezydent Azerbejdżanu, nie chce ustąpić. W tym momencie do gry wchodzi Amerykanie, bo Trump zaproponował, aby to jego marines pilnowali korytarza, umowy i ogólnie stabilizowali sytuację. Z punktu widzenia Waszyngtonu dodatkowym bonusem jest to, że korytarz biegnie wzdłuż granicy z Iranem, a rozwiązanie wieloletniego sporu wiązałoby i Azerbejdżan, i Armenię, a pośrednio też Turcję ze Stanami Zjednoczonymi. Na tle szybko pogarszających się relacji między Baku a Moskwą usadowienie się Amerykanów na południowym Kaukazie oznaczałoby też ostateczne wypchnięcie stamtąd Rosjan i kontrolę nad trasami komunikacyjnymi z Chin do Europy. Na tego rodzaju rozwiązanie musieliby zgodzić się Turcy i w tym momencie pojawia się kwestia zakończenia wojny na Ukrainie, bo Erdoğan ma ambicje odegrania roli brokera pokoju.

W tej sytuacji każdy ma coś do wygrania, również Ukraina, bez udziału której trudno mówić o szansach na zawarcie pokoju. I tę okoliczność – jak się wydaje – postanowił wykorzystać Zelenski. Pokazał swoją podmiotowość, pozbył się instytucji ograniczającej swobodę ruchów w polityce wewnętrznej, co będzie miało znaczenie przed wyborami, a także pokazał wszystkim sojusznikom, że Ukraina ma nie tylko swobodę manewru, lecz także własne pomysły na to, jak rozegrać przyszłość.



Unijny budżet i polskie interesy

Projekt nowego budżetu Unii Europejskiej zakłada skokowy, pięciokrotny wzrost wydatków na cele obronne i szybszy niż dotąd postęp technologii cyfrowych.

A to oznacza mniej pieniędzy na politykę spójności i rolnictwo

Okoliczności, w których 16 lipca unijny komisarz Piotr Serafin przedstawiał Parlamentowi Europejskiemu projekt nowego budżetu UE, były dość niezwykle.

Najpierw komisarz spóźnił się cztery godziny na wyznaczony termin. I choć bynajmniej nie ze swojej winy, to już na wejściu wywołał tym wzmożoną irytację europosłów. Zaraz potem miało się okazać, że parlamentarzyści nie dysponują żadnymi liczbami przedstawionymi na piśmie, w związku z czym



JAN ROKITA

kompetentna debata z Serafinem jest w zasadzie niemożliwa. A sam komisarz też nie miał dla nich pisemnych zestawień liczbowych, gdyż do tam-

tego czasu Komisja Europejska chyba ich nie zrobiła.

Jeśli wierzyć temu, co mówili sami europosłowie, a potem pisały europejskie gazety, w jakimś sensie cały ten chaos został z premedytacją wywołany przez szefową Komisji Europejskiej Ursulę von der Leyen i jej zausznika Björna Seiberta – człowieka z Turynii, który pełni funkcję dyrektora gabinetu o szerszych niżli kiedykolwiek dotąd kompetencjach nadzorczych nad całą unijną polityką i administracją.

PEŁNIA WŁADZY NAD BUDŻETEM

Nowa metoda budowania budżetu Unii, wymyślona i wdrażana teraz przez tę parę, zakłada bowiem, iż kompletna logika projektu budżetowego ma być znana (przynajmniej na obecnym etapie prac) tylko ścisłemu unijnemu kierownictwu skupionemu wokół Ursuli von der Leyen. Unijny budżet ma bowiem zostać scentralizowany i skonsolidowany, tak by władza nad przyszłą dystrybucją unijnych pieniędzy nie była już rozproszona jak do tej pory, ale została skonsolidowana w ręku samej przewodniczącej Komisji i szefa jej gabinetu.

Serafin spóźnił się do parlamentu, bo na zebraniu komisarzy wybuchła ponoć awantura z tego powodu. Wpływowi niemiecki dziennik „Politico” cytuje komisarza, który pomstuje, iż dano mu do wiadomości tylko jego własną część budżetową, więc nawet on, będąc członkiem Komisji, nie jest w stanie się zorientować, jak wyglądają działy budżetowe jego kolegów. Stąd upowszechniona w Brukseli opinia, iż nowy budżet jest nie tylko „niechlujny”, lecz także „tajny”.

Pierwotny koncept Seiberta bazował na dwóch założeniach. Po pierwsze – rola wyodrębnionych funduszy celowych, choćby takich jak fundusz spójności czy fundusze rolne, miała zostać zmarginalizowana, a pod drugie – wyłącznymi partnerami do ustaleń dotyczących dystrybucji pieniędzy w ciągu całych siedmiu lat miał się stać z jednej strony gabinet szefowej Komisji kierowany przez Seiberta, a z drugiej premierzy i ministrowie finansów państw członkowskich Unii.

Ten model jest wzorowany na praktyce zastosowanej po raz pierwszy przy okazji wymyślnego niegdyś wspólnie przez Merkel i Macrona sławetnego programu Next Generation UE (czyli teoretycznie funduszu odbudowy Europy po zarazie), którym szefowa Komisji mogła w zasadzie manipulować dowolnie i pod byle jakim pretekstem, wstrzymując przyznane już wcześniej fundusze dla tego czy innego kraju.

Ów pretekst, jak dobrze pamiętamy na polskim przykładzie, można było stworzyć zawsze, w zależności od aktualnych potrzeb politycznych Komisji, dzięki mechanizmowi tzw. KPO (czyli Krajowych Planów Odbudowy). W ramach tego mechanizmu szefowa Komisji mogła w praktyce żądać od każdego kraju czegokolwiek. Od Polski zażądano m.in. zmian w regulaminie Sejmu, czyli rzeczy pozostającej poza kompetencjami unijnymi. A każdy

Skoro Merz tak szybko i zdecydowanie wystąpił przeciw budżetowi swojej rodaczki i zarazem partyjnej koleżanki, to znaczy, że niemiecki rząd nie będzie wspierać ambicji von der Leyen w Brukseli

spór z państwem członkowskim mógł prowadzić – o ile tylko Ursula von der Leyen miała taką wolę – do zablokowania wypłat, co w krajach takich jak Polska czy Włochy wywarło istotny wpływ na politykę wewnętrzną.

Widać, że za pomocą planu budżetowego na lata 2028–2034 Komisja chce rozszerzyć swobodę swego politycznego wpływu na całość europejskich finansów. Nietrudno przewidzieć, co to może znaczyć dla polityki polskiej, o ile założyć (zgodnie z rozsądną prognozą), że nowy budżet europejski wejdzie w życie w czasie, w którym władzę w naszym kraju znów będzie sprawować jakaś prawicowa koalicja, zapewne niezbyt mile widziana w kręgach brukselskich.

Von der Leyen ma spore szanse, by przeforsować swój zamiar, choć z pewnymi wyłomami, na które musi się zgodzić w ramach zawieranych kompromisów. Pierwszy istotny wyłom został zrobiony już w tym projekcie, który w ubiegłą środę prezentował komisarz Serafin.

Planowi likwidacji wyodrębnionych funduszy regionalnych, negocjowanych dotąd w szczegółach nie z rządami, ale z władzami europejskich regionów i wypłacanych bezpośrednio regionom, sprzeciwił się włoski komisarz od polityki spójności Raffaele Fitto i z poparciem włoskiej premier Giorgii Meloni wygrał batalię z szefową Komisji. Dla Fitty sprawa musiała mieć m.in. charakter prestiżowy, gdyż rozżaleni samorządowcy z całej Unii liczyli na jego skuteczną interwencję jako niegdyśszego prezydenta regionu Apulii, gdzie zaczynał swoją karierę we włoskiej, a potem europejskiej polityce. Swoją drogą, sama Giorgia Meloni, w wielu kwestiach (np. migracyjnych) sojuszniczka Ursuli von der Leyen, ma wyjątkową silną pozycję w Brukseli, co nie jest rzeczą zwyczajną, zważywszy, że niektórzy na lewicy ciągle traktują włoską premier jako niebezpieczną faszystkę.

KANCLERZ MÓWI: NIE

Szefowa Komisji próbuje również powiększyć kolejny unijny budżet w stosunku do obecnego. Dwie proste liczby pokazują tę intencję z całą mocą: 1,2 bln euro w trwającej siedmioletniej i prawie 2 bln euro zaplanowane na siedmioletkę 2028–2034 (oczywiście trzeba tu brać poprawkę na inflację). Zwiększenie budżetu zawsze jest powiązane z trzema towarzyszącymi mu procesami: zwiększeniem zadań Komisji i rozbudową jej aparatu biurowego, faktycznym rozszerzeniem uprawnień Komisji i Parlamentu Europejskiego względem rządów krajowych, a w konsekwencji rosnącą władzą, znaczeniem i prestiżem szefa Komisji oraz jego najbliższych politycznych współpracowników. Nic dziwnego, że to właśnie Seibert, walczący o rozszerzenie swoich wpływów, przez ostatnich 18 miesięcy negocjował właśnie taki kształt nowego budżetu.

Najciekawszą rzeczą jest jednak to, że w ciągu tych długich miesięcy ani Seibertowi, ani samej von der Leyen najwyraźniej nie udało się przekonać rządu własnego kraju, aby zgodził się

na takie zwiększone finansowanie Unii. Widać dla kanclerza Friedricha Merza niemieckie pieniądze i samodzielność wobec UE są ważniejsze niżli bezkrytyczne wspieranie karier własnych rodaków w Brukseli.

Nie sposób powiedzieć, czy i jaką rolę odgrywa tu fakt, że szefowa Komisji, choć przecież nie tylko Niemka, lecz także członek partii Merza i niegdysiejszy chadecki minister obrony, była jednak w niemieckiej polityce człowiekiem Angeli Merkel, a obecny kanclerz szczerze jej nie znosi i ma po temu mocne osobiste powody. Ale oficjalną i zapewne prawdziwą przyczyną nieoczekiwanego wewnątrz-niemieckiego konfliktu są oczywiście pieniądze.

Już na drugi dzień po tym, jak Serafin prezentował w Parlamencie Europejskim nowy budżet, rząd Niemiec w lakonicznym komunikacie kategorięcznie odrzucił cały ów projekt jako „całkowicie nie do przyjęcia”. Właśnie z powodu pieniędzy.

Bo też pod jednym względem nic się w Unii nie zmieniło od lat: budżet Brukseli to w największym stopniu niemieckie pieniądze. I tak samo jak w negocjacjach budżetowych toczonych parę lat temu Berlin zaczyna owe negocjacje od stanowczego oświadczenia – Niemcy nie będą jeszcze więcej płacić na UE. Tyle że nigdy, odkąd Unia istnieje, ten zrytualizowany spór pomiędzy Berlinem i Brukselą nie był wistocie sporem wewnątrzniemieckim, bo też nigdy faktyczne przywództwo polityczne Komisji nie składało się z Niemców, na dodatek wywodzących się z tej samej partii co niemiecki kanclerz. Jednak tym razem ani narodowość, ani partyjna przynależność Ursuli von der Leyen chyba nie ułatwi jej zadania. Rząd Merza i tak złamał już klasyczne finansowe tabu niemieckiej chadecji i zamierza zaciągnąć gigantyczny dług na swoją armię oraz infrastrukturę. Paradoksalnie nie ułatwia to wcale sytuacji von der Leyen, gdyż Merz nie zamierza powiększać niemieckiego długu na potrzeby Brukseli.

MNIEJ NA POLITYKE SPOJNOŚCI I ROLNICTWO

Ten spór otwiera ciekawą sytuację negocjacyjną, także (a może nawet zwłaszcza) z polskiej perspektywy. Szefowa Komisji stawia bowiem jako priorytet wydatki europejskie na cele obronne (zwłaszcza przemysł zbrojeniowy) i szybszy niż dotąd postęp technologii cyfrowych. W obu tych obszarach Europa jest żałostnie zapóźniona, przez co coraz wyraźniej odczuwa lekceważenie ze strony potęg militarnych (Ameryka, Rosja) i technologicznych (Ameryka, Chiny).

Projekt budżetu zakłada skokowy,

Widać, że za pomocą planu budżetowego na lata 2028–2034 Komisja Europejska chce rozszerzyć swobodę swego politycznego wpływu na całość europejskich finansów

pięciokrotny wzrost wydatków na te dwa cele, co ewidentnie jest postulatem zdroworozsądkowym, jeśli do 2034 r. państwa europejskie nie mają się stać pariasami tego świata, zwłaszcza gdy idzie o pędzący postęp technologiczny. Von der Leyen i Seibert wydają się rozumieć, iż w ciągu siedmiolatki 2028–2034 może się rozstrzygnąć przyszła rola Europy, która jak dotąd ma wszelkie szanse, aby przegrać zarówno wyścig w dziedzinie bezpieczeństwa, jak i technologii.

Ale skoro tak, to von der Leyen rozpaczliwie potrzebuje dodatkowych pieniędzy, jeśli przeciw niej nie ma się podnieść bunt tych wszystkich, którzy przez dziesięciolecia przyzwyczaili się do „wyciskania brukselki” w ramach dwóch wielkich i starych unijnych polityk, niemal wypełniających w praktyce budżet Unii: polityki spójności i polityki rolnej. Polska i Francja są tu na czele listy, ale za nimi podąża całe w zasadzie Południe Europy.

Frontalny atak, który na projekt budżetu przypuścił w imieniu PiS premier Mateusz Morawiecki, dotyczy właśnie tej kwestii. Oskarża on Donalda Tuska, iż ten nie potrafi wziąć tyle samo pieniędzy na biedniejsze regiony i rolników, ile w bieżącym budżecie udało się wziąć Morawieckiemu. Oczywiście, że nie potrafi, tyle tylko, że nawet cudotwórca by nie potrafił. Co więcej, jest najzupełniej jasne, że gdy za rok czy półtora, po długich i zaciekłych przepychankach i negocjacjach, nowy budżet w końcu zostanie przyjęty w jakiejś kompromisowej, nikogo niesatysfakcjonującej wersji, to pieniędzy na „stare” polityki unijne nie będzie więcej, tylko mniej. Więc Morawiecki będzie miał jeszcze większe pole do narzekań i biadoleń. No chyba, że już wtedy na powrót będzie premierem, a jego stara/nowa rola zmusi go do desperackiej obrony słuszności cięć w unijnych subwencjach.

Jeśli bowiem dziś można stawiać jakąkolwiek roztropną prognozę, to brzmi ona tak: skoro Merz tak szybko i zdecydowanie wystąpił przeciw budżetowi swojej rodaczki i zarazem partyjnej koleżanki, to znaczy, że niemiecki rząd nie będzie wspierać jej ambicji w Brukseli. A jeśli Berlin okaże się konsekwentny i stanie na czele „koalicji egoistów” wymuszających pomniejszenie budżetu, to von der Leyen przegra tę rozgrywkę, przynajmniej w tej interesującej dla Polski kwestii, czyli wielkości wydatków na spójność i rolnictwo. W takich okolicznościach rozsądniejsze wydaje się skoncentrowanie polskich wysiłków na tym, aby nie przegrać z kretesem rywalizacji o podział nowych i całkiem sporych funduszy obronnych i technologicznych.

Niestety w jednej i drugiej kwestii Polska jest na nie najlepszych pozycjach wyjściowych. W naszym kraju ciągle nie widać żadnego poważnego polityka, który uważałby dokonanie cyfrowego skoku technologicznego państwa i gospodarki za swoją misję. A polski przemysł zbrojeniowy znajduje się w głębokim kryzysie, co z godną szcunkiem odwagą nie tak dawno przyznał były szef kancelarii Morawieckiego minister Michał Dworczyk, zaliczając tę rzecz do porażek rządu PiS. Niestety po słabym, osamotnionym i pogrążonym w niemocy premierze Tusku trudno się spodziewać przełomu w tej mierze. 

Katolicyzm a polityka

Migracja z krajów Trzeciego Świata to najpoważniejsze wyzwanie, któremu nie potrafi sprostać obecna Europa. Ma ono charakter polityczny, ale jego cywilizacyjna stawka wykracza poza potocznie rozumianą politykę. To odpowiedź na pytanie, czy Europa przetrwa jako kulturowa wspólnota, co ma znaczenie nie tylko dla naszego kontynentu



BRONISŁAW WILDSTEIN

Ogólne sformułowania nie oddają złożoności zagadnienia. Być może cywilizacja europejska żyć będzie tylko w niektórych krajach, np. w Polsce i naszym regionie. Z pewnością jednak weszliśmy już w okres turbulencji, które rozstrzygną losy europejskich państw narodowych i ich szerszej, kulturowej tożsamości.

W sporze o migrację odbijają się problemy ideowe i polityczne. Czy poszczególne narody są w stanie oprzeć się walcowi emancypacyjnej ideologii, która niszczy ich specyfikę i w konsekwencji podmiotowość polityczną? Rozbraja ona narody Europy wobec obecnej kulturowo imigracji. Czy ideologii tej ulegnie także Kościół, który, zagrożony procesem laicyzacji generowanej przez wrogą mu lewicowo-liberalną ortodoksję, rozsadzany jest jej wpływami wewnątrz samej instytucji? To napięcie obserwować możemy właśnie w odniesieniu do zagadnienia imigracji.

* * *

Metropolita łódzki kard. Grzegorz Ryś ogłosił list pasterski, który tydzień temu odczytywany był w kościołach jego archidiecezji. „Spór o uchodźców i migrantów rozpala publiczną dyskusję, a także działania, które – nierzadko

powołując się na chrześcijańskie motywacje – w istocie rzeczy z chrześcijaństwem nie mają wiele wspólnego [...] Hejt, strach przed »obcym«, stereotypy, nienawiść stają się argumentem ważniejszym niż racje ludzkie i ewangeliczne. Tymczasem katolicka nauka społeczna (na którą tak wielu się powołuje...) wyraźnie stwierdza, że KAŻDY CZŁOWIEK ma prawo wybrać sobie miejsce do życia; i ma prawo w tym miejscu być uszanowanym w swoich przekonaniach, kulturze, języku i wierze. Chrześcijaństwo nie jest religią plemienną, lecz – jak uczy Sobór – objawieniem »jedności całego rodzaju ludzkiego« – głosi hierarcha. I podsumowuje: „To nie polityka”.

Na pewno? Polityka to „zabieganie o dobro wspólne”. Nie ma sprawy bardziej dotyczącej wspólnoty niż masowa, obca kulturowo imigracja. Jednoznacznym wnioskiem z listu kardynała jest otwarcie polskich granic dla imigrantów. Dziesiątki milionów młodych Afrykanów chce osiedlić się w Europie. Trudno ich za to winić. Tamtejsze państwa nie zapewniają im elementarnych warunków życia. Jeśli miliony te wpuścimy do Polski, to stanie się ona również państwem upadłym, a życie w nim zacznie przypominać to, przed którym uciekają migranci. To nie „hejt” wymierzony w przybyszy, którzy nie są niczemu winni, tylko opis oczywistych konsekwencji określonych działań politycznych(!).

Kościół uznaje, że ludzie mają prawo migrować w celu utrzymania siebie i swoich rodzin, ale państwa przyjmo-

wać powinny ich w miarę swoich możliwości. Nadrzędne dla polityki(!) w tej mierze jest dobro wspólne. Państwo ma obowiązek strzec prawa, w tym chronić swoje granice i troszczyć się o bezpieczeństwo obywateli. Musi również dbać o kulturową tożsamość obywateli, którym wolno jej bronić. To także katolicka nauka społeczna.

* * *

Widać zatem, że kardynał powołuje się na nią bardzo wybiórczo. Można powiedzieć nawet, że prowadzi do jej zaprzeczenia, gdyż wnioski, które musimy wyciągnąć z jego listu, uderzają w „dobro wspólne”, a zatem zasadę tego nauczania.

Nie bierze bowiem kardynał pod uwagę *ordo caritatis* – porządku miłosierdzia, które jest zasadą katolickiej nauki społecznej co najmniej od św. Augustyna. Dużo miejsca tej idei poświęcił św. Tomasz. Oznacza ona, że nasze obowiązki postępują hierarchicznie: od najbliższych nam, czyli rodziny, poprzez kolejne kręgi przynależności aż po naród zorganizowany w państwo. Ład ten wyrasta z naszych potrzeb i możliwości. Nie jesteśmy w stanie zadbować o wszystkich jednakowo; zwykle, gdy coś takiego deklarujemy, oznacza to, że nie dbamy o nikogo.

Rozpoznanie porządku miłosierdzia nie kwestionuje naszych powinności wobec wszystkich bliźnich, w tym także nam najdalszych. Mają one jednak inny charakter i odnoszą się do niekrywdzenia ich i pomocy w sytuacji ekstremalnej.

Najszersza wspólnota, z którą potrafimy się zidentyfikować, gdyż jej losy determinują nasze życie, to naród funkcjonujący w państwie, wobec którego mamy określone zobowiązania. Jesteśmy w stanie budować wspólny kształt tylko ograniczonej zbiorowości, z którą czujemy się zespoleni. Zrozumienie tego nie prowadzi do przekształcenia chrześcijaństwa w religię plemienną, ale oznacza zrozumienie natury człowieka, który jest istotą wspólnotową. Dopiero uświadomienie sobie tego stanu rzeczy otwiera nam perspektywę właściwego postępowania i realnego działania na rzecz innych.

W podstawowym aspekcie swojego bytowania, czyli relacji z Bogiem człowiek występuje jako poszczególne osoba. Dla Stwórcy nie ma znaczenia czy jest Żydem, czy Grekiem, kobietą czy mężczyzną, możnowładcą czy biedakiem. Bytowanie ludzkie w świecie doczesnym, a więc ograniczonym określane jest jednak przez płeć, narodowość, rodzinę, miejsce społeczne. Stajemy się ludźmi poprzez kulturę, która ma partykularne kształty, a więc poprzez wspólnotę, z którą się identyfikujemy. Nawet Kościół stanowi taką, i to zróżnicowaną wewnątrznie.

* * *

„Potrzebujemy Jezusowego języka – pisze metropolita łódzki – jeśli zdecydujemy się uczestniczyć w dyskusjach na temat właściwej relacji do uchodźców i migrantów – to chcecie to czynić w głębokim zjednoczeniu z rzeczywistością nauką Chrystusa i Kościoła. Jeśli zaś nie – to proszę: miejcie odwagę przynajmniej w takich wypadkach zamilknąć i nie dokładać ognia do tak rozpalonej rzeczywistości”.

Trudno wypowiedzieć tę oderwać od wcześniejszych ledwie o kilka dni wystąpienia biskupów Antoniego Długosza i Wiesława Meringa.

Oto fragmenty homilii tego pierwszego.

„Zwykli obywatele organizowali się, aby zrobić to, co miał zrobić ich rząd: ochronić swoje rodziny, kulturę i styl życia przed nową falą nielegalnej imigracji, którą nam przygotował Berlin. [...]”

Nie mając innego wyboru, obywatele zorganizowali się w Ruch Obrony

Granic. Zamiast wsparcia dla swojej inicjatywy i spontanicznej samoorganizacji, są dzisiaj obrażani, opisywani jako faszysti i bigoci. [...]”

To znany obrazek: z jednej strony lewicowo-liberalny salon z jego nie do zniesienia postawą moralnej wyższości i bezczelności, z drugiej zwykli Polacy, którzy próbują rozwiązać swoje problemy i żyć normalnie, a z tego powodu są nazywani, w gorszym przypadku, »faszystami«, a w lepszym, ludźmi »ograniczonymi« i »niewykształconymi«. [...]”

I chociażby obwieszono na transparentach najrozsadniejsze wezwania do miłowania wszystkich ludów i narodów, nie będziemy temu przeciwni, ale będziemy

Obrona polskiej granicy
to obrona podstawowego
wymiaru naszej
niepodległości. Tracąc nad
nią kontrolę przestajemy
panować nad swoimi losami

żądali, abyśmy mogli żyć przede wszystkim duchem, dziejami, kulturą i mową naszej polskiej ziemi, wypracowanej przez wieki życiem naszych praojców. Stąd istnieje obowiązek obrony kultury rodzimej”.

Biskup mówił także, że rozwiązaniem problemów Afryki nie jest masowa emigracja jej mieszkańców do Europy.

Wypowiedź metropolity łódzkiego stanowi ostrą polemikę z tymi tezami, a stanowiska listu pasterskiego i obu homilii tworzą biegunowo odmienną interpretację chrześcijaństwa nie tylko w odniesieniu do imigracji, ale generalnie do życia doczesnego.

Z jednej strony mamy wezwanie do absolutnego przestrzegania abstrakcyjnej normy: prawa do wyboru miejsca zamieszkania. Z drugiej odwołanie się do konkretnego: kulturowo-narodowej tożsamości. Z jednej to wyższościowa postawa, która obronę społecznego środowiska traktuje jako bezrozumny

„strach przed obcym” prowadzący do hejtu i nienawiści. Z drugiej to zrozumienie i współczucie dla ludzi, którzy chcą chronić swojego historycznie ukształtowanego modelu życia z jego normami i wartościami.

Która postawa jest prawdziwie chrześcijańska?

* * *

Warto zaznaczyć, że polemika kard. Rysia zbiega się z bezprecedensowym wystąpieniem szefa polskiego MSZ, który domaga się od Watykanu przywołania do porządku polskich biskupów. Pomysł zwrócenia się do papieża, aby cenzurował wypowiedzi hierarchów oznacza, że minister traktuje Kościół polski i jego kapłanów jako przedstawicieli obcego państwa, których możliwości wypowiedzi winny być ograniczone, a kontrolować ją ma ich zagraniczny zwierzchnik. Wynika z tego, że członkowie Kościoła nie posiadają w Polsce praw obywatelskich.

Tego typu „démarche” jest skandalem, na który duchowni powinni solidarnie zareagować. W tym kontekście ostra krytyka biskupów (bo tym realnie jest list kard. Rysia), których wcześniej wziął na cel szef MSZ, nabiera dodatkowego znaczenia.

Trudno nie dostrzec w tym znamion polityki i to nie najwyższego lotu.

* * *

Chrześcijaństwo cechuje się szczególnym napięciem pomiędzy absolutnymi wymaganiami wiary, a warunkami społecznymi i niedoskonałą naturą człowieka. Uznać należy, że napięcie to było istotnym źródłem wielkości kultury zachodniej. Najwyższy ideał zderza się z grzesznością człowieka i ułomnością budowanego przez niego świata. Świadomość tego otwiera przestrzeń wolności i pluralizm ludzkich wyborów.

Bytowanie ziemskie to zmierzenie się z warunkami życia doczesnego, czas próby, a nie budowa królestwa Bożego, które nie zaistnieje na ziemi przed paruzją. Człowiek powołany jest do najwyższych zadań, ale wyobrażenie, że potrafi osiągnąć doskonałość na ziemi to grzech pychy. Powinien naśladować

Chrystusa, ale nie udawać go. Musi zdać sobie sprawę ze swoich ograniczeń, bo bez ich świadomości jego działanie prowadziło będzie do odwrotnych do zamierzonych efektów.

Można znaleźć wystarczającą liczbę wezwań i przykazań Chrystusa w ewangeliiach, które uczyniłyby niemożliwym normalne życie. Wyrwane z kontekstu są z lubością cytowane przez zwolenników ideologii emancypacji dla uzasadnienia, że Jezus rewolucjonista był jej rzecznikiem, a Kościół sprzeniewierza się jego nauce.

Nie chcą zauważyć oni, że równie często odnajdujemy w Piśmie Świętym mocno sformułowaną i to na różne sposoby deklarację wcielonego Boga, że „królestwo moje nie jest z tego świata”.

Już od początku istnienia chrześcijaństwa kontrast między najwyższym ideałem a warunkami bytowania ludzkiego prowadził do herezji, które kusiły wyobrażeniem, że własnymi siłami człowiek zbuduje królestwo Boże na ziemi.

Misja św. Pawła w Tesalonice owocowała masowymi nawróceniami. Nowi chrześcijanie uznali jednak, że powtórne nadejście Chrystusa jest kwestią krótkiego czasu. Zaczęli rozdawać swoje dobra, zaniechali pracy i generalnie odwrócili się od życia doczesnego. W swoim drugim do nich liście apostoł głosi, że czas paruzji jest niewiadomy i nie w mocy człowieka jest go przewidzieć. Do tego czasu ludzie powinni spełniać ziemskie powinności i stawiać czoło koniecznościom życiowym. Nie mogą wierzyć fałszywym prorokom, którzy głosząc bliski koniec świata wzywają do zaprzeczenia jego regułom. Apostoł powtarza to, co w Ewangelii mówi sam Chrystus, który oświadczył, że o czasie jego powtórnego przyjścia nie wie nikt, tylko Bóg Ojciec w niebie.

* * *

Lewicowy aktywista Sławomir Sierakowski ogłosił, że „nie może doczekać się masowego przybycia imigrantów”, „innych”, którzy zmienią oblicze Polski i będą „sprzyjać siłom progresywnym”. Jest do pewnego stopnia szczery. Nie znosi polskiej tożsamości i liczy,



Metropolita łódzki kard. Grzegorz Ryś

że masowa imigracja ją przewycięży. Kard. Ryś się nad tym nie zastanawia, ale jego apel prowadzi w tym samym kierunku. Wchodząc na grunt problemów zbiorowych, czy tego chcemy, czy nie, wkraczamy na grunt polityki.

Przez granicę zachodnią imigrantów przerzucają do nas Niemcy. Grzegorz Górny słusznie zauważył, że to do nich kardynał powinien kierować swój apel. Nasi sąsiedzi bez uzgodnienia z nami wyrzucają do naszego kraju przybyszy pragnących się u nich osiedlić, których jeszcze niedawno „serdecznie zapraszali”.

Obrona polskiej granicy to obrona podstawowego wymiaru naszej niepodległości. Tracąc nad nią kontrolę, przestajemy panować nad swoimi losami. O tym mówili biskupi Długosz i Mering.

Ruch Obrony Granicy jest wielką społeczną inicjatywą, przejawem społeczeństwa obywatelskiego, do którego tak chętnie odwołuje się dominujący

dziś na Zachodzie establishment. Kiedy jednak pojawia się autentyczny ruch, który wymyka mu się z rąk, nie ma epitetów, których by przeciw niemu nie używali jego przedstawiciele.

Jeśli pochylamy się nad obecnym problemem polskiej granicy nie możemy od tego abstrahować. Kard. Ryś tego nie bierze pod uwagę. Nie zajmuje się konsekwencjami swojego apelu. Czy na tym polegać ma prawdziwe chrześcijaństwo? Czy nie wręcz przeciwnie?

Roztropność to jedna z czterech cnót kardynalnych w chrześcijaństwie. A oznacza ona rozpoznanie konsekwencji swoich działań. Naiwny absolutyzm moralny, który tym się nie zajmuje jest odwrotnością roztropności.

Nauka społeczna Kościoła nie odwraca się od polityki, nie neguje jej, ale usiłuje nasycić ją chrześcijańskimi treściami. Kto więc ją prezentuje: kard. Ryś czy bp Długosz?

*Z jednej strony napięcie wiszące
w powietrzu, tajne rozkazy
i przegrupowania konspiratorów.*

*Z drugiej odgłosy walk na wschodzie,
wiadomości o aresztowaniach akowców
i Niemcy szykujący się do obrony stolicy
Polski. Warszawa tuż przed wybuchem
powstania przypominała beczkę prochu*



W oczekiwaniu na powstanie. Warszawa przed 1 sierpnia 1944 r.



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

W pierwszych miesiącach 1944 r. Warszawę dławił okupacyjny terror. Łapanie, wywózki na roboty, egzekucje były przerażającą codziennością. Po pięciu latach okupacji miasto kipiało z nienawiści do Niemców, a żołnierze podziemia niecierpliwie

czekali na moment rozpoczęcia walki z wrogiem.

W lipcu represje jeszcze się nasiliły. Ulice patrolowały SS i policja, trwały rewizje i aresztowania. Upalne letnie dni potęgowały duszną atmosferę oczekiwania, podsycaną napływającymi ze wschodu wieściami o zbliżającym się froncie.

FRONT POD WARSZAWĄ

Armia Czerwona nieustannie parla na zachód. Wielka ofensywa w ramach operacji „Bagration” w krótkim czasie doprowadziła do wyparcia Wehrmachtu z terenów Białorusi, wschod-

niej Polski i Ukrainy. Na początku lipca do Warszawy zaczęły docierać wiadomości o przełamaniu frontu, a w mieście widać było oznaki niemieckiego odwrotu. Żandarmeria regularnie wstrzymywała ruch w centrum, a mostami przez Wisłę oraz głównymi ulicami sunęły konwoje z cofającymi się kolumnami wojskowymi oraz rannymi. Pojawili się także zdemoralizowani żołnierze Wehrmachtu, na własną rękę uchodzący przed Armią Czerwoną. Wydawało się, że okupant zaczyna tracić kontrolę nad sytuacją.

Wielu warszawiaków sądziło, że Niemcy nie będą twardo bronić Warszawy, a ich władza w mieście załame

się, podobnie jak w 1918 r. Dodatkowym źródłem optymizmu była wieść o nieudanym zamachu na Hitlera z 20 lipca. Dowództwu Armii Krajowej coraz trudniej było utrzymać w ryzach młodych żołnierzy, którzy obserwując panikę Niemców, rwali się do boju.

Władze III Rzeszy od początku okupacji uważały Warszawę za kluczowy punkt i opracowywały plany stłumienia ewentualnego powstania w mieście. Przygotowania obronne nabrały tempa wiosną 1944 r., gdy stało się jasne, że polska stolica wkrótce znajdzie się w strefie przyfrontowej. Ufortyfikowano niemieckie urzędy, koszary i węzły komunikacyjne. Pojawiły się betonowe bunkry typu Tobruk, zasieki z drutu kolczastego, a także działa i czołgi ustawione w newralgicznych punktach miasta.

Z powodu dramatycznej sytuacji militarnej III Rzeszy, garnizon warszawski nigdy nie osiągnął zakładanych 36 tys. żołnierzy. Pod koniec lipca liczył ok. 11 tys. ludzi pod dowództwem gen. Reinera Stahela, wspieranych przez SS, policję i jednostki pancerne. Po stronie polskiej w mieście działało natomiast ok. 50 tys. żołnierzy AK oraz inne formacje, takie jak Narodowe Siły Zbrojne, Polska Armia Ludowa, Korpus Bezpieczeństwa, czy nawet komunistyczna Armia Ludowa.

ZMIANA PLANÓW

Decyzja o podjęciu powstańczej walki z Niemcami w Warszawie została podjęta dopiero w drugiej połowie lipca 1944 r. Pierwotnie stolica nie była brana pod uwagę w planach akcji „Burza”. Jeszcze na początku miesiąca Komenda Główna AK kierowała transporty broni do wschodniej Polski, uszczuplając warszawskie zapasy.

Wydarzenia na Kresach wymusiły jednak zmianę planów. Wspólna walka oddziałów AK z Armią Czerwoną przeciwko Niemcom kończyła się tragicznie. Oficerów i żołnierzy polskiego podziemia rozbrajano i aresztowano, a wielu z nich mordowano. Tysiące członków konspiracji po przesłuchaniach i torturach wysyłano do łagrów lub zmuszano do wstępowania w szeregi armii Berlinga.

21 lipca, podczas narady z udziałem Komendanta Głównego AK gen. Tadeusza Komorowskiego „Bora”, szefa sztabu KG AK gen. Tadeusza Pelczyńskiego „Grzegorza” i szefa operacji KG AK gen. Leopolda Okulickiego „Kobry”, zapadła decyzja o wznieceniu powstania w stolicy. Następnego dnia w „wyzwolonym” Chełmie na Lubelszczyźnie moskiewskie radio ogłosiło utworzenie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, który formalnie przejmował władzę w regionach zajętych przez Sowieców na zachód od Bugu. W jego cieniu NKWD przeprowadzało systematyczne czystki, a do Warszawy docierały wieści o sowieckich represjach. Nad krajem zawisło widmo komunistycznych rządów.

FESTUNG WARSCHAU

Front zbliżał się do miasta. 23 lipca ku uciesze mieszkańców gen. Stahel rozkazał ewakuację niemieckich cywilów w kierunku Łodzi. Nastąpiło to po fali bombardowań Warszawy przeprowadzonej przez sowieckie lotnictwo w drugiej połowie lipca 1944 r. Największe zniszczenia przyniósł nalot dokonany w nocy z 27 na 28 lipca 1944 r. Poważnie uszkodzone zostały Dworzec Wileński oraz Dyrekcja Kolei, wiele bomb spadło m.in. na Wolę i Bródno.

Mimo dramatycznej sytuacji militarnej 27 lipca Adolf Hitler rozkazał przekształcić Warszawę w Festung Warschau – twierdzę, której należało bronić za wszelką cenę. Tego samego dnia ok. 17.00 niemieckie władze ogłosiły przez megafony obowiązek stawienia się 100 tys. mieszkańców miasta w wieku 17–65 lat w wyznaczonych punktach zbornych w celu skierowania ich do budowy umocnień nad Wisłą. Dowództwo AK uznało to za próbę rozbicia sił podziemia i wezwało warszawiaków do bojkotu. Gen. Komorowski „Bór” obawiał się, że niemieckie plany doprowadzą miasto do ruiny, a Warszawa podzieli los zamienionych swego czasu w twierdze Stalingradu i Kijowa. W tej sytuacji o 19.00 płk Chruściel bez porozumienia z Komendą Główną AK wydał rozkaz o mobilizacji. W tym czasie Armia Czerwona opanowała

Garwolin i rozpoczęła przygotowania do przeprawy na zachodni brzeg Wisły na południowy wschód od Warszawy.

Wczesnym rankiem 28 lipca rozkaz gotowości do rozpoczęcia walki płk. Chruściela dotarł do poszczególnych oddziałów. Zgodnie z apelem podziemia ludność stolicy zignorowała niemieckie wezwanie do budowy umocnień. W mieście panował nastrój wyczekiwania. Po południu wobec braku reakcji Niemców na niestawienie się ludności do prac fortyfikacyjnych Komenda Główna AK zdecydowała się odroczyć wybuch powstania, a płk Antoni Chruściel wydał rozkaz o odwołaniu ostrego pogotowia.

SOWIECKIE APELE

Komuniści doskonale zdawali sobie sprawę z nastrojów panujących w okupowanej Warszawie. Liczyli, że uda się sprowokować mieszkańców do spontanicznej walki z Niemcami, którą następnie będą mogli przedstawić jako własny powstańczy zryw. W ich narracji miało to być przeciwieństwem rzekomego „stania z bronią u nogi” przez AK, co było oczywistą nieprawdą, biorąc pod uwagę przebieg akcji „Burza” na Kresach.

29 lipca na falach moskiewskiego radia został nadany apel Związku Patriotów Polskich: „Warszawa drży w posadach od ryku dział. Wojska radzieckie nacierają gwałtownie i zbliżają się do Pragi. Nadchodzą, aby przynieść nam wolność. Niemcy wyparci z Pragi będą usiłowali bronić się w Warszawie. Zechcą zniszczyć wszystko. W Białymstoku burzyli wszystko przez sześć dni. Wymordowali tysiące naszych braci. Uczynimy, co tylko w naszej mocy, by nie zdołali powtórzyć tego samego w Warszawie.

Ludu Warszawy! Do broni! Niech cała ludność stanie murem wokół Krajowej Rady Narodowej, wokół warszawskiej Armii Podziemnej. Uderzcie na Niemców! Udaremnijcie ich plany zburzenia budowli publicznych. Pomóżcie Czerwonej Armii w przeprawie przez Wisłę. Przysyłajcie wiadomości, pokazujcie drogi. Milion ludności Warszawy niech stanie się

milionem żołnierzy, którzy wypędzą niemieckich najeźdźców i zdobędą wolność”.

Dzień później komunikat został powtórzony przez polskojęzyczną komunistyczną radiostację im. Tadeusza Kościuszki, odbieraną w Otwocku i Radzyminie. Jednocześnie w Lublinie z oddziałów wojskowych podległych PKWN montowano jednostkę, która miała wyruszyć do Warszawy w celu „karnego ujarzmienia ulic miasta”. Apele komunistów nie miały dużego wpływu na mieszkańców Warszawy, jednak chęci, by wygnać znienawidzonego okupanta, nadal były ogromne.

GORACZKOWE NARADY KIEROWNICTWA AK

W Komendzie AK zapanowała nerwowa atmosfera. Niemcom udało się opanować rozprężenie w administracji i oddziałach mundurowych. W Warszawie i jej okolicach koncentrowała się niemiecka 9. Armia. W jej dzienniku zanotowano: „Polski nacjonalistyczny ruch podziemny ogłosił dla swoich oddziałów stan pogotowia, trzeba się więc liczyć ze wzmożoną akcją sabotażową i innymi wrogimi wystąpieniami. Wskutek tego zarządzono wzmożony nadzór nad wszystkimi obiektami. Ruchy wojsk niemieckich ze wschodu zaniepokoiły ludność. By ją przekonać o mocnym zamiarze utrzymania miasta, dowódca 9. Armii zarządził, aby wszystkie nowe oddziały przybywające z zachodu i wyładowywane w Warszawie przemaszerowały w jak najlepszym porządku przez miasto”. Na ulicach były widoczne liczne patrole policji i wojska, ponadto zaminowano dwa mosty: Poniatowskiego i Kierbedzia. Gen. Komorowski cały czas odkładał wybuch powstania do chwili rozpoczęcia radzieckiego natarcia na Warszawę.

30 lipca w Śródmieściu członkowie podziemia zaczęli w jawny sposób rozdawać konspiracyjną prasę. W tym czasie Armia Czerwona zdobywała Radzymin i Wołomin oraz Starą Miłosną. Następnego dnia o 10.00 w sztabie Komorowskiego odbyła się

kolejna narada. Zdania co do przeprowadzenia powstania były podzielone: trzy osoby, w tym gen. Okulicki, głosowały za szybkim rozpoczęciem walk, aby „władze cywilne miały owe 12 godzin czasu na zorganizowanie się przed pojawieniem się Sowietów”. Cztery osoby były przeciwne. Wśród nich był płk „Monter”, który przypominał o dramatycznym braku broni i twierdził, że „uderzenie na jeszcze niezdezorganizowanych Niemców nie ma szans powodzenia”.

Po południu do Komendy Głównej dotarły wieści o wzięciu do niewoli do-

Mimo dramatycznej sytuacji militarnej 27 lipca Adolf Hitler rozkazał przekształcić Warszawę w Festung Warschau – twierdzę, której należało bronić za wszelką cenę

wódcy niemieckiej 73. dywizji broniącej przedpolą Warszawy, a także ruchach wojsk sowieckich okrążających miasto. Według niektórych meldunków radzieckie oddziały wdarły się do praskich przedmieść, a niemiecka obrona uległa dezorganizacji. Zaczęto się obawiać, że lada moment będzie za późno na rozpoczęcie walki z Niemcami.

O 17.00 gen. Komorowski po konsultacji z gen. Pelczyńskim, gen. Okulickim, płk. Chruścielą i delegatem rządu Janem Stanisławem Jankowskim podjął decyzję: powstanie wybuchnie 1 sierpnia 1944 r. o 17.00. Dwie godziny później płk „Monter” podpisał rozkaz bojowy: „Alarm, do rąk własnych Komendantom Obwodów. Nakazuję »W« dnia 1.08. godzina 17”. O 20.00 rozpoczęła się godzina policyjna, dlatego łącznicy mogli ruszyć z instrukcjami dopiero następnego dnia.

Tymczasem na przedpolach Pragi Niemcy rozpoczęli kontratak przy użyciu pięciu dywizji pancernych, mający

na celu odrzucenie Armii Czerwonej od Warszawy. W Moskwie wylądował premier Stanisław Mikołajczyk, by rozpocząć rozmowy ze Stalinem. Zaczęło się ostateczne odliczanie do godziny W.

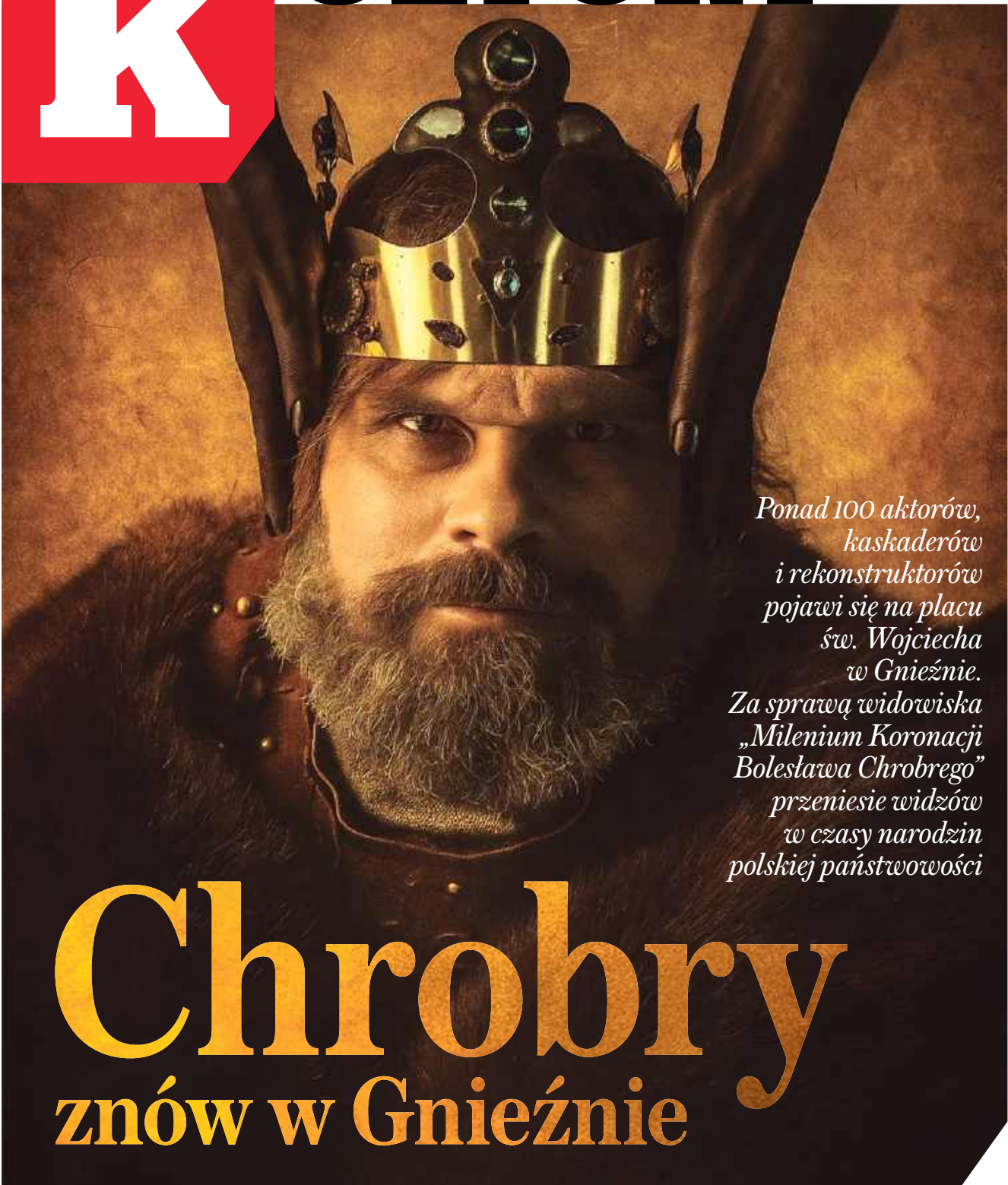
PORANEK PRZED POWSTANIEM

O świcie rozpoczął się ostatni etap przygotowań do walki. O 7.00 łączniczki przejęły rozkaz płk. Antoniego Chruściela o rozpoczęciu powstania. Natychmiast uruchomiono mechanizmy mobilizacyjne. Tysiące konspiratorów wyruszyło z rozkazami, przenosząc broń i amunicję w wyznaczone miejsca.

Mobilizacja przebiegała w warunkach chaosu. Główną przyczyną było skrócenie okresu przygotowań z planowanych 48 do 24 godzin, a w praktyce – z powodu godziny policyjnej – do kilku godzin oraz problemy z łącznością. Na miejsca koncentracji dotarła jedynie część oddziałów. Wielu żołnierzy nie zgłosiło się lub nie zdążyło dotrzeć na czas. Do punktów zbórnych trafiło zaledwie 40 proc. zgromadzonej broni, a spreczne rozkazy i brak amunicji dodatkowo potęgowały nerwowość.

Pierwsze strzały padły ok. 13.50 na Żoliborzu, gdy drużyna Zdzisława Sierpińskiego otworzyła ogień do patrolu niemieckich lotników przy ul. Krasieńskiego. Niemcy szybko ściągnęli na miejsce czołg i samochody z karabinami maszynowymi. Ok. 15.30 doszło do kolejnej wymiany ognia podczas oblawy w rejonie ul. Suzina, w której zginął m.in. dowódca SOB Włodzimierz Kaczanowski. Te incydenty zaalarmowały garnizon.

Niemcy obsadzili kluczowe skrzyżowania, a także wiadukt przy Dworcu Gdańskim, a jednostki w Cytadeli i na lotnisku bieleńskim postawiono w pogotowie. O 16.00 dowódca SS i Policji w dystrykcie warszawskim Oberführer SS Paul Otto Geibel ogłosił alarm. Pół godziny później to samo zrobił gen. Reinhold Stahel, dowódca garnizonu. Było już jednak za późno, aby powstrzymać bieg wydarzeń. O 17.00 wybiła godzina W. Warszawa stanęła do walki. 



*Ponad 100 aktorów,
kaskaderów
i rekonstruktorów
pojawi się na placu
św. Wojciecha
w Gnieźnie.
Za sprawą widowiska
„Milenium Koronacji
Bolesława Chrobrego”
przeniesie widzów
w czasy narodzin
polskiej państwowości*

Chrobry

znów w Gnieźnie



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Gniezno. To tu koronowało się pięciu pierwszych królów Polski: Bolesław Chrobry, Mieszko II, Bolesław Śmiały, Przemysław II i Wacław II. Gdzie indziej, jak nie u stóp Wzgórza Lecha, w scenicznej interpretacji, mógł powrócić Bolesław Chrobry?

SYMBOLICZNIE I DYNAMICZNIE

Organizatorzy zapowiadają wydarzenie na szeroką – wielowiekową i wielkoformatową – skalę. Z multimedialną scenografią wykorzystującą tzw. video-mapping na murach katedry, efektami pirotechnicznymi oraz wyjątkową narracją opowiadającą o tysiącleciu polskiej tożsamości. Przewidują, że pokazane kilkakrotnie widowisko (1–3 oraz 8–10 sierpnia) – obejrzy łącznie 12 tys. widzów. Nam udało się jeszcze przed premierą zajrzeć za „kulisy” i dowiedzieć, co czeka widzów na placu św. Wojciecha.

Będzie „symbolicznie i dynamicznie”. – Proszę się przygotować na mocny kontrast: od kontemplacji do spektakularnego rozmachu – zapowiada Krystian Łyczak, prezes spółki organizującej widowisko. – Pierwsze minuty mają zadziałać jak otwarcie średniowiecznego manuskryptu – ujawniamy tylko tyle, by pobudzić wyobraźnię – dodaje. – Światło schodzi niemal do zera, a w półmroku zobaczą państwo symboliczną wartość przy królewskim katafalku. W ciszy słychać będzie jedynie niskie bębny, które wyznaczą rytm całego wieczoru. Kolejne karty losu Bolesława Chrobrego odsłoni alegoryczna postać Narratora.

KONCEPT NA OPowieść

– Wychodzimy od pomysłu, że koronacja Chrobrego była nie tylko aktem politycznym, lecz także mityczną „inicjacją” państwa – mówi Łyczak. – Dlatego gatunkowo balansujemy między spektaklem historycznym a przypowieścią. Struktura przypomina sześć „przebudzeń pamięci”, które przywołuje postać naszego Narratora. Każde przebudzenie odsłania inny wymiar władzy (miecz, krew, wolność, wiara, prawo i dziedzictwo).



Scenicznie twórcom „Milenium Koronacji Bolesława Chrobrego” bliżej, jak mówią, do widowisk masowych w plenerze niż do klasycznego teatru. Inspiracją były dla nich m.in. ceremonia otwarcia igrzysk w Atenach ponad 20 lat temu (symbolika mitologii pod gołym niebem) i sposób, w jaki w „War Horse” ożywiono historyczne rekwizyty, ale przefiltrowane to zostało przez rodzime tradycje misterium i pochodu rycerskiego.

Choreograficznie korzystają z precyzji rekonstruktorów, lecz narracyjnie ze swobody filmu – przenosząc akcję między polem bitwy, katedrą a tronem, nie zatrzymując przy tym ruchu aktorów. Muzycznie Daniel Grupa zbudował partyturę wokół jednego „pulsu”: motyw bębnowy przewija się od pierwszego kroku rycerza aż po uderzenie dzwonu w finale. – Innymi słowy, nie rekonstruujemy podręcznika do historii, lecz konstruujemy przypowieść o narodzinach odpowiedzialności – gatunkowo gdzieś pomiędzy średniowiecznym misterium, „Jesus Christ Superstar” a wielkoformatowym show – uzupełnia Łyczak.

Choreograficznie korzystają z precyzji rekonstruktorów, lecz narracyjnie ze swobody filmu – przenosząc akcję między polem bitwy, katedrą a tronem, nie zatrzymując przy tym ruchu aktorów. Muzycznie Daniel Grupa zbudował partyturę wokół jednego „pulsu”: motyw bębnowy przewija się od pierwszego kroku rycerza aż po uderzenie dzwonu w finale. – Innymi słowy, nie rekonstruujemy podręcznika do historii, lecz konstruujemy przypowieść o narodzinach odpowiedzialności – gatunkowo gdzieś pomiędzy średniowiecznym misterium, „Jesus Christ Superstar” a wielkoformatowym show – uzupełnia Łyczak.

FAKTY I LEGENDY

W scenariuszu obrazy czerpiące z historycznych źródeł przeplecione zostały z motywami znanymi z legend i folkloru, tworząc ciąg sześciu „przebudzeń pamięci” Chrobrego. Do faktów będą się odwoływać sceny postrzyżyn Bolesława – rytuał wprowadzenia w dorosłość

z udziałem Mieszka I, bitwa pod Cedynią i dalsze wojny z Niemcami (scena „Sąd nad mieczem”, dialog o krwi i cenie wolności), męczeństwo i wykupienie relikwii św. Wojciecha, zjazd gnieźnieński – spotkanie Bolesława z Ottonem III i wręczenie włóczni św. Maurycego, wyprawa kijowska 1018 r. (symboliczna „Etiuda slow-motion” zwycięstwa nad Jarosławem), koronacja w 1025 r. z pełnym rytuałem liturgicznym i refleksją nad ciężarem korony.

Legendarne i symboliczne wątki to: mit Lecha, Czecha i Rusa wraz z pojawieniem się orla, personifikacje Moru i Czarnoboga oraz orszak Jeźdźców Apokalipsy, które wprowadzają wątek sądu nad pamięcią, Strażniczka Kurhanów śpiewająca „Pieśń Wajdeloty”, której orszak przywołuje „zabłąkane dusze”, Polonia – głos ziemi, zwracający się do widowni w finale, kiedy korona Piastów przechodzi w ręce dzieci, wspomniany już stały motyw „pulsu” – bębny, światło i refren Narratora – spajające wszystkie obrazy.

SZARŻA Z ŻAREM

Jak zapowiadają twórcy widowiska, Bolesław Chrobry nie będzie jedynie milczącym symbolem – poprowadzi widzów przez całą opowieść. Pierwszy raz odezwie się tuż po tym, gdy postać nazwana Alegoryczną powita go w „nie-miejscu”, pomiędzy czasem a pamięcią. Ostatni raz przemówi w długim, wyciszonym monologu finałowym, przekazując widowni coś na kształt testamentu zakończonego zdaniem: „Nie twórzcie ojczyzny z kamienia... I jeśli coś ma trwać, niech to będzie dobro. Niech to będzie wolność”.

– Między pierwszą a ostatnią frazą mieści się niejednorodna droga bohatera – od zagubienia po świadome rozliczenie własnej legendy – podkreślają realizatorzy, zwracając też uwagę na wielowymiarowość scenicznej postaci.

Pokazany w milenijnym widowisku Bolesław będzie z jednej strony „chrobry”, czyli odważny, mężny, gotów stawić czoło każdemu niebezpieczeństwu, a drugiej – także porywczy, z zuchwałym spojrzeniem i buntowniczą młodzieńczą energią.

– W pierwszych scenach zobaczymy, jak walczy, zrywając się do szarży z żarem w oczach – zapowiada Krystian Łyczak. Później, podczas monologów i chwil zadumy, wybrzmia także jego wątpliwości: świadomość ciężaru korony i brzemienia odpowiedzialności za naród. W finale zaś, gdy stanie na schodach katedry, połączy w sobie siłę i refleksję – pozbywając się zbroi, ale niosąc w sobie zapal, który pchał go przez bitwy i rozgrywki.

WŁADCA NIEWZRUSZONY

Nikt nie wie, jak wyglądał Bolesław Chrobry. W najbardziej znanym wizerunku Matejko „zgoilił” mu brodę. Na co postawili twórcy widowiska? Wybrali aktora (Witolda Łuczyńskiego), którego postura i rysy – jak mówią – przywodzą na myśl kamienne posągi sprzed katedry w Gnieźnie. Jego sylwetka jest mocna i wyprostowana – jakby stał niewzruszenie na straży historii. Włosy i pełna broda zostały tak ułożone, by oddać średniowieczną surowość, a zarazem godność władcy.

Strój nawiązuje do lokalnej tradycji, są utrzymywane w zgodności z dostępnymi rycinami. Całość wieńczy prosta, złota obręcz korony – bez przepychu, ale pełna symbolicznej siły.

– Szukaliśmy kogoś, kto naturalnie połączy w sobie siłę i wewnętrzną wrażliwość: odwagi wojownika z głębią refleksji władcy. Przed Witoldem postawiliśmy zadanie zbudowania postaci, która z jednej strony będzie emanować męstwem i niezłomnością, a z drugiej – ujawni wątpliwości i ciężar odpowiedzialności za rodzące się państwo. Chcemy, by publiczność zobaczyła w nim nie tylko histo-

rycznego bohatera, lecz także człowieka symbol, łączącego dramatyczny rozmach bitew z tymi cichymi momentami zadumy nad własnym dziedzictwem.

ODPALANIE LEGENDY

Nie bez powodu spektakl pokazywany będzie o zmroku. – Każdy element widowiska został zaprojektowany tak, by noc działała na naszą korzyść – mówią realizatorzy. 200 profesjonalnych punktów oświetleniowych będzie „malować” fasadę katedry i plac św. Wojciecha. Wiązki światła poprowadzą widza między kolejnymi scenami, kreśląc na kamieniu obrazy ożywające w rytm akcji. Do tego dojdzie pirotechnika: wybuchy ognia w kluczowych momentach i setki płomieni pochodni w scenach zbiorowych, które nie tylko rozświetlą noc, lecz także symbolicznie „odpalą” legendę Chrobrego.

Najbardziej wymagającą sceną zbiorową będzie sekwencja bitwy. Moment, gdy 12 koni wjeżdża w formację, a szarża rozdziela się na tyłu aktorów, musiał przejść dziesiątki prób. Także w synchronizacji ze światłem i dźwiękiem. Doświadczeniem służyli tu wprawieni kaskaderzy, odpowiadający za najtrudniejsze bezpośrednie starcia na arenie,

akcje, które łączą elementy akrobatyki jeździeckiej z precyzyjną choreografią walki. Równocześnie za autentyczność wyglądu i zachowań wojów odpowiadała Grupa Rekonstrukcyjna LAGOM, skupiona na X–XI w.

ODDECH HISTORII

Jak mówi Łyczak, plac św. Wojciecha – ogromny surowy, monumentalny układ przestrzeni pod katedrą – „oddycha” historią. Jednocześnie jest wystarczająco otwarty, by pomieścić trybunę na 2 tys. widzów, zaplecze techniczne i scenę dla ponad 100 aktorów wraz z 12 końmi. Zdaniem realizatorów przestrzeń placu ma kilka kluczowych atutów.

Monumentalna fasada katedry stanowi naturalną „scenę” dla mappingu i oświetlenia, dzięki czemu każda projekcja zyskuje głębię i skalę niemożliwą do osiągnięcia w zamkniętym obiekcie. Szeroki, niemal kwadratowy układ placu oraz płaska powierzchnia kamiennych płyt pozwalają na dowolne ustawienie trybun, scenografii i bezpieczne manewry konne bez wizualnych „przeszkód”. Nie bez znaczenia jest historyczny kontekst – w pierwszej stolicy Polski zachowały się fragmenty staropiętostawskiej zabudowy, co wzmacnia odczucia widza. Ważną jest również logistyka i dostęp – sąsiedztwo głównych ulic i parkingów ułatwia dojazd ekipom technicznym oraz gościom, a jednocześnie dzięki wyznaczonym korytarzom może zapewnić płynny odbiór widza i bezpieczną pracę mediów. Teren oferuje też miejsce na rozbudowane zaplecze techniczne. Zdaniem realizatorów dzięki tym atutom plac św. Wojciecha staje się nie tylko tłem, lecz także integralnym uczestnikiem widowiska – przestrzenią, która sama opowiada historię.

Główne postaci w widowisku zagrają: Witold Łuczyński, Robert Kuraś, Zofia Tkaczyńska, Kacper Zalewski, Roksana Vikaluk. Reżyserem jest Robert Czechowski, a autorami scenariusza Sebastian Janoch i Mariusz Babicki.

Szczegółowe informacje i sprzedaż biletów na stronie internetowej www.gniezno2025.pl



Ozzy, czyli Iron Man

Ozzy Osbourne, chłopak z blokowisk robotniczego Birmingham, przez dekady urządzający tłumy silnym, nosowym śpiewem i ponurymi tekstami. Odszedł facet zasłużenie noszący miano ojca chrzestnego muzyki metalowej

Gdy pokazywano fragmenty jego koncertów z ostatnich lat, zastanawiające było, jakim cudem ten człowiek w ogóle jeszcze żyje. Po dekadach narkotycznych ekscesów i alkoholowego upojenia. Choroby go jednak dopadły, ale zanim 22 lipca br. John „Ozzy” Osbourne odszedł z tego świata, zdążył pożegnać się z publicznością, zespołem i gronem muzyków niezmiennie deklarujących, że bez niego prawdopodobnie nikt z nich nie sięgnąłby po instrumenty.

W sobotni wieczór 5 lipca br. w Villa Park w Birmingham odbył się ostatni wspólny występ Black Sabbath, pionierów heavy metalu, w oryginalnym składzie. Poza Osbournem zagrali gitarzysta Tony Iommi, basista Geezer Butler i perkusista Bill Ward. Wystąpili razem po raz pierwszy od 2005 r., a dołączyli do nich gwiazdy, m.in. Metallica, Slayer, Pantera, Guns N’ Roses, KoЯn, Tool, Steven Tyler z Aerosmith i wielu innych. Ojciec chrzestny heavy metalu zaśpiewał cztery utwory i choć na scenie wyglądał naprawdę makabrycznie, wypadł jak zawsze świetnie. Może brzmi to banalnie, ale Ozzy Osbourne to rzeczywiście pełna autentyzmu ikona popkultury. Dlatego przez całe lato w Birmingham Museum and Art Gallery można zwiedzić wystawę poświęconą słynnej grupie, bo historia Black Sabbath jest też historią narodzin heavy metalu.

„To baza, z której czerpały wszystkie kapele, a sam Ozzy był naprawdę niepodrabialny. Ja tego słuchałem namiętnie, a także namiętnie graliśmy ich kawałki” – wspomina Paweł Kukiz, który wspólnie z Piersiami, choć w formie rockowego pastiszu, śpiewał własną interpretację „Iron Mana”, „War Pigs” czy „Paranoid”.

CIĘŻKO, OSTRO I MROCNIE

Nikt wcześniej nie grał tak ostro i tak surowo, nikt nie wymyślał tak ciężkich, a jednocześnie tak chwytliwych riffów jak Tony Iommi, uzupełnianych harmonizującą z nią masywną linią basu i mocną perkusją. Rzeczywiście, pierwsze trzy płyty zespołu zdefiniowały cały gatunek, co słysząc szczególnie na drugim albumie „Paranoid”, na którym gitarowe riffy nabierają odpowiedniej mocy poprzez obniżenie stroju gitar o cały ton i rezygnacji z blues-rockowych zagrywek. Nie tylko postanowili grać tak ciężko, jak to tylko możliwe, lecz także w teks-



MACIEJ WALASZCZYK

tach zamiast hippisowskich bają o pokoju i wolnej miłości sięgnęli po opowieści rodem z horrorów. Od lat złowrogi duch tej muzyki chichocze we wszystkich jej odmianach, na wszystkich płytach i w każdym utworze każdego metalowego zespołu na całym świecie.

Na okoliczność śmierci Osbourne’a media przypominały, że nazwano go Księciem Ciemności, szaleńcem, bestią. Okulty-

styczna symbolika na okładkach płyt, odwrócone krzyże i niepokojące rekwizyty syciły image zespołu. Wokalista doczekał się nawet procesu, podczas którego rodzice oskarżyli go o samobójczą śmierć syna, który przed tragedią nieustannie słuchał jednej z jego płyt z piosenką „Suicide Solution”. Na koncercie odgryzł głowę martwemu nietoperzowi, a parę lat wcześniej na oczach szefów swojej wytwórni płytowej to samo zrobił z żywym gołębiem, którego miał ponoć wypuścić na znak pokoju. W narkotykowym amoku próbował też udusić własną żonę. Zdaje się, że jako skandalista był cwany cynikiem, który bardzo dobrze rozumiał reguły rządzące show-biznesem. „Nie jestem tym, za kogo mnie uważacie, nie jestem antychrystem” – wyśpiewał w piosence „Gets Me Through” sprzed 24 lat. W swojej autobiografii wyznał, że odgrywa pajaca, bo ludzie tego od niego oczekują. „Jedyne, co postanowiliśmy zrobić, to przestraszyć ludzi” – tłumaczył.

Osbourne nie tylko stał się gwiazdą Black Sabbath, a potem rozpoczął niezwykle udaną karierę solową, lecz także w latach 90. XX w., dzięki objazdowemu festiwalowi rockowemu Ozzfest, przekształcił się w heavy metalowego przedsiębiorcę. Dodatkowo w 2002 r. dzięki programowi w MTV „Osbourneowie” stał się odnoszącą ogromne sukcesy gwiazdą telewizyjnego reality show.

CHŁOPAKI Z ASTON VILLA

W swoim pożegnaniu Geezer Butler napisał: „Świetnie się bawiliśmy. Czterech dzieciaków z Aston – kto by pomyślał, co?”. Swoje kondolencje złożył też Aston Villa – ulubiony klub pochodzący z Birmingham Osbourne’a. Niekiedy widywano go na trybunach Villa Park. Jeden z najsłynniejszych rockowych frontmanów był po prostu pełnym słabości prostym chłopakiem z blokowiska w jednej z dzielnic przemysłowego molocha. Być może muzyka uratowała mu życie,

gdy mając 17 lat przesiedział dwa miesiące w areszcie za włamanie do sklepu odzieżowego. Dorastał bowiem w mieście pełnym fabryk, robotników, nudy i monotonii potęgowanej permanentnym kryzysem ekonomicznym, jaki przeżywała powojenna Anglia.

Przyszedł na świat w wielodzietnej rodzinie zamieszkującej typowy angielski szeregowy domek bez toalety. Nie było na buty, a często też obiadu dla rodziny. Po latach wspominał o swojej nieukrywanej nienawiści do hipisowskiej rewolty. „Mój ojciec umierał od azbestu, a ja byłem młodym, głodnym gniewnym punkiem. [...] A tu raptem słyszysz hipisowską kilę o »szlachetnych ludziach«, którzy chodzą na spotkania dzieci kwiatów. W Aston człowiek mógł zobaczyć kwiaty tylko w postaci wiązanki, którą rzuca na niego, gdy padnie przy maszynie w wieku 53 lat” – odpowiadał w jednym z wywiadów. To rzuca też inne światło na muzykę oraz teksty nawiązujące do wojny i chorób psychicznych śpiewane w tonacji nagłego jęku na wysokich rejestrach.

Black Sabbath narodziło się bowiem z buntu i biedy, było produktem ponurego, prowincjonalnego świata, do którego także dotarły narkotyki kojarzone z hipisowską kontrkulturą. Jako kapela młodzieży z angielskich blokowisk była więc początkowo odrzucana przez muzyczną prasę, rozczarowaną epatowaniem atmosferą grozy i dekadencji. Grupa dostarczyła bowiem inny rodzaj muzyki, która wydawała się ocieślała od złości, przesiąknięta wyobcowaniem, nienawiścią do siebie, przypominającą raczej załamanie nerwowe. „Ta muzyka również w Polsce komponowała się z szarością i mrokiem tamtej komunistycznej rzeczywistości” – wyjaśnia Kukiz.

UPIORNY IMAGE

Jednak Ozzy Osbourne zbudował swoją popularność nie tylko na nieco upiornym wizerunku i licznych pozascenicznych ekscesach, lecz także charyzmie i naprawdę znakomitą głosem. Był mocny, czysty, potrafił nim odpowiednio modulować, czasem zawodzić z nutą niepokoju. Ten śpiew genialnie przebijał się przez gęstą tkankę dźwięków, choć jako wielbiciel Beatlesów komponował też melodyjne linie wokalne, świetnie uzupełniające utrzymane w molowych tonacjach partie gitary.

Gdy w latach 70. po raz pierwszy wpadł w sidła wyniszczającego nałogu, w jego talent uwierzyła tylko Sharon, córka Dona Ardena, menedżera zespołu, która po prostu się zakochała. I bez względu na wszystko pomogła swojemu przyszłemu mężowi skompletować zespół oraz rozpocząć solową karierę, która ostatecznie przyćmiła sukcesy macierzystej grupy. Pierwsze dwa solowe albumy – „Blizzard of Ozz” z 1980 r. i wydany rok potem „Diary of a Madman” – to klasyka gatunku. Wokalista wciąż dysponował znakomitą głosem, a zatrudniony przy nagraniach gitarzysta Randy Rhoads odszedł od stylu opartego na bluesie, wytyczając ścieżkę, którą heavy metal podążył w latach 80. W 2024 r. został wprowadzony do muzeum Rock and Roll Hall of Fame właśnie jako artysta solowy, na okoliczność czego określono go mianem „chorążego hard-rocka”. Czemu nie?

CIEMNA STRONA ROCKA

Na koniec trzeba wrócić do samego początku opowieści o Księciu Ciemności muzyki rockowej i wspomnieć właśnie o tym jej aspekcie, za sprawą którego jest ona atakowana jako satanistyczna. Niektórzy muzycy otwarcie się do tego przyznają, inni flirtują z satanizmem, używając jego symboli i rekwizytów. Jeszcze inni ukrywają. Muzyka z takimi aluzjami i estetyką zaistniała w umysłach milionów ludzi za pośrednictwem nowoczesnych środków przekazu, płyt czy masowych koncertów. „Oferuje ona masową identyfikację, równocześnie demoralizując człowieka” – zauważył kiedyś jeden z konserwatywnych myślicieli brytyjskiej prawicy. Michael Walker tłumaczył bowiem, że rockowe koncerty mają wiele wspólnego z masowymi zgromadzeniami w ustrojach totalitarnych (komunikuje to rockowy performans słoweńskiej grupy Laibach), gdzie występują w jednym miejscu: manipulacja masami, wykorzystanie techniki i sugestii spektaklu, wywoływanie upojenia i hysterii, uwielbienie dla aroganckich liderów, władanie tłumem poprzez powtarzanie kilku prymarnych, potężnych idei. Jak tłumaczył, w faszyzmie są to miłość i nienawiść, w rocku – seks i śmierć. Dał przy okazji ciekawą definicję tego zjawiska: „Heavy metal nie jest chory, ponieważ jest satanistyczny, ale jest satanistyczny, ponieważ jest chory”, a owa choroba polega na kulcie śmierci, brzydoty i odcinaniu publiki od piękna”. „Niech Bóg was błogosławi” – zawołał na koniec pożegnalnego koncertu Osbourne. Niech Bóg go więc osądzi.



**HITY I KITY
ZAREMBY**

„28 lat później” - Brytania w mocy bestii

Danny Boyle ponownie sięgnął po temat zombie. Powstał film „28 lat później”, gęsty, emocjonujący, sprawnie zrobiony. A recenzenci i widzowie rozważają, co irlandzko-szkocki reżyser chciał powiedzieć światu

Boyle zasłynął kultowym w pewnych kręgach obrazem „Train spotting” (1996). Uzależnienie od narkotyków zostało w nim opowiedziane zgodnie z młodzieżową estetyką. Ja jestem przywiązany do jego starszej o dwa lata makabreski „Płytki grób”, przenikliwej i celnej. W ostatnich latach reżyser przekonał mnie serialem „Trust” (2018). To opowieść o sławnym porwaniu wnuka milionera Paula Getty’ego, ujęta w konwencji okrutnej przypowieści o uwięzieniu ludzkich więzów.

Ale po drodze był „28 dni później” (2002), obraz o zombie, modnych co najmniej od „Nocy żywych trupów” George’a Romera (1968). Czy w apokaliptycznym obrazie zagłady Wielkiej Brytanii kryła się głębsza myśl? Reżyser postawił na emocje – oto człowiek jest w sytuacji beznadziejnej, samotny jak palec. Pojawiały się tam dylematy, na ile w takim świecie obowiązują dawne reguły ludzkiej solidarności. Szczególnie palące, gdy zarażeni – inaczej niż w wielu filmach o zombie – wyjątkowo szybko biegają. W finale pojawił się też wątek ludzi ocalałych, a jednak zachowujących się jak potwory.

W 2007 r. Juan Carlos Fresnadillo na kręcił „28 tygodni później”. Tu suspens opierał się na założeniu, że epidemia została opanowana, a potem na skutek zbiegów okoliczności wraca. Było to dołujące, pozbawiało nadziei. I teraz sam Boyle jeszcze raz sięgnął po ten temat wraz z Alexem Garlandem, który był scenarzystą pierwszej części, a samodzielnie zasłynął m.in. amerykańskim apokaliptycznym obrazem „Civil War”.

Kręcąc „28 lat później” wymyślną techniką (pierścieni z 20 iPhone’ów), nie są wierni rozwiązaniom z drugiej części, przecież nie ich własnej. Tam pierwsza generacja zombie w zasadzie wymierała, za to nowi zarażeni w finale docierali do Europy. Tu kontynent jest bezpieczny, a po Wielkiej Brytanii, objętej kwarantanną, hasają hordy bestii. Ostają się nieliczne enklawy, gdzie ludzie żyją w warownych twierdzach.

Pierwszy „rozdział” filmu pokazuje jedną z takich enklaw, położonych na wyspie. Ojciec zabiera 12-letniego syna Spike’a (femenoidalny Alfie Williams) na wyprawę łowiecką na łąd. Uczygo zabijać bestie. Można w tym wyczuć refleksję: ci, co przetrwali, są brutalni, stwardniały im serca. Ktoś napisał nawet o „toksycznej męskości”. Tylko jak oceniać jakąkol-

wiek naturę męskości w świecie takiego zagrożenia?

Spike nie do końca kupuje myśliwskie pasje ojca, a na dokładkę nie może się pogodzić z losem chorej matki. Gdy dowiaduje się, że na łądzie żyje oszalały lekarz Ian Kelson, zabiera ją w podróż, przekonany, że tamten ją wyleczy. Ten drugi „rozdział” ma własną logikę. To opowieść o więzach miłości i o dojrzewaniu.

Wbrew temu, co sugerowano w recenzjach, nie oznacza to utraty tempa post-apokaliptycznego kina grozy. Momentów, kiedy drżymy o bohatera, jest aż nadto. Jeśli coś mnie raziło, to nielogiczności. Ci, którzy przybywają na łąd, są non stop narażeni na ataki zarażonych. Jak więc Kelson, grany przez świetnego Ralpha Fiennesa, przetrwał tam długie lata?

No i nie do końca jasna jest dla mnie wymowa całości. Czy chodzi o to, że w takim świecie trzeba próbować zachować czułość? Zgoda, ale na końcu Spike spotyka grupę, która dobrze się bawi zabijaniem bestii, na dokładkę pod satanistyczną banderą. I chyba to oni będą jego nowymi towarzyszami. Wyznam, że czegoś tu nie rozumiem. Ale może Boyle chciał przemawiać zagadkami?

Piotr Zaremba

ORZEŁ: WYZNANIA SZAREJ EMINENCJI

Dla wielu ludzi prawicy Józef Orzeł to postać znacząca – ktoś, kto podjął pracę organiczną nad uporządkowaniem jej intelektualnego oblicza. W wieku 79 lat postanowił podsumować życie wspomnieniami – stąd „Orle gniazdo” wydane przez Frondę

Bylem na pierwszym spotkaniu Klubu Ronina w styczniu 2007 r. Ze zdziwieniem odkryłem wtedy, że demiurgiem jest w nim, poza Rafałem Ziemkiewiczem, epizodyczny polityk, który jesienią 1992 r. opuścił Porozumienie Centrum, wąpiąc w sens kontestowania liberalnych elit. Po latach uwierzył w prawicę mówiącą własnym głosem. Uczyl ją więc debatowania. To autor inicjatyw, takich jak Ruch Kontroli Wyborów, a podczas rządów PiS doradca jego polityków.

Współautorką jest wydawczyni Bogusława Radziwon. Tyle że niewidoczną, bo nie ma jej pytań. Może szkoda, bo pytania porządkują takie relacje. W tej książce jest trochę chaosu. Orzeł bywa mistrzem anegdoty, ale czasem zalewa nas gadulstwem, gdy wraca do licznych zagranicznych podróży, koncentrując się na permanentnym narzekaniu na jedzenie.

Lubi się też chwalić ukrytą rolą w zdarzeniach, sam siebie nazywa szarą eminencją. Niektóre smaczne historie są opowiedziane po raz pierwszy, jak ta o przymiarkach władz PiS, aby się pozbyć premiera Morawieckiego. Jednocześnie równie wiele uwagi poświęca swojemu życiu duchowemu. Kiedy jako Żyd i człowiek niewierzący (o czym mówi) relacjonuje swoje „religijne objawienia”, jawi się jako postać z cukierkowego amerykańskiego filmu. Ale są też opowieści wzruszające: o zażyłości z ks. Jerzym Popiełuszką czy z niszczeniem przez Adama Michnika poetą Ernestem Bryllem.

Gdzieś niedołażę do niego. Dlaczego syn komunisty od końca lat 70. szukał związków z opozycją? Jest sporo historyjek, brak fundamentalnego wyznania. To godne uznania, że Orzeł potrafi krytykować Jarosława Kaczyńskiego. Ale pamiętam moment, kiedy wraz z Andrzejem Urbańskim i Maciejem Zalewskim opuszczał go w 1992 r. Spór był głębszy, niż teraz zdawkowo to przedstawia.

Długo nie mogłem też znaleźć odpowiedzi na pytanie, dlaczego Orzeł postawił na prawicę w 2007 r., choć wcześniej w nią nie wierzył. Trochę mi to wynagrodził mądrym finałem, w którym objaśnia współczesną politykę, i to tę globalną. Więc warto. ▀



Maria Antonina wyzwolona

Canal+ zakończył emisję drugiego sezonu serialu „Maria Antonina”. Choć do tej pory kino francuskie mogło się pochylać nad losem świętych króla Ludwika XVI i jego małżonki, byli oni „historycznie niesłuszni”. A tu nagle próbuje się zrobić ze straconej królowej „osobę charyzmatyczną i wolną”. Choć nowoczesną głównie w sferze używania życia i wydawania pieniędzy, co nie skończyło się dobrze

Jak widać, szuka się bohaterów, zwłaszcza kobiet. Komercja wygrywa z ideologią. Marię Antoninę gra aktorka z Rosji Emilia Schüle. Gdy zaczyna się akcja, wysłana z Wiednia do Francji przez matkę Marię Teresę arcyksiężniczka powinna mieć 15 lat. Schüle miała 30. Potem już stale wygląda tak samo.

Serial jest dość wierny, jeśli chodzi o scenografię i kostiumy. W zasadzie oddaje też porządek zdarzeń i listę postaci. Choć czy scenarzystka Deborah Davis (napisała świetną „Faworytę” dla Yórgosa Lánthimosa) wie, że parlament był wtedy we Francji sądem? Zarazem bohaterowie mówią współczesnym językiem i za nic mają XVIII-wieczną etykietę.

I Maria Antonina, i Ludwik, kiedy już pokonają kłopoty z uprawianiem seksu (to akurat prawda), są przedstawieni jako para ludzi dobrej woli, tyle że zaplątanych w sprzeczności systemu. Z pewnością krwawych tyranów zrobiła z nich rewolucyjna propaganda. Szkoda tylko, że muszą nieustannie krzyknąć i się miotać. I że zni-

kają takie „detale” jak religijność Ludwika. Uproszczeń jest więcej. Król miał dwóch braci, tu ma jednego, który potem zostanie władcą. Ale pominięty Karol, hr. Artois, też zdobył po latach koronę, a był podejrzewany o romans z bratową.

Nie wiem, dlaczego Ludwik XVI, dobrze grany przez Louisa Cunninghama, nie wygląda tak, jakim go znaleźmy – jak poczciwy grubasek. To zagadka na miarę zachowania wiecznej młodości przez Henryka VIII z „Rodziny Tudorów”.

Drugi sezon kończy się początkiem rewolucji w 1789 r. Hołduje się tu tradycyjnej, spiskowej wizji, wedle której do jej wybuchu najbardziej przyczynił się kuzyn króla Filip Orleański, podburzający lud, aby samemu zdobyć koronę. To też uproszczenie, choć z perspektywy Wersalu mogło się tak zdawać. Arystokracja podważała tron, potem dzieła dokonał stan trzeci. Odnotujemy naszego Philippe’a Tlokińskiego jako sławnego Beaumarchaisa. I czekajmy na mękę królewskiej pary w sezonie trzecim. ▀



Otwórz oczy

Kilka lat temu wpadłem na genialny pomysł. Potem okazało się, że wpadli na niego również Kanadyjczycy. Połączyli dom dziecka z domem spokojnej starości. Starsze osoby znalazły kochające wnuki, a siostry po raz pierwszy poczuły, czym są miłość, opieka i troska.

Seniorzy znów zaczęli cieszyć się życiem. Dzieci, które były wycofane i smutne, stały się zwykłymi, szczęśliwymi dziećmi! Staruszkowie odzyskiwali chęć życia, zdrowieli. Mali i duzi czekali na siebie nawzajem z radością, z jaką czeka się na bliskich.

W moim sercu od wielu lat kielkuje potrzeba stworzenia instytucji, która w całej Polsce zacznie tworzyć miejsca, gdzie obecność będzie się spotykała z samotnością. Poczucie bycia potrzebnym, kochanym, potrzeba bezpieczeństwa i miłości. Miłość rules!

Swoją myśl nazwałem DKP – deficyty, kompetencje, pasje. Starsza, genialna nauczycielka francuskiego, cierpiąca na samotność w domu seniora, połączona online z dwójką małych dzieci. Po kilku lekcjach dzieci nabyły świetnego akcentu, a na policzki zawsze pełnej pasji nauczycielki wróciły rumieńce. Jest tak wiele deficytów, jest tak wiele osób mających czas i potrzebne innym kompetencje. Będę informował w miarę krzepnięcia projektu.

Nikt nie widział powietrza, a jak trudno wystawić rękę z okna pędzącego samochodu. „Czym jest prawda?” – pytał prokurator Judei 2 tys. lat temu. „Czy ktoś widział miłość?” – zapytał mnie kiedyś młody, zdolny psychotronik, chcąc udowodnić, że jedynym sztandarem, pod który warto się zaciągnąć, jest znak władzy, sukcesu, siły, woli mocy. Pokazałem mu parę staruszków idących wzdłuż schodów Muzeum Etnograficznego w Warszawie, na których staliśmy. Wewnątrz opętani i zdemoniżowani ludzie zawiązywali sataniczny Klub Gnosis.

Denzel Washington: „Każdego ranka, kiedy wstawałem, widziałem moją matkę modlącą się za mnie. Widziałem, jak płakała, jak walczyła, jak się uśmiechała mimo bólu. Mieliśmy tak mało, że czasem nie było nawet co jeść. Ale ona zawsze mówiła: »Synu, Bóg ma dla ciebie plan. Nigdy się nie poddawaj«. Kiedy miałem 14 lat, chciałem rzucić szkołę. Byłem zły na cały świat. Wtedy mama chwyciła mnie za rękę i powiedziała coś, czego nigdy nie zapomnę: »Nie wychowałam cię po to, żebyś się poddał. Wychowałam cię, żebyś walczył«. Dziś wszystko, co mam, jest dzięki niej. Moje sukcesy to jej modlitwy. Moje nagrody to jej ofiary. Moje

*Denzel Washington:
„Każdego ranka, kiedy
wstawałem, widziałem
moją matkę modlącą się
za mnie. Widziałem, jak
płakała, jak walczyła,
jak się uśmiechała mimo
ból. Mieliśmy tak
mało, że czasem nie było
nawet co jeść. Ale ona
zawsze mówiła: »Synu,
Bóg ma dla ciebie plan.
Nigdy się nie poddawaj«”*

życie to jej siła. Jeśli masz matkę, która cię kocha – jesteś już milionerem. Nawet jeśli nie masz nic”. Mnie wiarę przekazała babcia Zosia. Następnego dnia po jej śmierci zaczęliśmy się z O. nawracać. Dosłownie: następnego dnia.

Pierwsze nawrócenie, zachłyśnięcie się miłością Jezusa. I najczęściej nie-



ROBERT TEKIELI

zdolność do wytrwania w lasce. Życie od ściany do ściany. Akceptacja cierpienia, świadomość, że w dużej mierze jest konsekwencją naszych grzechów, i drugie nawrócenie, stabilizujące życie duchowe. Mniej rani myśli bliźnich swoim duchowym samozadowoleniem, mniej chcemy zmieniać świat, zaczynamy prosić, by najpierw Bóg przemienił nasze poranione wnętrza.

Nie rozumiesz słowa o królestwie Bożym już tu na ziemi? Idź i szukaj człowieka, który rozumie i potrafi o tym mówić. Pomódl się uczciwie, znajdziesz rekolekcje, otworzy się przed tobą Pismo Święte, ale bądź uparty i czytaj, choć nie rozumiesz. Nie masz w sobie stałości? To jest decyzja woli. Nic cię nie usprawiedliwia. Nie można przebaczyć z serca – ot, tak sobie. Ale jeśli będziesz wypowiadał słowa przebaczenia codziennie, obudzisz się któregoś dnia i poczujesz w sercu, że przebaczyłeś, że możesz się z radością modlić o szczęście dla tego, kto skrzywdził cię tak bardzo, że przez dziesiątki lat nie mogłeś zapomnieć. Nie teoretyzuję, to moje doświadczenie. Więc nie ma usprawiedliwienia ten, kto przyjął kiedyś z radością słowo o odkupieniu swoich win przez Jezusa i roztrwonil to szczęście. Opamiętaj się i wróć do pierwotnej miłości. Czy ucisk i prześladowanie może odłączyć nas od miłości, która za mnie i za ciebie oddała życie? Nie szukaj sił w sobie, bo na pewno się załamiesz. Proś, a dostaniesz moc z góry.

Bez łaski niemożliwe jest stabilne bycie przy Bogu. Bo skutecznie od niego odciąga i nędma, i szczęście. Można się

zatracić w troskach, można nie unieść bogactwa. I zacząć liczyć na swoje jedynie siły. Głupcze, dziś wsiądziesz do Lamborghini. Niedostatek i dostatek, finansowe rzeźenie i uluda bogactwa. Jak nie kijem, to pałą. Słowo Boże może pozostać bezowocne, bo będziesz patrzył tylko pod nogi. Trzeba podnosić oczy ku temu, który mieszka w górze.

Stepowe pastwiska są pełne rosy, a wzgórza przepasane weselem, wiejskie kapliczki umajone, sala weselna przystrojona, wszystko, co żyje, śpiewa i klaszcze w dłonie. I powietrze, i rzeki. I deszcze, i mrozy, i poranki. i wieczory. Dziś niedziela. Nie pracuj. Nie kombinuj, jak podbić świat, nie zamęczaj się, myśląc jak przeżyć w długach. Ojciec kocha uśmiechniętego dawcę. Bóg obdarza we śnie umiłowanego, tego, kto robi wszystko, by go znaleźć. Dziś czas poświęcić tylko Bogu i pielęgnowaniu jego miłości, którą nam dał, byśmy ją rozdawali bliskim i bliźnim.

Patrząc na zacięte twarze ludzi samotnionych z wyboru, na usta kobiet wąskie jak od noża, kobiet, które czynnie odrzuciły życie, na przerażone twarze umierających okultystów, na przepiękną twarz martwej św. Tereski, widzę jasno: zło i dobro istnieje. W każdej chwili trzeba wybierać. W każdej chwili. Albo istnieje i zła, i dobra droga, albo sataniści kończą życie happy endem. Jeśli każdy ma swoją prawdę, wszyscy błędzą.

„Najwięksi zbrodniarze, oprawcy i kaci byliby uratowani i rozgrzeszeni, gdyby

tego chcieli, gdyby sięgnęli po łaskę, która czeka na wszystkich, która leży na ulicy, którą można zgarnąć oburącz – ukląkszy”. To cytat z wstępu do „Błogosławionej winy” Zofii Kossak-Szczuckiej. Jednak ludziom Syndykatu śmierci daleko do tego.

Rewolucyjna lewica i tożsamy z nią dziś neoliberalizm, chciałyby, by za małe dzieci decydowali zdeprawowani politycy, a nie rodzice. Młodociane imigranckie gangi sterroryzowały Szwecję. Szmuglują narkotyki, zabijają na zlecenie. W Berlinie i Brukseli zdecydowano, że Mordor musi użyć przeciwko Polsce imigracyjnego tarana. Lewicowo-liberalny establishment toczy wojnę hybrydową ze społeczeństwami Zachodu. W USA przegrał batalię, ale trwa wojna poznawcza, wojna na narracje, wojna dwóch sztandarów, wojna cywilizacji wewnątrz naszej cywilizacji. A wokół atlantyckiej, coraz mniej spójnej wspólnoty – chińskie i rosyjskie zagrożenie. Zachód atakowany przez barbarzyńców wewnętrznych i zewnętrznych. Celem hybrydowych działań jednych i drugich są więzi międzyludzkie. Neomarksistowska cywilizacja śmierci walczy z małżeństwem, z rodziną. Z wiara i zachodnimi patriotyzmami walczą również państwowi aktorzy zewnętrzni. Zdeprawowane, osłabione krainy łatwiej podbić. Czasem można to zrobić bez użycia fizycznej przemocy. Więc trwająca wojna o Polskę to teraz głównie walka duchowa, walka o nasze codzienne moralne wybory. I nie jesteśmy w niej sami.

Na szczęście nasz Bóg jest Bogiem bliskim każdemu człowiekowi. Katarzyna Grochola: „W drzwiach mojej sali wisiał krzyż, pod nim siedziała cma. A w drzwiach byli absolutnie wszyscy zmarli. Wszyscy. Miliardy. Wszyscy się w tych drzwiach mieścili i wszystkich twarze widziałam, tak jak twoją. A jednocześnie widziałam zadrapanie przy klamce... Ale to nie były obrazy przenikające się i przeszkadzające... Nie potrafię tego wytłumaczyć... I to nie była śmierć kliniczna, ani ciężki przypadek schizofrenii czy psychozy. I poczułam tak nieprawdopodobne bezpieczeństwo i miłość... które nie miały nic wspólnego z żadnym uczuciem, którego kiedykolwiek doznałam... To nie była iluminacja, to była wszechogarniająca, troskliwa... po prostu miłość. Wtedy przestałem się bać. I w tej samej chwili lekarz wszedł przez te drzwi, nie zaburzając ani jednej twarzy, ani tej zielonej pięknej łaki i wtedy się okazało, że jakimś cudem krwotok ustal...” Bóg przychodzi również tak, próbuje każdego sposobu.

Jest jedynym lekarstwem na lęk świata. Na twój lęk, depresję. Ostatecznie są tylko dwie barwy, pod którymi można iść przez życie. Sztandar pustki albo wewnętrznego pokoju.

Wiara to ufność. Zaufanie Osobie, wiara w Bożą opiekę.

Ogłądałem homilię abp. Konrada Krajewskiego, jałmużnika Ojca Świętego. Przywołuje pielgrzymkę papieża Jana Pawła II na Ukrainę w 2001 r. Oberwanie chmury. Ludzie skuleni, przemoczeni, z wielkim strachem patrzą na kolejne nawalne fale uderzające z hukiem na dach blaszanego zadaszenia nad ołtarzem. W jednej chwili papież odłożył kartki, przysunął mikrofon i zaśpiewał: „Nie lij deszczu, nie lij, bo cię tu nie trzeba...”. Inagle przestało padać. Papież jak gdyby nigdy nic wrócił do przygotowanego tekstu... „Widziałem wiarę nie do wiary. Staliśmy osłupieni. Zapomnieliśmy, czego nauczał ksiądz Twardowski, że wiara jest cudem ufności po ciemku. Że Jezus mówił: Kto we mnie wierzy będzie większych czynów ode mnie dokonywał. Będzie czynił cuda”.

Jesteśmy ostatnim bastionem cywilizacji wywiedzionej z Objawienia. Ostatnimi obrońcami objawionej hierarchii wartości. Czy ktoś widział miłość? 



Denzel Washington
w filmie „Księga ocalenia”



Numizmatyczne trofea PRL

W starych portfelach, pudełkach po czekoladkach, kasetkach z Cepelii zalegają skarby PRL – srebrne monety z Janem Pawłem II, Józefem Piłsudskim z 1989 r., skromne 50-groszówki. Większość z nich to tylko wspomnienia minionej epoki. Jednak wśród niewiele wartych monet zdarzają się prawdziwe perły



STANISŁAW KOCZOT

Kolekcyjerska fascynacja monetami z czasów PRL trwa już od dobrych kilku lat. Nie do końca wiadomo, czy jest to odprysk undegroudowej mody na gadzety z czasów realnego socjalizmu, czy raczej efekt poszukiwania numizmatycznych rarytasów, które zdarzają się w każdej epoce. Kolekcjonerzy polują na rodzynki z czasów PRL. Jeżeli się trafią, cena może być wysoka. Warunek: moneta musi być w idealnym stanie.

– Aby monety z PRL były drogie, muszą się znajdować w menniczych stanach zachowania. Dotyczy to również rzadkich roczników czy odmian. Ale jest też sporo monet z PRL, które nawet w menniczych stanach nie mają wartości, np. emisje po 1980 r. – komentuje dla nas rynek PRL-owskich numizmatów Artur Brzeziński, jeden z twórców i współwłaścicieli Domu Aukcyjnego Numimarket.

BEZ ZNAKU MENNICY

Wartość monety podnoszącej nietypowe elementy. – Np. 10 groszy z 1973 r. bez znaku mennicy pod łapą orla jest bardzo



drogie, w granicach 10–30 tys. zł, a ten sam rocznik ze znakiem nie ma już praktycznie wartości. Każdy inny rocznik tej monety ze znakiem mennicy też nie ma większej wartości – dodaje Brzeziński.

Podobnie jest z innymi szczegółami: np. napis „Próba” na monecie sprawia, że jest ona warta kilkaset lub nawet kilka tysięcy złotych.

– Tylko niektóre roczniki niektórych nominałów są drogie, np. 20 gr czy 1 zł z 1957 r. – twierdzi Brzeziński.

Ta ostatnia moneta została wybita w ogromnym nakładzie 58,6 mln sztuk, ale ponieważ mocno się zużyła, trudno znaleźć egzemplarze mennicze. Jeżeli się na taki trafi, trzeba za nią zapłacić ok. 2 tys. zł. Moneta w stanie drugim, czyli z minimalnymi śladami użytkowania, kosztuje 500–600 zł, a w trzecim (bez poważniejszych uszkodzeń) – 80–90 zł.

CENNE „JAGODY”

Znacznie droższe są monety certyfikowane, czyli z grandingiem. Wydają je renomowane firmy, np. amerykańskie Numismatic Guaranty Corporation (NGC) czy Professional Coin Grading Service (PCGS).

Stany mennicze posiadają bardzo precyzyjną skalę oceny – od MS60

(stan dobry) po MS70 (idealny). Monety z grandingiem są pakowane w specjalnie zaprojektowanych do tego celu plastikowych pudełek, tzw. słabów. Na Allegro można kupić złotówkę z 1957 r. za 2,8 tys. zł (poziom MS65), jednak nieco wyższa hierarchia winduje cenę do 4–5 tys. zł. Na aukcji w październiku 2020 r. zapłacono za nią 8,5 tys. zł.

PRL-owska złotówka nie wyróżnia się szczególnie wyszukany rewersem (liście laurowe po obu stronach cyfry „1”),

jednak pod względem ceny rocznik 1957 należy do numizmatycznej ekstraklasy.

Tak samo jak 2 zł zwane jagodami (*de facto* na rewersie nie ma jagód, ale dwa snopy zbóż oraz jabłka). Moneta była emitowana z rocznikami 1958, 1959 i 1960, a następnie w latach 1970–1974. Najdroższa jest emisja z 1959 r., której nakład był znacznie mniejszy niż sąsiednich. W stanie menniczym moneta kosztuje ok. 800 zł, w stanie drugim 200–220 zł. W 2022 r. na aukcji antykwariatu Niemczyk 2-złotowy rodzynek z 1959 r. sprzedał się za 5040 zł.

„RYBAK”, CZYLI KLASYKA PRL

Numizmatyczna klasyka PRL to pięciozłotówka z rybakim z 1958 r. Rewers, zaprojektowany przez rzeźbiarza i medaliera Józefa Jana Gosławskiego, twórcę m.in. pomnika Fryderyka Chopina w Żelazowej Woli, przedstawia rybaka ciągnącego sieci. Wariant obiegowy w stanie menniczym kosztuje 2–2,5 tys. zł, w stanie drugim – 160–600 zł. Na OLX można kupić taki egzemplarz za 4,2 tys. zł (ma on jeszcze jedną specyficzną cechę, podnoszącą jego wartość, tzw. słoneczko, pojawiające się pod prawą ręką rybaka – jest to efekt przebicia fragmentu skrzydła orla z awersu na rewers). Cena monety w grandingu z wysokimi notami waha się w granicach 5–6 tys. zł. Na aukcji Allegro w lutym ub.r. wyjątkowo piękny „rybak” sprzedał się za 12,5 tys. zł.

Rocznik 1959 „rybaka” miał o wiele wyższy nakład niż debiutancki 1958 (pierwsza emisja to 1,3 mln sztuk, druga – 56,8 mln), nie osiąga więc tak wysokich cen. Jednak nawet monety z 1959 r. w bardzo dobrych stanach należą do rzadkości. Podobne ceny osiąga rocznik 1960, natomiast nieco wyższe – 1971 z powodu stosunkowo niskiego, zaledwie milionowego, nakładu.

Do żelaznego zestawu najcenniejszych obiegowych monet PRL twórca popularnego kanału na YouTube Moneciarn.pl dorzuca jeszcze złotówkę z lat 1967 i 1968 (nakłady w tych rocznikach były stosunkowo niskie, więc poszczególne egzemplarze osiągają ceny przekraczające 1 tys. zł) oraz 50 gr z 1967 i 1968 r. (w ładnym stanie są warte po kilkaset złotych).

Numizmatycy przyznają, że poruszanie się w gąszczu PRL-owskich produkcji jest trudne, gdyż popularne katalogi Parchimowicza i Fischera zawierają prawie 280 monet (okres realnego socjalizmu w Polsce na rynku numizmatycznym zaczyna się w 1949 r., a kończy nie w 1989 r., czyli w roku pierwszych częściowo wolnych wyborów, ale w 1994 r. – w momencie denominacji).

MONETY JAK RELIKWIE

Niewiele jest wartościowych monet z tego okresu, nawet jeżeli zawierają srebro. Takim popularnym obiegowym numizmatem ze szlachetnego kruszcu było 200 zł „XXX lat PRL” z 1974 r. zwane mapką. Jego nakład to ponad 13 mln egzemplarzy (moneta została wycofana z obiegu 1 stycznia 1995 r.).

Jak mówi nam Moneciarn (który woli się wypowiadać pod swoim youtube’owym nickiem, a nie nazwiskiem), monety nie trafiały do obiegu, lecz od razu do szuflady, dlatego do dziś większość zachowała się w ładnym stanie.

– Nie mają więc one znaczącej wartości numizmatycznej (z wyjątkiem najpiękniejszych egzemplarzy zasługujących na najwyższe noty) i dzisiaj handluje się nimi w cenie rynkowej srebra (obecny koszt to 35–40 zł) – dodaje.

Podobny los spotkał inne srebrne edycje z tego okresu, np. „żołnierzy” czy „olimpiady”. Emisje srebrnych monet ścigały pieniądze z rynku i ograniczały szybko rosnącą inflację.

Pomysł się sprawdził, więc powtarzano go kilka razy, do wielomilionowych nakładów dodając sprytną modyfikację, czyli atrakcyjny temat. Tak było z wprowadzoną do obiegu w październiku 1982 r., czyli w apogeum niechęci do komunistycznej władzy, srebrnej monety z papieżem Janem Pawłem II. Emisja okazała się strzałem w dziesiątkę (nie tylko w Polsce, lecz także na rynkach zagranicznych), więc w kolejnych latach Narodowy Bank Polski wybijał dodatkowe egzemplarze.

Przez całe lata 80. moneta ta była poszukiwanym rarytasem. Polacy traktowali ją prawie jak relikwię, więc – jak twierdzi Moneciarn – najlepiej finansowo wyszli nie ci,

którzy schowali ją do szuflady, lecz te osoby, które sprzedały je szybko za nawet dziesięciokrotnym przebicciem.

Dzisiaj nie ma problemów, żeby kupić tę monetę za 30–60 zł, choć w wyjątkowych przypadkach cena może być znacznie wyższa, przekraczająca 1 tys. zł. Na rynku pojawiają się np. egzemplarze w specjalnych pudełkach, oferowane przez NBP ówczesnym kolekcjonerom, znacznie droższe od monet nieselekcyjowanych.

KOLEKCJA ZA NIEWIELKIE PIENIĄDZE

Podobny cel – walka z szalejącą inflacją – przyświecał emisji jednej z ostatnich monet obiegowych PRL: srebrnych o nominale 50 000 zł (!) z Józefem Piłsudskim. Jej nakład to 1 mln egzemplarzy plus 20 tys. sztuk bitych stemplem lustrzanym, oferowanych w specjalnym pudełku. Zwykły walor kosztuje teraz niewiele, mniej więcej tyle co przeciętne monety obiegowe z czasów PRL. Nieco droższe są monety ze stemplem lustrzanym, a najdroższe – niklowe próby wybite w nakładzie 500 egzemplarzy, których cena sięga na Allegro nawet 2 tys. zł.

– Jest praktycznie niemożliwe, aby w domowych znaleziskach typu słoik, szuflada, strych posiadać bardzo drogie monety z okresu PRL. Takie monety trafiają się tylko w świadomości budowanych zbiorach – twierdzi Artur Brzeziński.

– Faktycznie – przyznaje Moneciarn – znaczna większość monet PRL jest obecnie mało warta. Dotyczy to szczególnie późniejszych roczników, które były bite w ogromnych, wielomilionowych nakładach, przez co nawet dzisiaj można kupić ich dziewicze rolki bankowe.

Jednocześnie wiele innych, wcześniej bardzo popularnych działów numizmatyki (np. II RP czy Polska Królewska) weszło na wysokie poziomy cenowe. – Nie dość, że okres PRL daje się kolekcjonować w bardzo ładnych stanach, to wciąż za naprawdę niewielkie pieniądze – mówi Moneciarn.

Tych monet jest dużo, a zebranie całej kolekcji może po prostu sprawiać przyjemność.



W wieku 30 lat oddałem Perssonowi 26 punktów w dwóch setach, a Chenowi Longcanowi 41 w trzech. 7 tys. widzów kilkakrotnie zrywało się w hali w Wuhan, by wesprzeć swojego rodaka i za każdym razem uciszałem ich zagranem, po którym ich faworyt tylko odprowadzał piłeczkę wzrokiem. Z takim nastrojem mogłeś spokojnie udać się na igrzyska do Seulu” – opowiadał Andrzej Grubba.

* * *

Andrzej Grubba, najwybitniejszy polski tenisista stołowy, wychowanek z LZS Zelgoszcz, uczestnik igrzysk w Seulu, Barcelonie i Atlancie, gracz AZS-AWF Gdańsk, TTC Stockerau i TTC Grenzau, zdobywca Pucharu Świata w 1988 r. w Wuhan, dwukrotny zdobywca Pucharu Europy, sportowiec roku w plebiscycie „Przeglądu Sportowego” w 1984 r., pięciokrotnie wybrany sportowcem Pomorza w plebiscycie „Dziennika Bałtyckiego”, laureat nagrody Fair Play UNESCO.

* * *

– Jak ktoś mnie znał, to wiedział, że dopiero wtedy zaczął się schodzić. Nigdy dobrze nie znosiłem roli faworyta, a tu nagle pojawiły się coraz poważniejsze przymiarki.

– *Jeszcze w Drzonkowie ograłeś prawie całą europejską młodzież, a lekcyja, którą udzieliłeś Primoracowi, miała charakter kompletów profesorskich, potem...*

– Przegrałem imprezę życia. Byłem po Seulu bardzo rozczarowany. Cztery miesiące ostrych przygotowań, wszystko podporządkowane jednej imprezie i rezultat – szóste miejsce w deblu.

– *Nie przegrałeś seta w eliminacjach, a w meczu rundy pucharowej z Perssonem ustawiłeś się w gorszej pozycji. Dlaczego?*

– Nie chciałem grać z Perssonem i nie chciałem grać z Koreańczykiem Yoo Nam-kyu. Przychodzi Adam Giersz po losowaniu i mówi: „Zgadnij z kim grasz”. „Z Perssonem?” – pytam. „A potem?”. „Z Nam-kyu?”. Z wrażenia nie spałem całą noc, a rano przegrałem z Perssonem.

– *Persson powiedział, że przed meczem obaj mieliście po połowie szans*

Grubba, czyli play fair!

Za punkt darowany Waldnerowi w turnieju w Barcelonie otrzymał nagrodę Fair Play UNESCO.

Całą swoją postawą w sporcie i życiu mówił do swoich rywali, współpracowników i trenerów – play fair. Może dlatego wygrał więcej niż punkty, sety, mecze – zdobył sympatię i pamięć.

Nie wygrał tylko ostatniej piłki...

na zwycięstwo. Potem decydowało nastawienie psychiczne.

– Pod tym względem Jörgen zawsze był odporniejszy, bo nie znał uczucia stresu.

– *Może to było tak, że położyłeś rakietkę przed grą z Perssonem, bo nie wierzyłeś, że możesz sobie poradzić z faworytem gospodarzy.*

– Mogę ubolewać, ale taką miałem konstrukcję psychiczną. Właściwie sam nie wytrzymywałem napięcia, gdy zaczynało mi szczególnie zależeć. Bodaj pierwszy publicznie powiedział do trener Derdoń... Niepowtarzalność igrzysk polega na tym, że to są takie same zawody, a zarazem inne, bo zdarzają się raz na cztery lata. Nobilitują sportowca. Lub pozostawiają niedosyt, sport w ogóle uprawia się z poczuciem niedosytu.

– *Wbrew logice, a także wbrew własnym planom, doczekałeś potem kwalifikacji i do Barcelony, i do Atlanty, a gdybyś się uparł, to mógłbyś liczyć na wyjazd do Sydney.*

– Żart?

– *Mając 40 lat, byłeś jeszcze 20 na liście światowej i w lidze niemieckiej wygrywałeś widowiskowe pojedynki z Jörgiem Rosskopfem!*

– Odszedłem od stołu w odpowiednim momencie.

* * *

– *Mogliście też [z Leszkiem Kuchar-skim – przyp. red.] zostać mistrzami olimpijskimi w Barcelonie. Jak się przegrywa mecz, prowadząc 20:11 i 1:0 w setach?*

– Sam sobie zadaję to pytanie.

– *I znasz odpowiedź?*

– Do dziś nie znam. Znam okoliczności, pamiętam piłki i... nadal nie rozumiem.

– *Zabrakło woli ataku, chcieliście przeczekać, ukraść brakujący punkt?*

– Jeden, drugi błąd nie robi wrażenia. Wydaje się, że wszystko jest pod kontrolą.

– *Wszystko poza... emocjami?*



– Od pewnego momentu, od stanu 17, 18 punktów partia przeszła pod kontrolę rywali. Nie odbieramy serwisu jak należy, oni czują nasze podenerwowanie, wreszcie Jean-Philippe Gatien sygnalizuje odbicie piłki palcem przez Leszka. Leszek patrzy na mnie. „Odbiłeś?”. „Nie odbilem! Sam musisz zdecydować!”. Mamy chwilę pauzy. Albo jest po wszystkim, albo gramy dalej.

– *Gatien wymuszał błąd?*

– Mógł w takim momencie odnieść wrażenie, że coś było nie tak. To było jedyne, co mógł zrobić, skoro nie wygrał tej piłki. Leszek przyjął ten argument i nie pomógł nam dziesiąty meczbol – przegraliśmy drugiego seta, potem trzeciego i francuska para Gatien-Eloi zapisała się na zawsze w naszej historii.

* * *

– *Ostatnia piłka?*

– Ostatnia.

– *Trudna?*

– Trudniejsza niż pierwsza.

Mija 20 lat od śmierci Andrzeja Grubby. Dzięki niemu mała piłeczka do tenisa stołowego poleciała bardzo wysoko. Wygrywał wiele zawodów, ale przegrał walkę z chorobą

– *Dlaczego?*

– Bo nic już nie można poprawić. Zostaje ślad, z którym trzeba się pogodzić.

– *Czy to możliwe?*

– Na pewno nie jest łatwe.

– *Łatwiej byłoby grać dalej?*

– Łatwiej. Bo można wtedy sobie wmawiać, że dopiero ta następna piłka będzie ważna, będzie rozstrzygać lub że będziesz mógł się poprawić.

– *Co to znaczy, że w piątym secie ktoś prowadzi 20:19?*

– Że już właściwie wygrał, ale jeszcze nie; że już właściwie przegrał, ale jeszcze nie.

– *Czyli nic nie znaczy, obaj grają dalej.*

– To znaczy, że to są najważniejsze piłki meczu. I najtrudniejsze, bo już nie ma prawa do błędu. Fibak też już w finale Masters w 1976 r. właściwie wygrał z Orantem – i przegrał!

* * *

Lubił spektakl, mecze reprezentacji, ten pierwszy krok przy stole. Wygrał wtedy 25 z 26 kolejnych pojedynków reprezentacji Polski, która zwyciężyła w prestiżowej europejskiej superlidze. Mógł wtedy wygrać z każdym. Umiał znaleźć swój trans, rytm tysięcy drobnych kroków, którymi podtrzymywał napięcie i niepokoił rywali.

Gdy kończył karierę w grudniu 1998 r., w wypełnionej hali oliwskiej AWF rozległy się brawa, jakich Gdańsk nie słyszał. Zagrał pierwszą piłkę z Perssonem i tę ostatnią – z Waldnerem.

* * *

Andrzej Grubba (14.05.1958 – 21.07.2005) urodził się w Brzeźnie Wielkim koło Starogardu Gdańskiego, ukończył III LO w Gdańsku i oliwską AWF. Przez ponad 20 lat należał do światowej czołówki tenisistów stołowych. To za jego sprawą zmienił się image ping-ponga – ze świetlicowej gry stał się sportem wielkich emocji i pełnym dramaturgii sportowym widowiskiem.

Andrzej Grubba zdobył 15 medali mistrzostw świata i Europy, był pierwszym polskim zdobywcą Pucharu Świata. Wygrał sympatię i przyjaźń ludzi, którzy w sporcie cenią

dokonania autentyczne.

Gdyby żył, miałby dziś 67 lat...

Gdyby wygrał z chorobą, byłby jasnym punktem naszej drużyny...

Nie byłoby alei Andrzeja Grubby, ale byłby futbol. Tenis stołowy był jego kunsztem, a piłka nożna wielką pasją. Wygrał wiele ostatnich piłek, poza tą jedną...

Marek Formela

Autor napisał książkę „Andrzej Grubba. Ostatnia piłka”

ROBERT „CUMA” CUMIŃSKI*

Zacumowani w Krakowie

Juliusz Machulski wraca w znakomitej formie. Z dawną lekkością i rozbijającymi (celnością oraz inteligentnym humorem) nawiązaniami do pierwszej części. A także do współczesnych postaci i wydarzeń.

W „Vincim 2”, który właśnie trafił do polskich kin, spotykamy dawnych bohaterów i ich odtwórców (czas nie dla wszystkich okazał się łaskawy). Poznajemy też nowe postaci i odkrywamy dawny Kraków w lepszej, bardziej malowniczej odsłonie.

Dwie dekady, które minęły od premiery „Vinciego” – sądząc po scenariuszu „dwójki” – najlepiej przysłużyły się

Robertowi Cumińskiemu „Cumie” (i grającemu go Robertowi Więckiewiczowi). Widzimy obu (choć w jednej postaci) świetnie wpasowanych zarówno w scenerię stylowego hiszpańskiego



domu, jak i opuszczonego (po pamiętnym skoku) Krakowa, teraz na nowo przemierzanego przez bohatera.

Poza krajem Cumiński żyje w rytmie słów u boku ognistej partnerki. Wyrobił się, nabrał luzu i klasy. Doskonale (i wiarygodnie) odnajduje się zarówno gotując hiszpańskie potrawy, sącząc kawę w ulicznej kawiarence, jak i smakując pierogi nieopodal Wawelu czy podejmując wyzwanie kolejnej spektakularnej kradzieży. Czego, z kim, w jakich okolicznościach...?

To dodatkowe kwestie, z którymi będzie się musiał skonfrontować.

Z tym że – choć wystylizowany strój południowca „Cuma” zamienia w Krakowie na starą skórzaną kurtkę i chociaż pojawia się w miejscach zapamiętanych z „jedyńki”, spotykając z ludźmi z tamtego okresu – nie wchodzi do tej samej historii.

Przemierzając ulice, zaułki i place podwawelskiego grodu, pokazuje widzowi, jak zarazem niewiele i wiele zmieniło się w otoczeniu oraz postaciach uwikłanych w intrygę. Najpierw pierwszej, a teraz drugiej części. I te zmiany najczęściej są na plus.

„Vinci 2” to kolejna premiera tego lata, która ucieszy nie tylko fanów Machulskiego. Na kinowym ekranie wartko płynąca sensacyjna historia („dokraszona” humorem i smakowitymi aktorskimi scenkami – m.in. duetów: Simlat–Dorociński, Witkowski–Hycnar, a także solo wystylizowanej na Cruellę De Mon Ilony Ostrowskiej) wciąż widzów również w malowniczo i stylowo komponowane miejskie kadry. Mamy więc dwa w jednym – filmową rozrywkę i dwie godziny wakacyjnego oddechu bez pakowania walizek.

Jolanta Gajda-Zadworna

* Bohater filmu

„Vinci 2” w reż. Juliusza Machulskiego

Fot. Adam Golew/ Warner Bros





SŁODKO-SŁONY

Jabłkowe purée

ANNA MONICKA

Po kilku tygodniach zwalających z nóg upałów i piekielnej duchoty nie mamy ochoty gotować, bo nikomu już nie chce się jeść. Lodówka opustoszała, stoją w niej głównie kartony kefiru i butelki z maślanką oraz ogórki małosolne, które trzymają nas przy życiu. Na śniadanie jem marchewki i morele (podobno bardzo zdrowo, bo dzień trzeba rozpoczynać od kubka ciepłej wody i warzyw lub bogatych w błonnik owoców), na obiad chłodnik, na kolację fasolkę szparagową lub sałatkę z dużą ilością roszponki, ogórków czy pomidorów, które wreszcie nabrały smaku. Jako przekąska wiśnie i czereśnie, czasem agrest. Nikomu nie chce się mięsa, a jeśli organizm daje znać, że potrzebuje białka, gotujemy jajka i albo dokładamy je do chłodnika albo robimy sałatkę z mnóstwem szczypiorku albo młodej dymki. Wypijamy hektolitry rumianku, mięty i naparu z hibiskusa, który pomaga przetrwać upały. No i oczywiście zjadamy się ziemniakami.

Ostatnio, zachęcona książką kucharską Joanny Jakubiuk w całości poświęconą temu warzyw, robię różnego rodzaju purée, które zazwyczaj jest obiadowym dodatkiem do kotleta, tymczasem z powodzeniem można z niego zrobić samodzielne, bardzo smaczne i sycące danie, zwłaszcza wtedy, gdy trudno wystać przy kuchni z gorąca. Poza tym bulwy są bardzo wartościowe – mają mnóstwo potasu, błonnika, łatwo przyswajalnego białka, a także żelaza i zapewniającej nam energię skrobi.

W książce „Ziemniak” wśród 60 receptur znalazłam przepisy na purée boczkowe, cebulowe i jabłkowe – wszystkie przepyszne, ale to ostatnie jest szczególnie ciekawe w smaku, wręcz orzeźwiające.

Trzeba obrać, pokroić i zalać mlekiem kilogram ziemniaków (np. irg, irysów, lordów, vinety), dodać wodę i gałązki tymianku, po czym ugotować ze szczyptą soli. Kwaśne, twarde winne jabłka należy przekroić na połówki i skropione olejem słonecznikowym upiec na blasze, aż zmiękną (kilka minut), a potem wyjąć miąższ. Odlane ziemniaki ubijamy razem z jabłkiem, dodajemy masło i gałkę muszkatołową, solimy i zjadamy – z kaczka pieczoną lub bez. Warto też spróbować purée z ugotowanym młodym groszkiem przetartym przez sito albo z marchewką. Jeśli jest za gęste, doprawiamy gorącym mlekiem. I obowiązkowo sypimy posiekany koperek. Ależ to smaczne.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Bobry na ratunek

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Na bobry można spojrzeć z różnych perspektyw. Np. jako na zwierzęta uratowane przed wyginieciem, których liczebność wzrosła dzięki konsekwentnym działaniom ochronnym prowadzonym przez ludzi. Można też jednak spojrzeć na nie jako na gatunek, który jeszcze 100 lat temu, również wskutek działań ludzi, był na skraju wymarcia. W 1928 r. w Polsce żyło zaledwie 235 bobrów; po II wojnie światowej być może jeszcze mniej.

Trzeba mieć przed oczami tę drugą opcję. Bo jeżeli sądzimy, że obecnie – dzięki świadomości ekologicznej – nie doprowadzilibyśmy do wyginiecia bobrów, jesteśmy w błędzie. Mamy ku temu możliwości i bylibyśmy w stanie zrobić to bardzo szybko.

Zresztą nie tylko wytępienie, lecz także zmniejszenie populacji bobrów miałyby bardzo dotkliwe konsekwencje. Jeżeli bobry mają być naszymi sprzymierzeńcami w walce o zachowanie zasobów wodnych, nie mogą to być pojedyncze, wegetujące grupki rzadkich zwierząt.

Doświadczenie pokazuje, że na razie ludzkie działania sprawiają, iż rzeki wysychają (myślę, że w przewidywalnej perspektywie czasowej będziemy mieli w Polsce pierwsze rzeki okresowe – jak w Hiszpanii). Praca bobrów ma przeciwne rezultaty: ledwo płynące strumyki zamieniają się w zasobne w wodę rzeki, a wyschnięte doliny w nasiąknięte gałki, z których woda spływa na całą okolicę.

Po pierwsze, żeby bobry mogły odgrywać przyrodzoną sobie rolę, muszą być liczne i mieć pod swoją pieczę każdy ciek wodny. Nawet ten najmniejszy. Dlatego nadal musimy chronić i wspierać bobry – ich populacja w Polsce wciąż bowiem nie osiągnęła optymalnego poziomu i jest zbyt mała.

Po drugie, musimy pozwolić im na działanie. Niszcząc bobrze tamy, które spowalniają spływ wody i podnoszą jej poziom, szkodzimy sami sobie. Tracimy wodę – to raz. A dwa – niszczenie tam, które wciąż jest nagminne, powoduje, że bobry przenoszą się do nor. Sami je do tego zmuszamy, a później oskarżamy o rozkopywanie brzegów. Drugi krok wydaje się nam logiczną konsekwencją – trzeba zniszczyć szkodnika i jego siedliska, zasypać nory, przekopać (tak zrobiono nad Przemszą w Dąbrowie Górniczej) i wyrównać brzeg jak od linijki. Nie róbmy ani pierwszego, ani drugiego kroku.

Co w zamian? Wspierajmy wzrost populacji bobrów, nie regulujmy rzek, pozostawiając pracę z wodami tym zwierzętom.

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Kulturkampf 2.0

Kontynuując temat z poprzedniego numeru tygodnika „Sieci” poświęconego germanizacji Polski, dopisuję swoje uwagi, poczynając od podstawowej, że chodzi o system germanizacji naszego kraju przy współudziale jego obywateli. Taki zresztą był tytuł monumentalnego opracowania B. Alberta wydanego przez wydawnictwo Antyk w 2011 r. O ile wtedy autor książki podawał liczne przykłady podstępnie postępującej germanizacji, prowadzonej jakby „ze znieczuleniem”, to dzisiaj, po ponownym powrocie Donalda Tuska do władzy, germanizacja wali w nas obuchem. W pełnym świetle ukazuje się system niemieckiej dominacji w Polsce, którego cechami są własność i władztwo. Własność posiadania dóbr i panowania nad naszym terytorium oraz władztwo, czyli panowanie nad ludzkimi umysłami.

Trwa próba zmiany nazwy mostu Grunwaldzkiego we Wrocławiu na Kaiserbrücke, czyli most Cesarski, ku czci cesarza Niemiec Wilhelma II. Gdańskie tramwaje pomalowano w kolory nawiązujące do czasów Wolnego Miasta Gdańska, a na obiciach siedzeń pojawiły się jego dawne herby. Jeden z tramwajów otrzymał imię Adolfa Butenandta, a Politechnika Gdańska nadała mu tytuł doktora *honoris causa*. Tylko dzięki silnym protestom ten niemiecki biochemik, składający przysięgę na wierność Hitlerowi, członek NSDAP od 1936 r., najprawdopodobniej współpracownik Josefa Mengele z KL Auschwitz, nie kompromituje już polskich władz samorządowych Gdańska. Tych, które dystansowały się od uczczenia obrońców Westerplatte, nie zadbały o ochronę przed deweloperem terenów historycznego stadionu Gedanii, jednego z symboli polskości, i przywróciły na budynku Poczty Polskiej nazwę Postamt. Niestety nie miał kto obronić zmiany nazwy dworca kolejowego w Szczytnie na Ortelsburg. Decyzję podjęły władze PKP przy okazji remontu elewacji dworca. W Popielnie nad jeziorem Śniardwy pojawił się kontener, a w nim wystawa setek pocztówek i zdjęć dawnych miast pruskich. Trudno szukać informacji, że na tych terenach dominowała jednak ludność polska. W pałacu Dohnów w Morągu dawne muzeum filozofa i pisarza Johanna Herdera, który urodził się w tym mieście w 1744 r., zamieniono na Muzeum Prus Górnych jako oddziału Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie.

Kilka miesięcy po skandalicznej wypowiedzi minister edukacji Barbary Nowackiej o tym, że obozy koncentracyjne budowali „polscy naziści”, muzeum w Gdańsku zorganizowało wystawę „Nasi chłopcy” o Polakach służących w armii III Rzeszy. Jej współorganizatorem

było Muzeum II Wojny Światowej, które jak dziesiątki innych instytucji kultury przejęła koalicja 13 grudnia, zdominowana przez ludzi bliskich mentalnie premierowi Tuskowi, wynarodowionych przez PRL (wielu z nich to postkomunistyczne pseudoelity), rzuconych w geście wstydu za Polskę na kolana przez III RP, pozbawionych patriotycznej edukacji i wiedzy – w szkole, na uczelni, w rodzinie. To tak jakby otwartą niedawno wystawę w Augustowie poświęconą obławie augustowskiej oblepiono zdjęciami enkawudzistów i polskich kolaborantów z por. Ryszardem Schnepfem na czele i nazwano ją „Nasi chłopcy z NKWD i UB”.

Polska jako jedyny europejski kraj nie wsparła militarnie hitlerowskich Niemiec w czasie II wojny światowej. Stworzyliśmy czwartą co do wielkości siłę wojskową walczącą na wszystkich frontach z niemieckim okupantem. Czy tego wstydzą się ludzie odpowiedzialni dziś za politykę historyczną i kulturalną Polski?

Władzom samorządowym, w dużym stopniu odpowiedzialnym dziś za godne Polaka upamiętnienie wydarzeń z naszej historii, oraz władzom centralnym, tym w Warszawie, trzeba przypomnieć znaczenie wciąż aktualnych międzynarodowych aktów prawnych podjętych w 1947 r. przez Sojuszniczą Aliancką Radę Kontroli Niemiec. W uchwale nr 46 likwiduje się państwo pruskie, a nazwa Prusy jest zakazana. „Państwo pruskie, które od dawnych czasów było kolebką militarystyki i reakcji w Niemczech, przestaje istnieć”. W ramach umów międzynarodowych ziemie na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej oraz większość dawnych Prus Wschodnich stały się częścią Polski. Polska przejęła rządowe, administracyjne władztwo nad tymi terytoriami. Do tego tak

szeroko rozumianego władztwa należy także tworzenie własnej materialnej, historycznej i duchowej kultury oraz adekwatnych do niej odniesień. Tylko ktoś, kto nie czuje się Polakiem, może nam przywracać pruskie nazwy i symbole.

No, ale jest jeszcze Unia Europejska. Znamy treść jej traktatów, systematycznie pomijanych i wypaczanych przez wybrane w niedemokratyczny sposób władze tej organizacji zdominowanej przez Niemcy. Dziś, wraz z postępującą jawnie germanizacją Polski, nową odmianą starego Kulturkampfu, dowiadujemy się od kanclerza Niemiec Friedricha Mertza, że granice RFN są tożsame z zewnętrznymi granicami UE. Niemiecki rząd przy akceptacji rządu Tuska szykuje się do militarnej ochrony „swojej” granicy na wschodniej granicy Polski. U wrót dawnych Prus Wschodnich.

www.wojciechreszczyński.pl



A co z „Linia Tuska”?

Ruski szykuje się do zdobycia Pokrowska, a to reduta Sił Zbrojnych Ukrainy w Donbasie. „Moskiewskie tempo operacji pokrowskiej było nieregularne, zależne od wielu czynników w ostatnich miesiącach. Aczkolwiek jak Moskale pukali do bram Pokrowska, tak teraz walą w nie, aż dudni” – podaje portal Defence24.pl. To samo źródło informuje, że „walki odwrotowe wojsk ukraińskich pod Awdijiwką zahamowały Kacapów i zatrzymały ich na linii Orliwki jeszcze na początku ubiegłego roku. Zarówno pogoda, jak i potworne zmęczenie nacierających agresorów sugerowało, że nastąpi pauza operacyjna. Tymczasem po zdobyciu Awdijiwki nastąpiła dalsza kontynuacja operacji zaczepnej, choć w Awdijiwce Moskale utracili prawie całe zgrupowanie walczące o to miasto”. Niestety to już przeszłość. Od 17 lutego do 22 października 2024 r. Ruscy podeszli 10 km od Pokrowska. Tempo niby niezbyt oszałamiające, ale jak na tamtejsze warunki to jednak duży postęp. Teraz bojcy zabrali się za okrażanie miasta, atakując skrzydłami. W ten sam sposób brano w okążenie Bachmut oraz Awdijiwkę. Zdobycze terenowe niewiele dają Ruskom. Wszystko zrujnowane, a i w kamazie nie ma kogo brać, bo zostali sami starcy. Ale na przeszkodzie osiągnięcia strategicznego sukcesu (całkowite okrażenie sił przeciwnika) stoją wzmocnione linie obronne Ukraińców. No cóż, „Russu ante portas”, czyli Moskal u bram.

Gdyby Ruskiemu udało się przełamać dotychczasowe linie obronne i zająć m.in. Izium, Pokrowsk, Kramatorsk czy Sławiańsk, w budowie jest nowa Linia Donbasu. Ten projekt fortyfikacji obronnych rozciąga

się od obwodu charkowskiego do zaporońskiego. Stanowią go dwie główne linie umocnień. Ponieważ obszar na zachód od Donbasu to głównie równinny step bez lasów, dużych miast, wzgórz czy zbiorników wodnych, zbudowano dwie biegnące równoległe linie obronne. Tworzy je m.in. z kilka rzędów rowów przeciwzołgowych, w których głębi zainstalowano koncertinę uniemożliwiającą pokonanie rowów przez piechotę. Dodatkowo przed rowami mają być rozciągnięte zwoje koncertyny oraz ustawione tzw. zęby smoka uniemożliwiające postęp czołgów i wozów bojowych. Na nielicznych polaciach leśnych i zagajnikach są tworzone sieci małych umocnionych punktów połączonych ukrytymi okopami. To ma zapewnić kryjówkę zarówno przed ostrzałem artyleryjskim, jak i groźnymi dla siedzących w okopach piechoty dronami FPV. Z lotu ptaka umocnienia wyglądają groźnie. Zobaczmy, jak się sprawdzą w boju. A propos – co z obiecywaną przez koalicję 13 grudnia budową tzw. Tarczy Wschód? Otóż po półtora roku zbudowano... fragment makiety umocnień na poligonie w Orzyszu. Do tego zorganizowano pokaz próby szturmowania na owe fortyfikacje przez pododdział „czerwonych”, który oczywiście na czas został wykryty i odparty przez przysłane na miejsce siły „niebieskich”. W tym medialnym pokazie wzięli udział rzecz jasna premier Donald Tusk i minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz. Poza tym u nas na wschodzie bez zmian. Ktoś chyba dla żartu nazwał te „umocnienia” „Linia Tuska”.

Coś dla fanów motocykli terenowych. W Siłach Zbrojnych Ukrainy powstała pierwsza kompania motocykli szturmowych.



Andrzej Rafał Potocki

Została utworzona w ramach 425. Pułku Szturmowego „Skala”. Informację tę podały media społecznościowe regimentu. „Podczas szkolenia żołnierze spędzili setki godzin za kierownicą i ćwiczyli strzelanie w ruchu, oddając tysiące strzałów. W rezultacie mamy teraz nowoczesną kawalerię, której głównym zadaniem jest szybkie przebijanie się przez pozycje wroga, przeprowadzanie operacji szturmowych i szybka zmiana kierunku natarcia” – czytamy we wpisie. Na wyposażeniu chłopaki mają enduro Forte Cross XSR 300. To prosty chiński sprzęt sprowadzany do Ukrainy. Czysta mechanika bez elektroniki i zbędnych bajerów, ale właśnie ta prostota sprawia, że w warunkach wojennych spisuje się naprawdę dobrze. Jednośląd napędza jednocyldrowy, czterosuwowy, chłodzony powietrzem silnik o pojemności 300 cm³, z gaźnikiem i mocą niespełna 19 KM przy 7000 obr./min. Klasyczna pięciobiegowa skrzynia i napęd łańcuchowy. Żadnych systemów ABS, żadnego wtrysku, żadnych komputerów pokładowych. Po prostu gaźnik i surowa, mechaniczna konstrukcja. Sucha masa tego motocykla to zaledwie 123 kg – kolejna zaleta. Do tego dochodzi cena – 1,6 tys. dol. za sztukę. Ukraińscy żołnierze nawet nie bawią się w maskowanie. Te motocykle śmigają na froncie w oryginalnych, fabrycznych kolorach. Żadnego malowania w moro, zwykły chiński enduro prosto z kontenera. I to działa. Dla zainteresowanych filmik z manewrów motocyklowych pod linkiem <https://militaryland.net/news/skala-forms-a-motorcycle-assault-company/>.

Współpraca: „Skipper”

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Ogórki? Naprawdę?

Pojęcie sezonu ogórkowego mocno się zdezaktualizowało i w zasadzie nic już nie znaczy. Bo niby mamy środek letniej kanikuly, niby rzesze Polaków odpoczywają nad różnymi morzami w Europie, a niektórzy nawet nad oceanem, ale cały czas coś wrze, bulgocze i paruje. Ten kocioł nie przygasał, nie schłodził, nie dał chwili wytchnienia.

Jak nie próby uniemożliwienia zaprzysiężenia Nawrockiego, to rozgrzane do czerwoności nasze granice. Jak nie głupia wypowiedź Sikorskiego (to Dyżma naszych czasów!), to wypowiedź Brauna, jak nie rachunek za prąd, to rekonstrukcja rządu, jak nie pouczenia Olbrychskiego, to „Nasi chłopcy”. Ciągłe coś, co przeszkadza chcącym luzu obywatelom wypoczywać. Aż strach pomyśleć, co będzie jesienią.

Poruszyła mnie uroczystość w Jedwabnem. I nie tylko z powodów historycznych, lecz także pragmatycznych. Nadal nie rozumiem, dlaczego nie są kontynuowane badania archeologiczne. Wszak bezsprzeczne jest, że w Jedwabnem bestialsko zamordowano Żydów. Z tym nikt nie dyskutuje. Wyjaśnijmy więc to, co się da wyjaśnić. Niechaj toruńska prof. Małgorzata Grupa dokończy poszukiwania wstrzymane przez śp. Lecha Kaczyńskiego, swego czasu ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. Jeśli mamy budować na prawdzie, to musimy jej usilnie szukać. Jakakolwiek by ona nie była. Na niedopowiedzeniach, domysłach i półprawdach zbudujemy tylko pozory niepodległości albo zgoła nic nie zbudujemy.

Osobną kwestią jest wybryk Grzegorza Brauna. Szukając popularności, przestrzeni zaistnienia, zwrócenia na siebie uwagi, powiedział coś, czego musimy się wstydzić. Piszę: „musimy”, bo *odium* tych obrzydliwych słów spada na wszystkich Polaków. To już nie happening z gaśnicą, ale coś znacznie gorszego. Im dalej od naszej granicy, tym bardziej Braun jest utożsamiany z wszystkimi Polakami. Zwłaszcza w Ameryce. Tutaj jest on w gruncie rzeczy marginalnym politykiem, tam – nade wszystko „typowo polskim negocjonistą”. W domyśle – jak wszyscy Polacy. Jestem świeżo po długiej rozmowie telefonicznej z kolegą z USA. On jest przerażony reakcjami znajomych Amerykanów, zwłaszcza tych pochodzenia żydowskiego. Prędzej czy później odbije się to na relacjach z naszym głównym sojusznikiem. Jarosław Kaczyński słusznie zauważył, że Braun uderzył w najżywot-



Aleksander
Nalaskowski

*Wakacje się kiedyś skończą
i dzieciaki wrócą do szkół,
z których uczyniono
duże wesołe miasteczko,
w którym nic nie trzeba*

niejsze polskie interesy. Głupota, polityczny egoizm, złośliwość?

Rząd jeszcze trwa, ale wewnątrz koalicji już wrze. Nie sądzę, aby Tusk dotrwał do końca roku. Wówczas nieuchronne będą nowe wybory parlamentarne i nowe rozdanie. Na razie trudno mieć wątpliwości, że Prawo i Sprawiedliwość pospół z Konfederacją nie odniosą sukcesu. Myślę, że będzie on większy, niż wskazują sondaże – większy zwłaszcza dla Konfederacji. Podobnie jak w przypadku wyborów prezydenckich możemy się spodziewać brutalnej kampanii, ciosów poniżej pasa i prowokacji. To już stały element naszego pejzażu politycznego, gdzie już dawno przekroczono wszelkie granice.

Z racji zainteresowań i zawodu bacznie obserwuję obszary związane z edukacją. Ostatnie, a właściwie już ponadroczne wyczyny minister Nowackiej wołają o pomstę do nieba. W krótkim okresie szkoła została już do końca rozbijona z instrumentów niezbędnych do pełnienia misji, do której ta instytucja w ogóle została stworzona. Wakacje się kiedyś skończą i dzieciaki wrócą do szkół, w których nie ma zadań domowych, w których nie trzeba obawiać się

dwój, w których nie trzeba czytać, w których ograniczono lekcje religii, z których uczyniono duże wesołe miasteczko, w którym nic nie trzeba. W ten sposób placówki stają się fermami hodującymi nienawykłych do pracy nieuków. Od jesieni będziemy to odczuwać coraz boleśniej. Ale oczywiście się z tym pogodzimy, bo godzimy się już prawie na wszystko, co nam podsuwa władza.

Wybryki Nowackiej dziwnym trafem uchodzą uwadze środowiska akademickiego, a zwłaszcza środowiska akademickich pedagogów. Poza wyjątkami, dla których za wiele palców jednej ręki, cała profesura nabrała wody w usta i się nie zbuntowała, nie wystosowała listów otwartych, petycji. Nie pokazała ignorancji pani minister, nie próbowała przestrzegać. Profesorowie, skupieni na punktach za publikacje, walczący o krajowe i europejskie granty, wydają się nie dostrzegać tego, że na ich pedagogicznym podwórku dzieje się źle. A przecież nikt bardziej niż oni nie jest powołany do tego, aby krytycznie oceniać hopsanki Nowackiej i jej akolitek.

Jak widać, lato nie jest wcale aż takie ogórkowe i nudne. W krótkiej i dłuższej perspektywie widać rafy, wiry i wysokie fale. Jesień na pewno będzie trudna.

Michał Korsun prezentuje:
Dożynki Donalda Tuska, czyli rekonstrukcja rządu



Wycinki z przeszłości

Przez Polskę znowu przetoczyła się fala oburzenia na haniebne działania przywracające niemiecką tożsamość budynkom, mostom i innym miejscom na polskich Ziemiach Odzyskanych. Zamiast podkreślać odwieczne związki z polskością, pokazywać okrucieństwo zaborców, być dumnym z polskiego dorobku na tych terenach, świadomie ponownie się je zniemcza. Trudno pojąć, czym kierują się ci ludzie. Czy to głupota, zdrada czy korupcja?

My, polskie elity, musimy podjąć zdecydowaną walkę na tym odcinku. Na start przypominamy w naszym kąciku znaczki podkreślające polskość Ziem Odzyskanych. Wydano je w PRL. Niestety III RP z niewielkimi wyjątkami uchylała się od tego obowiązku.

(mk)



Z WOLEJA

Mistrz raketki



Ryszard Czarnecki

W szkole podstawowej na miętynie grałem w ping-ponga. Tak wtedy nazywaliśmy tę grę, choć oczywiście oficjalna nazwa to tenis stołowy. Było to niedługo po tym, jak Henry Kissinger w imieniu Richarda Nixona prowadził „dyplomację ping-pongową”, wysyłając amerykańskich zawodników na mecze i wspólne treningi z Chińczykami. W ten sposób starał się ocieplić relacje Waszyngton–Pekin i lewarować ZSRR. Po dwóch dekadach od tych wydarzeń powstał film Roberta Zemeckisa „Forrest Gump” z tytułową rolą Toma Hanksa. Pamiętacie, jak w czasie rekonwalescencji po walkach w Wietnamie Forrest uczy się w szpitalu grać w ping-ponga i jest tak pojętny, że trafia do reprezentacji USA i uczestniczy w pokazowym meczu w Chinach? Fikcja filmu, który przyniósł jego twórcom 677 mln dol. zysku, spłótła się z historią, która działa się naprawdę.

Gdy miałem 13–14 lat, wygrałem cztery turnieje tenisa stołowego, a w piątym byłem w finale. Po latach zostałem nawet mistrzem Polski parlamentarzyistów. Dlatego tym bardziej chcę dziś wspomnieć największego tenisistę w historii Polski, którego 20. rocznicę śmierci obchodziliśmy w ubiegłym tygodniu. Andrzej Grubba – o nim te słowa. Niewielki wzrostem, wielki duchem i umiejętnościami. Brązowy medalista mistrzostw świata w singlu, a także w deblu i drużynie. Mistrz Europy w mikście, pięciokrotny wicemistrz Europy i sześciokrotny brązowy medalista ME. Po tym, jak w Moskwie w 1984 r. został wicemistrzem naszego kontynentu w grze pojedynczej oraz drużynie i brązowym medalistą w grze mieszanej, wybrano go na najlepszego sportowca Polski. Po roku w tym samym plebiscycie był drugi, a w kolejnych latach jeszcze dwukrotnie trzeci.

Jego rodzice byli nauczycielami, a on z Leszkiem Kucharskim, rywalem i przyjacielem, uczył Polaków, jak grać w ping-ponga, kochać ten sport i wygrywać. Zwycięzał ze wszystkimi najlepszymi na świecie – przegrał tylko z rakiem. Jesienią 2004 r. dowiedział się, że ma raka płuc, a w lipcu 2005 r. zmarł: akurat w dniu, w którym świat wspominał 36. rocznicę lądowania pierwszego człowieka na księżycu – Neila Armstronga.

Kiedyś tenis stołowy był najpopularniejszą dyscypliną sportową w Polsce. Stoły do ping-ponga stały w każdej szkole i na każdych koloniach. Paletkę do gry nosiło się w tornistrze albo torbie na książki. Andrzeja Grubbę nazywano czarodziejem raketki. Stał się legendą za życia i twarzą najbardziej masowego sportu w Polsce. Dzieciaki, które uczą się w czterech szkołach podstawowych noszących jego imię, powinny być dumni z takiego patrona. To niesprawiedliwe, że facet, który nie wypalił w życiu papierosa, umarł na raka płuc.



OD A DO ZYBERTOWICZ

Koronkowy zawrót głowy

Czy wiecie, jak niebagatelną rolę w procesie emancypacji odegrały damskie torebki?

Nie wiem, co na to historycy, ale czuję, że jednak nie była szczęśliwą niewiastą.

DAMSKA GALANTERIA

Kto wie, czy nie pod wpływem dość wyemancypowanej jak na tamte czasy Wazówny skusiła mnie wystawa w Ratuszu Staromiejskim „Wszystko dla pań. Modowe akcesorium 1830–1940”.

Pięć wytwornych sukien, świadków swoich czasów, i już mamy fascynującą opowieść o stylu, o tym, jaka sylwetka była modna, jaka tkanina zacna, a dodatki gustowne. Ale przede wszystkim te suknie i damskie akcesoria opowiadają historię kobiet. Mówią o tym, jak zmieniały one poglądy, jak manifestowały swoje ambicje, jak negocjowały swoje role społeczne.

Czy wiecie, jak niebagatelną rolę w procesie emancypacji odegrały damskie torebki? Tak – ten niepozorny, codzienny rekwizyt to symbol kobiecej niezależności na długo przed tym, zanim uzyskaliśmy prawa wyborcze czy dostęp do edukacji. W czasach, gdy kobiecie stroje nie miały kieszeni (bo i po co, skoro mąż płacił), torebka była pierwszym krokiem ku samodzielności. Z początku haftowane sakiewki pończochowe, potem torebki przypominające biżuterię, niezawodne kopertówki, aż wreszcie spore praktyczne torby.

Wystawa obejmuje okres od początku XIX w. aż do wybuchu II wojny światowej. Tamte kobiety i tamta kobiecość od współczesnych feministek dzielą lata świetlne. Dawno mamy równouprawnienie, a dzisiejszy ubiór, choć nadal manifestuje pozycję społeczną, jest bardziej efektem wygody i luzu.

Nie tęsknię za sztywnymi gorsetami, ciężkimi sukniami – już ich samo założenie było wyzwaniem. A jednak wzdycham do dawnej kobiecości. Do piękna bez botosu, bez sztucznych rzęs i silikonowych

wypełnień. Ale w istocie to nawet nie idzie tylko o współczesną modę. Chodzi o narastającą wulgaryzację dziewczęcości, odczarowywanie macierzyństwa, brutalny i ordynarny język, jakim mówią współczesne kobiety, o to, jak się zachowują.

KOSMICZNA PODRÓŻ

Dumając tak o koronkowych szalach sprzed 100 lat, dziesiątkach guziczków do zapięcia i tasiemkach do związania, nawet nie wiem, jak znalazłam się na Franciszkańskiej przy wejściu do Planetarium.

Bez namysłu kupiłam bilet na najbliższą projekcję: „Piękno Wszechświata: seans muzyczny o bezkresnych dziejach Kosmosu, gdzie rozgrywa się historia, która wymyka się naszej wyobraźni”. I przy dźwiękach elegijnej muzyki, podryfowałam pośród kosmicznych pejzaży, efektownych eksplozji supernowych, deszczów meteorytów i czarnych dziur.

Kosmos i kobiety – dwie opowieści czy jedna?

TAJEMNICE

Nie wiem, co bardziej mnie urzekło: delikatność rękawiczek z koronki, mikroskopijne torebeczki mieszczące co najwyżej lusterko i sekret, czy jednak nieskończone konstelacje gwiazd i kojący błękit naszej planety.

Dwa światy, nie do końca uchwytnie – tyle niezbadanych przestrzeni. Pełne niedopowiedzeń i zakamarków. Kosmos – nieskończony, uwodzący – i kobiecość – ukryta w koronkowym mankiecie, jedwabnych rękawiczkach, zapachu pudru sprzed 100 lat.

Gdy wyszłam z Planetarium, już nie wiedziałam, czy bardziej chcę kupić wachlarz z lat 30., czy jednak pyszną kostkę piernikową z marmoladą firmy Kopernik.

Katarzyna Zybortowicz

Letnie popołudnie w Toruniu: *gotyk na dotyk*. Do tego kawa i pyszne ciasto w kafejce przy Rynku Staromiejskim. I obowiązkowo, zawsze, gdy odwiedzam moje dawne miasto, wstępuję do któregoś ze starych kościołów.

KRAJANKA ANNA

Tym razem wybrałam toruński kościół Mariacki, czyli piękny kościół Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Świątynia jest bardzo dobrze znana harcerzom, bo to sanktuarium ich patrona – bł. ks. Stefana Wincentego Frelichowskiego (ofiary niemieckiego obozu w Dachau). Jest w niej także mauzoleum Anny Wazówny, siostry Zygmunta III Wazy. Ponieważ była protestantką, nie pochowano jej na Wawelu.

Urodziłam się w Brodnicy, gdzie królewna spędziła ostatni etap swego życia, pozostawiając po sobie pałac i tajemnice. Nie była piękną, ale inteligentną kobietą, jej było pozazdrościć. Cierpiała ponoć na wrodzoną skoliozę, może dlatego tak bardzo interesowała ją ziołolecznictwo? Umarła bezpotomnie.

wPolsce 24



***„Zbudujemy razem studio z widokiem na Polskę.
Bo niezależne media to nasza wspólna sprawa”.***

ZBIERAMY NA NOWE STUDIO TELEWIZYJNE

numer konta:

69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

tytuł wpłaty: **DAROWIZNA**

CEL: 1 000 000 zł

WESPRZYJ patriotyczne media

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52
telewizja
naziemna

62
CANAL+

192
netia

32
orange

825
vectra

196
polsat box

65
PLAY
dawniej upc

459
inea

631
TOYA

43
evio

eprasa.pl af15160e26

Newsy, komentarze,
opinie ekspertów

Zaprasza
Michał Adamczyk

Najważniejszy
program informacyjny
w Polsce.

wPolsce
24

WIADOMOŚCI

codziennie

19:30

wPolsce 24

GDZIE NAS
OGLĄDAĆ:

52
telewizja
nazemna

909
921, 196
polsat box

62
CANAL+

192
netia

32
orange

825
vectra

65
339, 121
PLAY

459
inea

631
TOYA

43
evio